

Jolanta Wachowicz-Makowska

CZAS SERCA



Jolanta Wachowicz-Makowska

CZAS SERCA

Czas serca

Nie zawsze były piękniejsze od innych. Nie zawsze były bardzo młode. I rzadko odznaczały się szczególnymi zaletami duszy, serca i umysłu. Mimo to zajęły ważne lub nawet bardzo ważne miejsce w historii. Czasem, a może znacznie częściej niż czasem, to właśnie one odgrywały w naszych ludzkich dziejach większą rolę niż mężczyźni, którzy je kochali i którzy zaletami ducha i umysłu znacznie je przewyższali. I o tych kobietach, niekiedy mało znanych, a tak „ważących” dla losów swoich kochanków i mężów, a pośrednio także losach kraju, czy wielu krajów będą te opowiadania.

I będą też historie kochanych przez kobiety mężczyzn. O których wprawdzie wiemy bardzo dużo, jeśli chodzi o ich zasługi wojenne, polityczne czy artystyczne, ale stosunkowo niewiele o ich życiu uczuciowym. A zwłaszcza o miłości, jaką byli darzeni przez kobiety. Tym kobietom niekiedy zawdzięczali swoją wojenną, polityczną czy artystyczną sławę. Albo inaczej — bez których zapewne nigdy nie zostali by tym, kim zostali. Także w naszej wdzięcznej pamięci.

KOCHAM CIĘ BOLEJ NIŻLI KRÓLESTWO...

czyli

Elżbieta Granowska i Władysław Jagiełło

W katedrze wawelskiej wśród wielu królewskich nagrobków wyróżnia się swoją niezwykłą urodą sarkofag wykonany z białego marmuru. Alabastrowa rzeźba młodzianki kobiety przypomina bajkową Śpiącą Królową. U jej stóp zawsze leżą świeże kwiaty.

Pierwsze położono ponad siedemset lat temu, 19 lipca 1399 roku, w dniu pogrzebu królowej Jadwigi Andegaweńskiej. Od tamtej pory składane są nieustannie. Nie tylko przez wiernych modlących się w krakowskiej katedrze. Nie tylko przez turystów zafascynowanych nieprzemijającym urokiem tej kobiety. Także przez możnych i wielkich tego świata. Wiązanki kładli u grobu Jadwigi monarchowie, prezydenci i premierzy niemal wszystkich krajów świata. Także Karol Wojtyła, najpierw jako biskup Krakowa, a później papież Jan Paweł II.

Niewielu było w historii świata władców, którzy cieszyliby się jednocześnie pochlebną opinią historyków, miłością poddanych, wierną i serdeczną pamięcią narodu, którym rządili oraz najwyższym uznaniem Kościoła. Jadwidze dane były wszystkie te zaszczyty i dowody uznania. Już za życia jej osoba otaczana była legendą. Potem, przez kolejne wieki, trwał i umacniał się kult królowej, aby pod koniec XX wieku doprowadzić do jej beatyfikacji.

Zasłużyła sobie i na miłość ludzką, i na wyniesienie na ołtarze.

Nie tylko dlatego, że — cytując biskupa Stanisława ze Skarbimierza — była *ozdobą Królestwa Polskiego, ostoją ładu państwowego, klejnotem niezwykłym, ukojeniem wdów, pocieszycielką nędzarzy, ucieczką pokrzywdzonych, wspomoczeniem uciśnionych, świadectwem i osłoną prawa Bożego*. Także dlatego, czy przede wszystkim dlatego, że dzięki niej miało miejsce *wydarzenie najdonioślejsze, najbardziej przełomowe w dziejach Północy*.

Adam Mickiewicz w „Literaturze słowiańskiej” napisał: *Przyjmując Wielkiego Księcia Jadwiga pozyskała ogromne kraje dla chrześcijaństwa, a ów mocarz, ostatni i najgroźniejszy władca pogański poddając się kościołowi pociągnął za sobą całą Północ, a Polska nie tylko rozszerzyła swe dzierżawy, ale mogła odzyskać tysiące swej młodzi uprowadzonej przez pogan i więzionej w nieprzebranych puszczech litewskich (...) Książęta litewscy, potężniejsi od kniaziów moskiewskich, pewnie by wywrócili ich władzę; wtenczas Polska stałaby się ich łupem, a nawet Europie groziłoby wielkie niebezpieczeństwo. A tak wpływ Polski wziął górę nad wpływem Moskwy. Cywilizacja polska, osłaniana przez książąt litewskich, ogarnęła cały wielki obszar oddzielający ziemię nadwiślańską od naddnieprzańską; na tym obszarze połączyły się dwa rozdzielone narody*

słowiańskie.

Aby możliwe było owo *najdonioślejsze, najbardziej przełomowe w naszych dziejach wydarzenie*, młodzianka Jadwiga musiała zadać gwałt swojemu sercu i powiedzieć *tak* mężczyźnie, którego nie kochała i nigdy nie zdołała pokochać.

Jagiello był od niej starszy o lat dwadzieścia, nie był fizycznie pociągający i sięgał jej wzrostem co najwyżej do ramienia. Był też całkowicie jej obcy pod względem psychicznym.

Ona wychowała się w wyrafinowanej kulturze Zachodu. Była starannie wykształcona, lubiła intelektualne rozrywki: literaturę, muzykę, dyskusje o sztuce.

On wyrósł na potężnym i bogatym, ale wschodnioeuropejskim dworze. Był świetnie przygotowany do sprawowania władzy, ale nie zadbano o jego ogładę umysłową i intelektualną. Poza litewskim i ruskim nie znał żadnego języka, nawet „obowiązkowej” dla sfer wyższych łaciny. Gorzej — nie potrafił nawet czytać i pisać. Jego ulubioną i praktycznie jedyną rozrywką były polowania.

Miał niezwykle instynkt polityczny, potrafił sprawnie rządzić i był genialnym strategiem, ale w codziennym pożyciu atrakcyjny z pewnością nie był.

W każdym razie nie dla **tej** kobiety.

Jadwiga musiała pokonać naturalny w jej sytuacji strach oraz wstręt psychiczny i fizyczny. Jej matrymonialne *fiat* było na pewno większą i bardziej bolesną ofiarą niż składana na placu boju danina krwi.

Skupiając się na ofierze i poświęceniu Jadwigi zapomina się jednak niemal zupełnie o uczuciach Jagielly, po chrześcijańsku zwanym Władysławem.

A jeśli się nawet pamięta, to pomija lub bagatelizuje jego wyrzeczenia i poświęcenia. Ukazuje się jedynie korzyści, jakie stały się jego udziałem po zaślubieniu Jadwigi.

To prawda, że wraz z polską koroną Władysław Jagiello otrzymał przeogromną wprost władzę nad dwoma wielkimi krajami, zjednoczonymi sojuszem politycznym. To prawda, że otrzymał za żonę kobietę słynną na cały świat z urody, czaru i inteligencji. A w latach dojrzałych — także wielkiej mądrości. Prawda, że z czasem zyskał w Jadwidze najbardziej lojalnego i roztropnego doradcę przy podejmowaniu politycznych decyzji. A także bardzo zręcznego mediatora w konfliktach ze swym kapryśnym sojusznikiem, Wielkim Księciem Witoldem. Oraz największym i najgroźniejszym przeciwnikiem — Zakonem Krzyżackim.

Ale prawdą jest również, że ta śliczna kobieta przez kilka pierwszych lat małżeństwa odmawiała mu wstępu do swej sypialni, okazując mu na wszelkie sposoby niechęć i odrazę. Rzadko przywołuje się znamiennej scenę, kiedy Jadwiga, zbesztana podczas spowiedzi za nie wywiązywanie się z małżeńskich obowiązków, zawrzała tak wielkim gniewem, że przewróciła konfesjonał wraz z siedzącym w nim kapłanem.

W rok po ślubie doszło do innego skandalicznego incydentu. Zamkowa plotka głosiła, że na jednej z uczt wydawanych przez Jadwigę, pojawił się jej ex-narzeczonny, książę Wilhelm Habsburg. Książę wystąpił w przebraniu, *tańcował* z królową, a po kolacji miał się z nią spotkać. I to sam na sam!

Mąż królowej, wbrew porzekadłu, nie był *ostatnim*, który dowiedział się o zdradzie swej żony. Obecny na owej biesiadzie rycerz Gniewosz z Dalewic zawiadomił Władysława Jagiełłę, co dzieje się pod bokiem majestatu. A Władysław Jagiełło urządził Jadwidze iście karczemną awanturę, bulwersując nie tylko Kraków, ale i kraj cały. Jednocześnie do Jadwigi zaczęły docierać wieści o mężowskiej niewierności.

Obopólny gniew sprawił, że — jak pisze Szajnocha — *Jadwiga obracała się do męża ze wzgardą i unikała go*.

Racja stanu wymagała jednak, aby położyć kres dąsom królewskiej pary. Królestwo potrzebowało następcy tronu. *Unikanie się* przekreślało szansę na utrwalenie dynastii.

Zdołano więc przekonać zwaśnionych małżonków o konieczności pogodzenia się. W imię *nadrzędnych interesów*.

Jadwiga zgodziła się publicznie, przed kościelnym ołtarzem i powołując na świętą Ewangelię przysiąc, że dochowała mężowi wierności. Potem pozwała Gniewosza przed sąd. Sąd oczyścił królową z zarzutów, a oszczercę z Dalewic skazał na wysoką grzywnę i „odszczekanie” pomówienia. „Odszczekanie” w sensie całkiem dosłownym. Rycerz musiał wejść pod stół i zaszczekać, mówiąc przy tym, że *łgał jak pies*.

Od Władysława albo nie wymagano, albo też król nie chciał lub nie mógł oczyścić się w taki sam sposób z zarzutów, jakie jemu stawiano. Ani niczego nie przysięgał, ani nikt niczego na temat jego zdrad nie *odszczekiwał*. Mimo to doszło do oficjalnego pojednania małżonków. Stosunki między Jadwigą i Jagiełłą nie stały się wprawdzie bardziej serdeczne, ale przynajmniej poprawne. Nie na tyle jednak, aby kraj mógł cieszyć Jagiełłowym potomstwem i upragnionym dziedzicem tronu.

Nie wiemy, czy Władysław rzeczywiście uwierzył w niewinność swej żony. Nie wiemy, czy on sam był jej wierny. W każdym razie w roku 1387 po raz pierwszy pojawia się wzmianka o **jakiejś** kobiecie w życiu monarchy. I na wiele lat pozostała jedyną informacją dotyczącą tego tematu.

W chwili poślubienia Jadwigi Andegaweńskiej Władysław Jagiełło miał około 35 lat. Był więc o przynajmniej dwadzieścia lat starszy od swej lat oblubienicy, ale nie był stary. Był mężczyzną w sile wieku, pełnym witalności, silnym, zdrowym, energicznym. Miał wielkie ambicje, dalekosiężne plany i kilka dziesiątków lat życia przed sobą na ich zrealizowanie.

Nie był Adonisem. Ale rycerz Zawisza Czerwony z Oleśnicy, wysłany przez Jadwigę w celu dyskretnych, ale możliwie dokładnych oględzin jej przyszłego

małżonka raportował, że Jagiełło jest *foremnie zbudowany i wyglądem nie różni się od innych chrześcijańskich rycerzy*. Zawisza dobrze wiedział, a właściwie — dobrze widział, co mówi. Jagiełło, domyśliwszy się celu jego misji, zaprosił go bowiem do łaźni i wspólnej kąpieli.

Władysław, choć nie był przystojny, nie był jednak szpetny. No i miał rzadką w jego czasach zaletę — wielkie zamiłowanie do czystości. Codziennie korzystał z kąpieli.

Nie był też, czego Jadwiga bardzo się obawiała, prostakiem. Daleko mu było do jej wykształcenia, poziomu wiadomości i umiejętności, a także towarzyskiego obycia, ale potrafił zachować się dwornie, nie bywał ordynarny, ani brutalny. Nie miał zbyt błyskotliwego umysłu i nie brylował w rozmowach, ale miał za to zdolność rozumienia, co jest najważniejsze dla kraju, wybitne zdolności organizacyjne i przywódcze. Był bardzo skryty, nieufny, podejrzliwy, ale zarazem wytrwały w realizacji swych zamierzeń, stanowczy i zdolny do racjonalnego i skutecznego politycznego działania.

W Jadwidze te jego przymioty nie wzbudzały jednak cieplejszych uczuć. Tęskniła za urokliwym Wilhelmem, który w przeciwieństwie do jej małżonka, politykiem był żadnym, ale za to potrafił prawić wyszukane komplementy, grywał na lutni, deklamował wiersze i pięknie tańczył. No i zapewne był bardziej od Jagiełły wyrafinowanym zalotnikiem i kochankiem.

U innych kobiet Jagiełło miał całkiem spore wzięcie.

Nie jest ani możliwe, ani prawdopodobne, aby przed ślubem z Jadwigą nie miał przynajmniej jednej, zapewne wielu kobiet. Abu nie kochał i nie był kochany. Nie pozostawał w przelotnych i trwalszych miłosnych związkach

Żadne źródła nie podają informacji o litewskiej żonie lub kochance (kochankach) Jagiełły. Ale trudno sobie wyobrazić, aby człowiek pełniący najważniejszą rolę w Wielkim Księstwie był do trzydziestego piątego roku życia kawalerem. Być może więc wtedy, kiedy udawał się do Krakowa, pozostawiał w Wilnie kobietę, z którą dzielił wcześniej życie. Być może zostawiał w Wilnie także swoje serce.

Nikt go o to jednak nie pytał. A on sam nigdy o tym nie wspominał.

Przez pierwsze lata swego małżeństwa z Jadwigą musiał boleśnie odczuwać jej niechęć i afronty, których mu nie szczędziła. Jego męska ambicja musiała być wiele razy bardzo boleśnie zraniona. Być może to odtrącenie przez żonę powodowało, że rzadko przebywał na Wawelu. Bardzo rzadko też zabierał Jadwigę, udając się w podróż lub na polowania.

Właściwie — król i królowa prowadzili dwa całkowicie odrębne dwory i dwa całkowicie odrębne życia. Ich spotkania były i rzadkie krótkotrwałe. Skrupulatni kronikarze wyliczyli, że w niektórych latach małżonkowie spędzili ze sobą co najwyżej kilkadziesiąt dni w roku. A bywało, że przestawali z sobą jeszcze

rzadziej.

Wspomnieliśmy, że Jagiełło niemal nieustannie podróżował. Były to w większości — nazwijmy je dzisiejszym określeniem — podróże służbowe. Ale bywały także podróże dla przyjemności. Król odwiedzał polskich i litewskich wielmożów. Bardzo często i bardzo długo — jak napomknęliśmy — polował.

Czy te samotne wyjazdy poza Wawel nie były zarazem próbą ucieczki z miejsca, w którym czuł się odtrącony przez kobietę? I od niej samej? Czy w czasie wielomiesięcznej rozłąki z niechętna mu żoną nie szukał pociechy w ramionach innej? Innych?

Po kilku latach małżeństwa stosunki w królewskim stadle najpierw trochę, a potem znacznie się polepszyły. Jadwiga wydorosłała i zaczęła doceniać wszystkie, a przynajmniej wszystkie polityczne talenty męża. I zaczęła go wspierać w jego poczynaniach, w jego imieniu podejmowała się trudnych mediacji. Najwyraźniej zrozumiała też znaczenie, jakie ma dla przetrwania polsko litewskiego sojuszu trwałość dynastii.

Po dwunastu latach małżeństwa zawiadomiła męża, że spodziewa się dziecka. Napisała do niego, że „*Bóg zdjął z niej hańbę bezpotomności*”. Ale nie było to zasługa jedynie Boga. Także zgody Jadwigi na intymne kontakty z mężem.

Jeżeli w związku tych dwojga, pod każdym względem niedobrych ludzi, istniał okres względnej harmonii, to były to miesiące, kiedy Jadwiga nosiła w łonie dziedzica tronu. A zarazem ostatnie miesiące jej życia.

Władysław, dowiedziawszy się, że zostanie ojcem, szalał ze szczęścia. Pragnął przychylić Jadwidze nieba. Obdarzał ją kosztownymi prezentami, chciał jej komnatę obić złotogłowiem, wszystkich monarchów Europy, a nawet samego papieża Bonifacego zawiadamiał o Wielkim Wydarzeniu i zapraszał na Wawel, gdzie miały odbyć się uroczystości związane z chrztem dziedzica tronu. Jadwiga przyjmowała objawy serdeczności męża z właściwą sobie rezerwą, ale na pewno znacznie łaskawiej i uprzejmiej niż niegdyś.

Śmierć małej królowej, Elżbiety Bonifacji, i to już w cztery dni po urodzeniu, i prawie jednoczesna śmierć jej matki zdawały się przekreślać sens poprzednich trzynastu lat oraz wzajemnych ofiar i wyrzeczeń. Królowa Jadwiga, jako prawnuczka Władysława Łokietka, legitymizowała prawo małżonka do polskiego tronu. W żyłach ich dzieci płynęłaby wszak piastowska krew. Owdowiały Jagiełło czuł się na polskim tronie o wiele mniej pewnie.

Przewidując to Jadwiga przed śmiercią i w jej przeczuciu wskazała osobę swojej następczyni przy boku Władysława. Nową królową Polski miała zostać inna prawnuczka Łokietka, a więc także Piastówna, Anna Cyllejska.

Dla dobiegającego już pięćdziesiątki Jagiełły małżeństwo to stało się polityczną koniecznością. W dodatku, zważywszy na potrzebę posiadania potomstwa, pilną koniecznością. Tymczasem król wyraźnie grymasił.

Kandydatka na nową żonę nie należała do piękności. Przeciwnie — była wyjątkowo szpetna. Tyle, że uroda nie miała żadnego znaczenia przy zawieraniu monarszych związków. Poza tym Jagiełło miał za sobą przykre doświadczenia z pożycia z piękną kobietą. Tak więc brak kobiecych wdzięków raczej nie stanowił głównej przyczyny jego oporów wobec poślubienia Anny. Przyczyną, ale to wyjaśniło się dopiero po piętnastu latach, była najprawdopodobniej miłość króla do innej kobiety.

Jej postać i imię przewijają się nieustannie od momentu pojawienia się Jagiełły na Wawelu. Żaden jednak z obserwatorów dworskiego życia przez ponad dwadzieścia lat jego panowania nie zanotował w kronikach jakichkolwiek oznak przywiązania i namiętności, jaka łączyła i połączyła tych dwoje ludzi.

W dniu 15 lutego 1386 roku., kiedy w Katedrze Wawelskiej polewano Wielkiego Księcia chrzcielną wodą święconą, nadając mu imię Władysława, najważniejszą asystentką ceremonii była Jadwiga z Melsztyńskich Pilecka. Tę najmożniejszą i najbardziej poważaną damę Królestwa wybrano bowiem na matkę chrzestną polskiego monarchy.

Jadwiga Pilecka miała córkę-jedynaczkę, Elżbietę. Elżbieta poprzez sakrament Jagiełłowego chrztu stawała się jego kanoniczną siostrą. Wchodziła więc niejako do całej jego — i to najbliższej — rodziny.

Pileccy byli ze wszech miar godni zaszczytu, jaki im przypadł w udziale. Otton z Pilczy był człowiekiem bajecznie bogatym i niezmiernie wpływowym. Przez wiele lat pełnił funkcję jednego z najbliższych i najbardziej zaufanych powierników i doradców króla Kazimierza Wielkiego. Z kolei brat jego żony, Jadwigi, sławny rycerz Spytko z Melsztyna, przyczynił się do osadzenia na polskim tronie Ludwika Węgierskiego, a następnie jego córki, Jadwigi. To on towarzyszył przyszłej królowej w jej podróży z Budy na Wawel.

Spytko z Melsztyna to także główny — używając współczesnego języka — *architekt* polsko-litewskiego sojuszu. Za swoje zasługi otrzymał od Ludwika Andegaweńskiego, a potem od królowej Jadwigi i króla Władysława Jagiełły najwyższe zaszczyty i stanowiska w państwie: starosty i wojewody krakowskiego, a także nadwornego marszałka dworu.

Już samo urodzenie w takiej rodzinie dawało niezmiernie wysoką i uprzywilejowaną pozycję a także dostęp do obydwójga monarchów w niemal nieograniczonym zakresie. Trudno sobie wyobrazić, by nie tylko Spytko, ale i Elżbieta Pilecka z tych możliwości nie korzystali.

Kroniki podają dwie różniące się aż o lat osiem daty jej przyjścia na świat: rok 1372 oraz 1380. Ta druga wersja wydaje się jednak mało prawdopodobna. Jeśli więc przyjąć za bardziej wiarygodną pierwszą z wymienionych dat, to wówczas Elżbieta Pilecka byłaby rówieśniczką królowej Jadwigi. Być może należała nawet do jej fraucymeru. A jeśli nie, to i tak musiała doskonale znać większość dworek

otaczających młodziutką monarchinię. Pochodziły przecież, tak jak ona, z najmożliwszych rodów królestwa, powiązanych ze sobą najrozmaitszymi interesami i koligacjami. Na pewno zaś znała najbliższą Jadwidze dwórkę, Węgierkę Elżbietę Bebekównę.

Elżbieta Bebek przybyła do Polski wraz z orszakiem Jadwigi Andegaweńskiej. Młodziutka, urodziwa i pełna temperamentu Węgierka bardzo szybko zwróciła na siebie uwagę Spytka z Melsztyna. Polski rycerz cierpliwie odczekał, aż *doszła do lat*, a następnie ją poślubił. Ślub Spytka i panny Bebekówny odbył się w kilka tygodni po zaślubinach pary królewskiej. A swoją okazałością i wystawnością niemalże dorównywał tamtej ceremonii. Nic w tym dziwnego zważywszy na majętność pana młodego powiększoną dodatkowo o przebogate wiano jego wybranki.

Poślubiwszy Spytka, Elżbieta Bebekówna stała się wujenką swej rówieśnicy i imienniczki, Elżbiety Pileckiej.

Był jeszcze jeden związek łączący bardzo blisko Elżbietę Pilecką z dworem wawelskim i królem. Jej serdeczną przyjaciółką była rodzona siostra Jagiełły, Aleksandra, żona księcia Ziemowita Mazowieckiego. Panie niezmiernie często odwiedzały się w swoich dobrach i bardzo lubiły spędzać czas w swoim towarzystwie. Elżbieta musiała więc wiele razy spotykać Władysława podczas składanych Aleksandrze wizyt. Król był bowiem ogromnie przywiązany do siostry i podczas podróży po kraju niemal zawsze odwiedzał ją w jej zamkach. Spotykali się też w siedzibach wspólnych krewniaków i znajomych. A więc zapewne i w licznych (i wspaniałych) dworach należących do Elżbiety.

Gdyby nawet nie istniały te wszystkie rodzinne i towarzyskie koneksje pomiędzy królem i Elżbietą Pilecką, Jagiełło i tak nie jeden raz musiałby słyszeć o tej kobiecie. Bo z *urzędu* nader często przychodziło mu zajmować się i jej osobą, i jej sprawami.

Życie tej kobiety pełne było niesłychanych i sensacyjnych wydarzeń. Swoim współczesnym Elżbieta dostarczała przez dziesiątki lat nie lada materiału do snucia fantastycznych opowieści i najrozmaitszych domysłów i plotek.

Jako panna uchodziła za najlepszą partię w Polsce. O jej rękę ubiegały się tłumy konkurentów. I choć matka pilnowała tego skarbu jak oka w głowie, Elżbietę udało się jednak wykraść z rodzinnego zamku w Łańcucie. Raptu dokonał rycerz z Moraw, Wyszł Czambor. Pozostanie na zawsze tajemnicą, czy ów desperat dokonał rzeczywistego porwania, czy nastąpiło ono za cichym przyzwoleniem branki.

Czambor wywiózł Elżbietę poza granicę Polski i tam ją poślubił. To znaczy — twierdził, że ją poślubił. Nie ma żadnych dowodów na zawarcie tego małżeństwa. Jeśli jednak przyjąć, że jakiś duchowny rzeczywiście połączył stulą rękę tych dwojga, to ani polski kościół katolicki, ani polska władza świecka — ergo

królewska — nie uznali ważności tego związku.

Elżbieta niedługo przebywała na Morawach. Wkrótce pojawił się w zamku Czambora inny jej wielbiciel, rycerz Jańczyk z Hińczy i odbił porwaną pannę (mężatkę?). Mimo pogoni zdołał ją dowieźć do Krakowa. I tam, tym razem oficjalnie, za wiedzą matki Elżbiety, jej wuja Spytka z Melsztyna oraz samego monarchy również wziął z nią ślub.

Czambor wciąż jednak nie rezygnował ze swojej cennej zdobyczy. Przybył do Krakowa, aby odebrać swoją własność. Hińczycki nie stanął z nim jednak w rycerskie szranki; nie wyzwiał Czambora na Sąd Boży. Postąpił znacznie mniej honorowo, ale za to o wiele bardziej pragmatycznie. Zamordował rywala, gdy ten wychodził z krakowskiej łaźni.

Była to więc dosłownie *gardłowa* sprawa. I jako taka musiała trafić przed oblicze najwyższego sędziego, czyli króla Władysława Jagiełły.

Elżbieta była najważniejszym świadkiem podczas owego procesu. Nie wiemy jednak, w jaki sposób przedstawiła swoją wersję wydarzeń. Czy powiedziała prawdę i tylko prawdę? Czy mogła ją ujawnić nie narażając swojego dobrego imienia? Kogo broniła? Własnej reputacji? Czambora? Jańczyka? Zapewne tego ostatniego, ponieważ popełnione przez niego zabójstwo zostało usprawiedliwione *wyższymi racjami*, a on uwolniony od kary.

Nie wiadomo, czy związek Elżbiety i Jańczyka z Hińczy był szczęśliwy. Wiadomo, że był krótkotrwały. Drugi mąż Elżbiety z Pileckich-Czamborowej-Hińczyckiej zmarł w bardzo tajemniczych okolicznościach po kilku zaledwie latach pożycia z Elżbietą. Młodziutka, ale już dwukrotna wdowa stała się jeszcze bardziej łakomą partią niż w czasach swego panieństwa. Jańczyk pozostawił bowiem po sobie okazałą schedę.

Elżbieta jako mężatka (i to dwukrotna) była już pod każdym względem panią swojej woli. Nikt jej nie mógł narzucać kolejnego męża. Mogła — jeśliby zechciała — pójść nawet za głosem serca. Aż dziw, że tego nie zrobiła. Decyzję o swoim dalszym losie pozostawiła w rękach wuja, Spytka z Melsztyna. Zapewne doskonale wiedziała, że nie dokona on wyboru jej nowego męża bez wiedzy i rady monarchy. Tak naprawdę zawierzyła Władysławowi Jagielle.

Zdawać by się mogło, że mając tak nieograniczone możliwości wyboru, marszałek królewskiego dworu i sam monarcha zdecydują się na kandydata godnego pozycji społecznej i majątności Elżbiety. Tymczasem stało się coś przedziwnego. Nowy pretendent do ręki Elżbiety, Wincenty Granowski był wprawdzie spowinowacony z Melsztyńskimi, ale należał raczej do ich ubogich krewnych. Nie piastował też żadnych wysokich stanowisk. Nie cieszył się względami swej przyszłej żony. Ani żadnymi szczególnymi przymiotami ciała, duszy i umysłu. Należałoby więc zapytać, dlaczego temu hołyszowi dostał się — i to za pośrednictwem najwyższych dostojników państwa — najlepiej oprawny

klejnot Królestwa? Nasuwa się przypuszczenie, że pan Wincenty miał pełnić jedynie rolę alibi dla kogoś, kto naprawdę zawładnął (lub pragnął zawładnąć) sercem i osobą Elżbiety, ale poślubić jej nie mógł.

Elżbieta zapewne rozumiała złożoność własnej sytuacji. I pewnie dlatego powiedziała „*tak*” mężczyźnie, który nie wzbudzał w niej żadnych ciepłych uczuć. Natomiast król miał do tego człowieka dziwną i niczym nie uzasadnioną słabość. Albo może należało by rzec — miał wielką słabość do pani Granowskiej, a jej mąż jedynie potrafił wyzyskać królewskie uczucia do swojej małżonki.

Jak wspomnieliśmy Wincenty Granowski był życiową miernotą. Jeśli czymś się odznaczył, to jedynie niepospolitym pieniactwem i niebywałą rozrzutnością. Od początku małżeństwa darł koty ze swoją teściową i dwukrotnie napadał na jej dobra. Był to akt nie byle jakiej arogancji zważywszy, że Jadwiga Pilecka, jako matka chrzestna monarchy zajmowała na dworze wawelskim drugą po królowej Jadwidze pozycję wśród polskich dam. I była niejako „królowa matką”.

Granowskiemu nie dość było burd z teściową i sąsiadami, nie wystarczało mu trwonienie pieniędzy żony i zaciąganie horrendalnych długów. Wincenty Granowski pozwał przed sąd króla. Pretekstem był zamek w Śremie, do którego obaj panowie rościli sobie prawa. Granowski proces wygrał, ale — co zadziwia najbardziej — król nie chował do niego z tego powodu urazy.

Mimo braku jakichkolwiek zasług oraz kwalifikacji do pełnienia ważnych państwowych funkcji i misji, Granowski wciąż je otrzymywał. W 1410 roku Jagiełło wysłał go jako jednego z członków swojej delegacji (czyli „najwyższego szczebla”) do Pragi Czeskiej, gdzie król Wacław miał rozsądzić polsko-krzyżacki spór. Jagiełło mianował też męża Elżbiety kasztelanem nakielskim. A po bitwie pod Grunwaldem — dowódcą Torunia.

W tym miejscu należy Granowskiemu oddać sprawiedliwość. W czasie decydującej rozprawy z Zakonem, wsparł króla własną, dowodzoną przez siebie chorągwią. Także syn Elżbiety z jej poprzedniego małżeństwa, Janusz Hińczycki przywiódł na pole bitwy swój rycerski zastęp. Można domniemywać, że prywatne wojsko i męża, i syna opłacane było z kiesy ich żony i matki. Ale chrobrość, jaka się w walce odznaczyli, była wyłącznie ich zasługą.

Pobył w Toruniu okazał się dla świeżo mianowanego dowódcy miasta, Wincentego Granowskiego, fatalny w skutkach. W nigdy niewyjaśnionych okolicznościach został otruty. I zmarł. A Elżbieta została wdową po raz trzeci. Tym razem jednak już nikt jej do zamążpójścia nie namawiał, a i ona sama się do tego nie kwapiła. Choć, obiektywnie, nic nie stało temu na przeszkodzie. W 1410 roku miała lat trzydzieści. Nie uchodziła za kobietę pierwszej młodości, ale z pewnością było bardzo wielu mężczyzn — i młodszych, i jej rówieśnych, i starszych — którzy pożądliwym okiem spoglądali zarówno na fertyczną wdówkę, jak i jej przeogromną fortunę.

Ale Elżbieta, niby Penelopa, odprawiała zalotników z kwitkiem. I dopiero w sześć lat później okazało się, kim był Odys, na którego postanowiła wiernie czekać.

Kiedy porywał ją Czambor, a potem odbijał Jańczyk Hińczycki, król był żonaty z Jadwigą. Jeżeli nawet interesował się wówczas bohaterką wielkiego miłosnego skandalu, nie mógł tego okazać. Królowa Jadwiga cieszyła się tak wielkim i tak powszechnym szacunkiem, otoczona była tak ogromną miłością i czcią swego ludu, że ten nie dopuściłby, aby ktokolwiek — choćby i sam król — uchybił ich uwielbianej i świętej pani.

Z legendą, jaka otaczała Jadwigę już za jej życia nie mogła się mierzyć się żadna — choćby najpiękniejsza, choćby najbardziej pociągająca — niewiasta. Kiedy Jadwiga zmarła, od króla oczekiwano najpierw głębokiej żałoby, a następnie — ponownego i w dodatku szybkiego ożenku. Dla poddanych było wprawdzie oczywiste, że żadna kobieta na świecie nie może być taką doskonałością, jak zmarła królowa, ale zdawano też sobie sprawę, że względy polityczne i dynastyczne wymagają, aby król koniecznie miał legalne potomstwo. I to — zważywszy na jego wiek — możliwie szybko.

Ponieważ królowa Jadwiga w ostatniej woli wskazała swoją następczynię, wydawało się — nic prostszego niż wysłać dziewczęta do Cylli. Nie było żadnej obawy, że Anna Cyllejska lub jej opiekunowie dadzą Władysławowi kosza. Przeciwnie — dla ubogiej i w dodatku brzydkiej księżniczki małżeństwo z jednym z najpotężniejszych monarchów Europy stanowiło niebotyczny wprost społeczny awans i niepowtarzalną życiową gratkę.

O ile panienska rwała się do tego małżeństwa, o tyle Jagiełło szukał wszelkich pretekstów, by go nie zawierać. A przynajmniej — odłożyć w czasie. W pewnym momencie zagroził nawet, że raczej zrezygnuje z polskiego tronu i wróci na Litwę niż ożeni się po raz wtóry. W każdym razie z Anną Cyllejską. A o innych kandydatkach nie było w ogóle mowy.

Gdyby rzeczywiście król abdykował, byłaby to decyzja o wręcz niewyobrażalnych następstwach.

Tragiczna dla Polski. Tragiczna dla Litwy. Mogąca mieć niekorzystny wpływ na losy całej Europy. Cieszyliby się z niej jedynie nieprzyjaciele Polski i Litwy, zainteresowani w zerwaniu sojuszu łączącego te kraje lub przynajmniej jego osłabieniu. Używano więc wszelkich możliwych argumentów, próśb i nacisków, aby Jagiełło pozostał na Wawelu.

Minął rok 1400. Jagiełło nie dawał wiążącej odpowiedzi. Nadszedł rok 1401. Władysław powiedział wreszcie „*tak*”.

Czy owo „*tak*” przedyskutował wcześniej z Elżbietą Granowską? Czy rozmowa z nią i jej zdanie miały dla króla znaczenie? Czy to Elżbieta zadecydowała wówczas o przyszłych losach Królestwa i Wielkiego Księstwa?

W takim samym stopniu, jak piętnaście lat wcześniej, Jadwiga o utworzeniu polsko-litewskiego sojuszu?

Władysław Jagiełło powiedział swoje „*fiat*” i Anna Cyllejska wyruszyła w drogę do Polski. Przybyła do Krakowa 16 lipca 1401 roku. Król w otoczeniu dostojników wyszedł na jej spotkanie, ale nawet nie próbował udawać, że rad jest z jej przybycia.

Trudno mu się dziwić. Anna istotnie nie była powabna. Miała jednak zaletę o wiele dla przyszłej królowej istotniejszą. Pochodziła z piastowskiego rodu, a więc mogła uprawomocnić nie tylko Jagiełłowe panowanie, ale i dziedzictwo jego tronu. Poza tym wielkim jej przymiotem był młody wiek. Miała lat dwadzieścia, a więc mogła rodzić przez wiele lat wiele dzieci. A ponieważ była zdrowa, była szansa na silne i zdrowe potomstwo.

Łatwo i chętnie tłumaczono awersję króla do narzeczonej jego nieukojonym jeszcze bólem po stracie Jadwigi. Czy to jednak istotnie żałoba — i tylko żałoba — po pierwszej żonie i niewygasły do niej sentyment sprawiały, że nie był w stanie zaakceptować innej kobiety u swego boku? A może była już w jego życiu **inna** kobieta i właśnie dlatego nie chciał ani nowego małżeństwa, ani nawet polskiego tronu.

W piętnaście lat później Władysław rozegra identyczną życiową sytuację w zupełnie inny sposób. Nie będzie już ukrywał istnienia owej **innej** kobiety. Zamanifestuje swoje prawdziwe uczucia wobec zdumionego otoczenia. Zdumionego nie tylko tym, kim jest jego ukochana, ale także faktem, że przez wiele lat (może nawet dziesiątków lat) nie dostrzegano jej roli w życiu Jagiełły. I że choć stale obecna przy i na królewskim dworze zdołała ukryć swój związek z królem. I ich wzajemne uczucie, które okazało się silniejsze od politycznego rozsądku, wszelkich racji stanu i przyszłości dwóch krajów i narodów.

Ale na razie na Wawelu przebywała Anna Cyllejska. Ciągłe w charakterze narzeczonej. Niechcianej narzeczonej.

Biedaczka, pod pozorem nauki języka, w którym mogłaby porozumiewać się z przyszłym mężem, spędzała czas w otoczeniu swoich dworów, nauczycieli i polskich możnowładców. Czy poznała i zetknęła się w tym smutnym i trudnym dla siebie okresie z Elżbietą Granowską? Trudno sobie wyobrazić, aby najznamienitsza z polskich dam nie pojawiła (pojawiała) się na królewskim wzgórzu. Trzeba było przecież wprowadzać przyszłą królową w realia kraju i dworu, na którym miała grać pierwsze skrzypce. Zwłaszcza, że w te realia nie wprowadzał jej Władysław. Król wyjechał bowiem z Krakowa, udając się w bardzo długą podróż. I nie było wcale pewne, czy z niej na Wawel powróci.

Kronikarze, którzy w okresie trwania jego małżeństwa z Jadwigą dyskretnie milczeli o intymnej sferze życia monarchy, po jej śmierci zaczęli przebąkiwać o *królewskich miłostkach*. Wciąż jednak nie padało żadne imię żadnej *miłostki*.

W każdym razie Elżbieta pozostawała wciąż poza wszelkimi podejrzeniami.

W średniowieczu nie było paparazzich, którzy wykryli by tajemny romans na najwyższym szczyście władzy. A jeśli był ktoś, kto o nim wiedział, to najwidoczniej miał na tyle rozumu, aby milczeć.

W 1402 roku król, ulegając coraz silniejszym politycznym naciskom ożenił się wreszcie z Anną Cyllejską. I niechętnie, bo niechętnie (i jak się wydaje — niezbyt szybko), ale w końcu swoje nowe małżeństwo „skonsumował”. Żywym dowodem owej „konsumpcji” była urodzona (ale dopiero w 6 lat po ślubie) dziewczynka. Dla uczczenia pamięci ukochanej królowej nadano jej na chrzcie świętym imię Jadwiga.

Monarcha najwyraźniej jednak nie kontynuował małżeńskich obowiązków i Jadwiga Jagiełłówna pozostała jedynaczką. Przez następnych 14 lat Anna nie rodziła już ani córek, ani — jakże upragnionych przez wszystkich — synów.

Małżeństwo króla stawało się z roku na rok coraz bardziej „papierowe”. Małżonkowie żyli w faktycznej separacji i spotykali się jedynie na oficjalnych uroczystościach. Po wiktorii grunwaldzkiej kronikarze donoszą o kilku krótkich spotkaniach pary monarszej. Na przykład w Opatowie z okazji Święta Trzech Króli.

Królowa pojechała wówczas z mężem do Radomia, ale — jak donosi Długosz — *król ją wkrótce odesłał*.

W okresie 14 lat trwania małżeństwa Anny i Władysława król tylko dwa razy wykazał autentyczne zainteresowanie żoną. Zainteresowanie przejawiało się w straszliwych awanturach, jakie jej urządził z powodu podejrzenia o zdradę.

Prawdę mówiąc — Anna sama sobie była winna. Wiedząc, jak bardzo mało znaczy w życiu męża i pragnąc go choć troszkę zająć swoją osobą, poskarżyła się, że — jak to byśmy dziś ujęli — jest molestowana seksualnie. I to przez kogo! Jego ekscelencję biskupa Mikołaja Kurowskiego.

Doprawdy trudno uwierzyć, aby ten szacowny (i bardzo już sędziwy) duchowny miał składać nieprzystojne propozycje królowej. Jako jeden z najbliższych współpracowników króla spędzał wprawdzie wiele czasu na Wawelu, ale mało prawdopodobne, aby odczuwał cielesne pokusy wobec najbrzydszej kobiety na dworze. Król wszczął jednak śledztwo w sprawie tego najoczywistszego dla wszystkich — poza nim — pomówienia. Biskup — zgorszony, przerażony i urażony zmarł na atak serca.

Jagiełło ochłonął ze wzburzenia. Zrozumiał nedorzecznosc rzucanych przez żonę oskarżeń. Zamiast kontynuowania scen zazdrości zaczął wypominać jej głupotę.

Inny incydent miał miejsce w 1408 roku. Kasztelan wiślicki doniósł wówczas królowi, że Anna Cyllejska cudzołożyła i to aż z dwoma rycerzami: Jakubem z Kobyлина oraz Mikołajem Chrzastowskim. Kochankowie mieli

swawolić tak namiętnie, że na skutek ich miłosnych igraszek zapadła się podłoga w wawelskiej sypialni Anny. Oskarżenie równie absurdalne, jak poprzednie. Ale król, jak zawsze przewrażliwiony na punkcie zdrady, zawrzał wielkim gniewem. Na szczęście dla Anny i jej (rzekomych?) zalotników ten gniew był krótkotrwały. Dzięki temu Anna nie podzieliła losu swej angielskiej imienniczki, Anny Boleyn.

Kiedy Anna Cyllejska szczęśliwie urodziła córkę, król nie okazał spodziewanej radości. Nadal prawie stale przebywał poza Krakowem, a dzieckiem się nie interesował.

Ulubionym miejscem krótszych i dłuższych pobytów Jagiełły były w tym czasie rezydencje jego siostry Aleksandry Ziemowitowej. Kronikarze podkreślają, że jej dwory stały się ośrodkami życia towarzyskiego, a ona sama wprowadzała w owo życie mnóstwo nieznanych dotąd w Polsce zabaw, gier i rozrywek. Jej ambicją było wprowadzenie do Polski zachodnich obyczajów. Takich, jakie panowały na przykład na dworze francuskim czy wiedeńskim. Na zamku księcia Ziemowita Mazowieckiego urządzano więc nieustannie turnieje rycerskie, biesiady, a także *koncerty kapeli lutnistów i fletnistów*. Sama gospodyni była wielce rada śpiewom, muzyce i pląsom.

Nie stroniła też od uciech stołu, na którym pojawiały się ulubione przez nią i inne niewiasty *kręcone ciasta, czyli torty, konfitury i powidelka oraz miodek*. Za szczególne specyjały uważano również *rozmaite placki, obwarzanki i pirogi z serem*.

Władysław wyraźnie gustował w atmosferze siostrzanego domu. Być może panująca tam wesołość stanowiły dlań odskocznię wobec posępności Wawelu, na którym kiedyś, w czasach świątobliwej Jadwigi, panowała surowa asceza, a w czasie obecności Anny — straszliwa nuda.

Elżbieta Granowska, stały gość przyjęć i zabaw urządzanych przez księżną Aleksandrę, stanowiła przeciwieństwo obydwu królewskich małżonek. W niczym nie przypominała pobożnej Jadwigi, wiecznie za coś lub za kogoś pokutującej i uważającej pozycję z mężczyzną (choćby nawet własnym mężem) za rodzaj umartwienia. Ani zakompleksionej, wiecznie zastrachanej, mazgajowatej Anny. Elżbieta wносиła w życie Jagiełły wiele radości, a jej towarzystwo pozwalało mu zapomnieć o kłopotach natury zarówno politycznej, jak i osobistej.

Król z natury był niezwykle szczodry. Karol Szajnocha pisze, że Władysław *raz po raz upominkami kosztownymi obdarza siostrę, kupuje dla niej kólczyki, kanaki, siodła, kubki złociste i nie zapomina nawet o jej pannach służebnych*. Z późniejszych relacji wiadomo, że nie zapominał także o Elżbiecie. Ona również otrzymywała prawdziwie królewskie dary. Jako „kanoniczna siostra” Jagiełły miała jednak zwyczajowe prawo do otrzymywania nawet bardzo wyszukanych i bardzo kosztownych podarunków. Przez długi czas wręczane jej *kólczyki* czy *kubki złociste* nie wzbudzały więc podejrzeń co do uczuć łączących owo „kanoniczne

rodzeństwo”.

Nadszedł rok 1415. Anna Cyllejska podczas podróży z Wiślicy do Podolan *przekąsiła cośkolwiek* po czym zaniemogła. I nie była to przejściowa niestrawność. Po kilku miesiącach nieustannych boleści królowa zmarła. Miała wówczas około 35 lat. Nigdy przedtem nie chorowała, a już na pewno na jakąś przewlekłą i ciężką chorobę. Mimo woli przypomina się więc dziwnie podobna przyczyna śmierci męża Elżbiety Granowskiej. Sześć lat wcześniej Wincenty wszakże także *przekąsił cośkolwiek*, po czym umarł.

Ani w sprawie jego śmierci, ani w sprawie śmierci królowej nie wszczynano jednak żadnego dochodzenia. Najwidoczniej nikt nie chciał dociekać prawdziwej przyczyny, ani ewentualnych sprawców obydwu zgonów.

Król, zawiadomiony o niedyspozycji, a potem coraz poważniejszych niedomaganiach żony, nie wydawał się zbytnio nimi przejęty. Przybył do Krakowa dopiero 19 stycznia, a więc na dzień przed śmiercią Anny. 20 stycznia dzwony wawelskiej katedry i krakowskich kościołów obwieściły żałobną wieść o zgonie królowej.

Historia zatoczyła koło i wróciła do punktu wyjścia. Niemal punktu wyjścia. Sytuacja zmieniła się bowiem o tyle, że Polsce nie groziło już bezkrólewie. Jagiełło miał ośmioletnią córkę, prawowitą następczynię tronu. Mimo to powszechnie życzo no sobie, aby król wzmocnił owo następstwo płodząc syna, a najlepiej — gromadkę dzieci. Jedyńactwo małej Jadwigi wydawało się Polakom zbyt kruchą podstawą dla przyszłości państwa.

Oczekiwano więc kolejnego małżeństwa Władysława Jagiełły.

Król przekroczył już wprawdzie sześćdziesiątkę, ale zdrowie wciąż mu dopisywało. Nadal był silnym i witalnym mężczyzną. Zdolnym do płodzenia dzieci.

Zaprezentowano — zdawałoby się — wymarzone kandydatki.

Jedną z nich była księżna Elżbieta, bratanica Zygmunta Luksemburskiego. Była już wprawdzie wdową, ale niestara i — czego wcześniej dowiodła — mogącą jak najbardziej zostać matką.

Drugą była księżniczka moskiewska, wnuczka Jagiełłowego stryjecznego brata, Wielkiego Księcia Witolda.

Z politycznego punktu widzenia odrzucenie którejkolwiek kandydatki byłoby wielkim afrontem tak dla nich samych, jak — może jeszcze bardziej — dla swatów. Za pierwszą pretendencją do tytułu królowej Korony Polskiej stał jej potężny stryj, Zygmunt Luksemburski. Za drugą optował najbliższy krewniak i największy sojusznik Jagiełły w jego bojach z Krzyżakami, książę Witold.

Podczas, gdy polscy i litewscy panowie zastanawiali się, która propozycja będzie bardziej korzystna dla ich kraju(ów), lub inaczej — która będzie możliwa do odrzucenia, Jagiełło zawetował obydwie. Pamiętając, że piętnaście lat wcześniej

jego opór wobec niechcianego małżeństwa został w końcu złamany, tym razem postanowił postawić na swoim. I odrzucić wszelkie racje stanu na rzecz racji serca.

Podczas, gdy na Wawelu debatowano i radzono nad wyborem nowej żony dla Władysława i ewentualnej matki upragnionego następcy tronu, król przebywał w Lubowli.

Nie sam.

Towarzyszyły mu — rodzona siostra Aleksandra i „siostra kanoniczna”, Elżbieta Granowska. Być może otoczenie i tym razem nie zwróciłoby szczególnej uwagi na obecność tej damy przy boku króla. W końcu od dziesiątków lat była bardzo blisko związana z dworem zarówno księżnej Aleksandry, jak i królewskim. I — jak się wydawało — nic zdrożnego z tego nie wynikało. Poza tym Elżbieta nie była już młodką, dla której mężczyzna mógłby stracić głowę. Ta trzykrotna wdowa, matka czworga dorosłych dzieci, z piątym krzyżykiem na karku uchodziła za stateczną matronę, a nie obiekt zalotów.

Kiedy jednak wyjeżdżała z Lubowli otrzymała od króla dary tak bogate, że musiało to zastanowić obserwatorów i wywołać komentarze. Uznano, że najbardziej nawet cenionej starej przyjaciółce nie daje się aż tak zbytkwownych upominków. Ale mimo to wciąż jeszcze nie podejrzewano, że za wyjątkową szczodrością Władysława kryje się za coś głębszego i poważniejszego aniżeli znana wszystkim królewska ochota do obdarowywania miłych sobie ludzi hojnymi darami. A już na pewno nikt nie przypuszczał, że Elżbieta to największa i najbardziej płomienna miłość jeśli nie całego Jagiełłowego życia, to tej jego części, którą spędził w Polsce.

Pani Granowska udała się z Lubowli do rodzinnego Łąncuta. Król podążył za nią. Spędził w zamku Łąncuckim dwa dni, ale jakże znaczące dla jego losu, losu Elżbiety i losu naszego kraju.

W ciągu tych dwóch dni Władysław zawiadomił najpierw Wielkiego Księcia Witolda, a potem innych możnowładców, że się żeni. Nie z księżną brabancką, nie z księżniczką ruską lecz z panią Elżbietą z Pileckich primo voto Czamborową secundo voto Hińczyką tertio voto Granowską.

Rozpętało się istne piekło. Moźnowładcy i szlachta, szczególnie wielkopolska, apelowali do króla o rozwagę. Ówczesny podkanclerzy, Zbigniew z Oleśnicy, groził Jagielle ekskomuniką za kazirodztwo. Posłowie polscy, którzy znajdowali się w tym czasie w Konstancy, dowiedziawszy się o decyzji swego władcy, *rzewnymi łzami się oblali*.

Najbardziej oberwało się Elżbiecie. Licytowano się w wyliczaniu jej wad i opisywaniu szpetoty. Długosz bezlitośnie wypominał jej *zmarszczki na zwiędłym obliczu*. Inni pisali, że *w latach podeszła, stara i wyschła*. Nie było umiaru w epitetach. Określano namiętność króla jako *związek orła ze świnią*. Musiało minąć bardzo wiele lat, aby historycy obeszlą się z wybranką Jagiełły nieco

łaskawiej. Paprocki, choć przyznawał, że istotnie w *latach podeszła*, to jednak była wciąż jeszcze *pięknej urody*. Najtrafniej jednak scharakteryzowała ją Anna Strzelecka uważając, że *skoro przy absolutnym braku warunków na królową jednak nią została, musiało w niej być coś niezwykłego*.

Dla tego *czegoś* Jagiełło rzucił wszystko na jedną szalę. Za nic brał sobie rady, ostrzeżenia i groźby. Za nic miał obrazę Witolda i Zygmunta Luksemburskiego. Opinie poddanych i świata. W iście ekspresowym tempie wyjednał dyspensę Rzymu i zanim ktokolwiek i cokolwiek zdołało mu przeszkodzić, pojął Elżbietę za żonę.

Ślub odbył się bez dworskiego ceremoniału. Arcybiskup lwowski, Jan Mikołaj z Rzeszowa udzielił królowi i Elżbiecie sakramentu małżeństwa w kościele parafialnym w Sanoku. Zdawało się, że nie tylko rada królewska, szlachta i pospólstwo, ale i samo niebo nie sprzyja temu związkowi. W dniu ślubu rozpętała się straszliwa nawałnica. Koło wiozącego młodą parę powozu natrafiło na wyjątkowo głęboką kałużę, urwało się i nowożeńcy musieli wracać na zamek pieszo. Dotarli do swych komnat przemoczeni do suchej nitki i utyłani w błocie. Ale mimo to bardzo szczęśliwi.

Nie wiemy, ile lat czekali na możliwość wspólnego życia. Ile musieli przeżyć rozłąk, ile było za nimi lat tęsknoty, przymusowego oddalenia, upokorzeń związanych z koniecznością zatajania przed otoczeniem swego uczucia. Najwyraźniej jednak postanowili, że nie dadzą sobie odebrać ostatnich lat życia i że przynajmniej starość będzie należała tylko do nich.

Jagiełło powrócił na Wawel z nową żoną. Nie było podstaw, by kwestionować legalność jego małżeństwa. Ale nie znajdowano też żadnego racjonalnego usprawiedliwienia dla tak szalonego kroku. Uznano więc, że zauroczenie osobą Elżbiety musi być sprawą czarów. Potwierdzenie, że jakaś siła nieczysta musiała motać ten związek, przyszło po kilku miesiącach.

Król podczas kolejnej swojej podróży napotkał w drodze burzę. Ale nie zwyczajną. Wyjątkową. Straszliwą. Pioruny zabiły dwa królewskie konie. Jego samego ogłuszyły, ale — cudem nieopisanym — Władysław wyszedł z tej opresji cało. Zdarzenie zinterpretowano w ten sposób, aby wykazać, że Elżbieta najwidoczniej ma pozaziemskie koneksje. Wszystko jednak wskazywało, że w tym akurat przypadku z raczej dobrymi niż złymi mocami.

Król był wydarzeniem mocno wstrząśnięty, ale w niczym nie osłabiło ono siły uczuć do „czarownicy”. Wydawało się nawet, że jego uczucie jeszcze wzrosło. Kiedy powrócił na Wawel zażądał bowiem koronacji swej żony. I wyznaczył datę uroczystości — 19 listopada 1417 roku. Polska korona miała być prezentem imieninowym od Władysława dla Elżbiety.

Na protesty rady koronnej i szlachty odpowiedział groźbą: albo jego małżonka zostanie królową, albo on przestanie być królem.

Ustąpiono. Na głowie Elżbiety spoczęła korona.

Nowa królowa w czasie swego kilkuletniego pobytu na wawelskim wzgórzu wykazała się wielką życiową mądrością. Najprawdopodobniej tę samą, którą kierowała się przez wszystkie lata swego związku z królem. I tą samą, która doprowadziła ją do małżeństwa z Jagiełłą. I do tronu.

Uzyskawszy pełnię królewskiej władzy nie usiłowała się mścić na swoich wrogach, oszczercach i prześladowcach. Przeciwnie — czyniła wszystko, aby ich sobie zjednać. Na przykład arcybiskupa gnieźnieńskiego, Michała Trąbę, wielce urażonego faktem pominięcia go przy udzielaniu królewskiego ślubu i koronacji nowej królowej, udobruchała wyjednaniami mu u Władysława tytułu prymasa Polski. Kiedy zagniewany arcybiskup wracał z Konstancy do Krakowa, Elżbieta i Władysław wyjechali mu na spotkanie. Królowa pragnęła osobiście pogratulować nowemu purpuratowi zaszczytnej nominacji.

Zawsze na pierwszym miejscu stawiała dobro, szczęście, spokój i zadowolenie męża. Na znacznie dalszym (jeśli nie ostatnim) swoją osobę. Dzięki temu jej wpływ na politykę był niezmiernie dyskretny i niezmiernie taktowny, choć zarazem istotny. Skupiła się na łagodzeniu sporów i waśni „na górze” oraz mediacji pomiędzy swym mężem, a jego przeciwnikami, czy chwilowymi oponentami. Między innymi Wielkim Księciem Witoldem, który długo nie mógł darować stryjecznemu bratu odrzucenia ręki jego wnuczki. Elżbieta doprowadziła do spotkania krewniaków i ich pojednania. Król i Wielki Książę pływając *na łodziach na Niemnie* pogodzili się i uzgodnili wspólne polsko-litewskie stanowisko we wciąż aktualnej sprawie Zakonu.

Elżbieta była szczególnie wyczulona na punkcie Krzyżaków. Królowa Jadwiga przez wszystkie lata swego panowania *wstrzymywała Jagiełłowy miecz*, aby nie dopuścić do walnej rozprawy z Zakonem. Elżbieta starała się także łagodzić wszystkie, nawet potencjalne zadrażnienia, jakie mogły wyniknąć pomiędzy Polską, a Krzyżakami. Nakłaniała męża do ustępstw w sprawach drobnych. Wyprosiła uwolnienie uwięzionych przez starostę dobrzyńskiego kupców niemieckich z Pomorza, zyskując w ten sposób przychyłność i zaufanie Wielkiego Mistrza. Próbowwała też doprowadzić — i doprowadziła — do zjazdu z władzami Zakonu w Wieluniu, na którym starano się wspólnie i pokojowo rozwikłać polsko-krzyżackie spory.

Za największą zasługę jej królowania uznaje się jednak polonizację wawelskiego dworu. Z trzech (a potem czterech) żon Jagiełły tylko ona była Polką i z pochodzenia, i wychowania. Jadwiga wyrosła na budapesztańskim, a następnie wiedeńskim dworze. Przybywając do Polski nie знаła ani języka swego piastowskiego pradziada, ani panujących w naszym kraju obyczajów. To prawda — spolonizowała się w czasie kilkunastu lat swojego panowania, a nawet położyła ogromne zasługi dla rozwoju polskiej nauki i kultury. Ale nie

zdołała spolonizować męża. Nawet nie rozmawiali ze sobą po polsku.

Anna Cyllejska była całkowicie zniemczona i zanim została królową musiała prawie rok uczyć się polskiego języka i zapoznawać z polskimi realiami. Ta wiedza była jednak bardzo powierzchowna. Anna nigdy nie czuła się w Polsce jak u siebie w domu. W przeciwieństwie do Elżbiety, która się w Polsce urodziła i spędziła tu całe życie.

Była zresztą bardzo czuła na punkcie swej polskości i bardzo z niej dumna. I jeżeli coś silniejszego i głębszego łączyło ją z trzecim mężem, to właśnie owo poczucie narodowej dumy.

Znany jest incydent sprowokowany przez Wincentego Granowskiego w czeskiej Pradze. Kiedy król Wacław Czeski odczytał dekrety dotyczące sporu polsko-krzyżackiego po niemiecku i po czesku, pomijając język polski, mąż Elżbiety skłonił polską delegację, aby na znak oburzenia i protestu demonstracyjnie opuściła salę obrad.

Elżbieta była pierwszą królową — rodowitą Polką, która pojawiła się na Wawelu nie za panowania Jagiełły, ale od kilku monarszych pokoleń. „Spolszczając” samą swoją obecnością całe dworskie otoczenie. Także i samego króla, który przez poprzedni okres swego władztwa nie używał języka polskiego nawet podczas (nieczęstych, bo nieczęstych) rozmów z żonami. W kontaktach przedmażeńskich, a potem małżeńskich z Elżbietą musiał rezygnować ze swojej ruszczyzny, choćby mówiąc jej czułe słowa. A musiało ich padać wiele, bo król się z nią nie rozstawał.

O ile w czasie dwóch poprzednich małżeństw szukał każdej okazji i byle pretekstu, by być od swych połowic jak najdalej, tak w czasie pożycia z Elżbietą przeciwnie — pragnął przebywać z nią stale. Wcześniej (a także później) nie miał w zwyczaju zabierać ze sobą żon na łowy, ani w objazdy kraju. Elżbieta jeździła z nim wszędzie i zawsze.

Król był podejrzliwy i nieufny do tego stopnia, że nigdy i od nikogo nie przyjmował wina. Przez całe życie pił jedynie wodę, ponieważ do wody trudno dodać truciznę. Nieustannie też podejrzewał spiski i zdrady, nawet ze strony swoich dwóch pierwszych żon. Obydwie musiały też przejść przez publiczne upokorzenia, dowodząc swej niewinności. Choć obie — każda z innego powodu — raczej nie były predestynowane do niewierności. Jadwiga była zbyt świątobliwa. Anna — zbyt brzydka. Jedna Elżbieta cieszyła się bezgranicznym zaufaniem męża. I podobno *w łóżu mogła załatwić każdą sprawę i przekonać króla do każdej swojej racji*. Zważywszy na *nie pierwszy już wiek królowej i jakoby zwiędłą jej urodę*, można jedynie żałować, że nie zostawiła spisanych porad dla innych niewiast. Wszelkie poradniki seksuologów pewnie wypadły by przy tych wskazówkach nader blade. A może te notatki Elżbiety z Pilczy przeszłyby do historii jako polskie „Bajki z (więcej niż) tysiąca i jednej nocy”? Wysłuchiwane przez oczarowanego

Władysława Jagiełłę.

Nawet najbardziej nieprzychylni Elżbiecie nie byli jednak w stanie jej zarzucić, że kiedykolwiek użyła tego ogromnego wpływu na męża w złym celu. Kiedy wychodziła za mąż za Jagiełłę, jego córka i następczyni tronu była małą dziewczynką. Jadwiżka miała wtedy zaledwie dziewięć lat. Osierocona przez matkę, niekochana przez ojca musiała czuć się bardzo niepewnie na Wawelu. Z pewnością też dochodziły do niej jak najgorsze opinie o macosze. Być może wyobrażała sobie, że Elżbieta okaże się wobec niej istną Babą Jagą. I tak, jak rzuciła czary na ojca, tak i ją przemieni — na przykład w żabę.

Obawy nie musiały być płonne. Elżbieta miała ważne powody, aby nie darzyć pasierbicy sympatią. Miała natomiast ważne powody, by życzyć jej źle. Gdyby Władysław Jagiełło zmarł, co w jego wieku i ówczesnych czasach, nie byłoby czymś niezwykłym i nieoczekiwanym, córka Anny Cyllejskiej nie była jeszcze zdolna do rządzenia, ani współrządzenia krajem. Za to syn Elżbiety — jak najbardziej.

Jednego z synów, Ottona, Elżbieta straciła jeszcze przed małżeństwem z Jagiełłą. Pozostał jednak drugi i najbardziej ukochany — Janusz. Chodziły rozmaite słuchy, co do pochodzenia dzieci Elżbiety. Powątpiewano, czy pochodziły one z małżeńskiego łóża, dzielonego z kolejnymi trzema mężami. Wielka słabość i wielkie fawory, jakimi darzył dzieci Elżbiety król Władysław były natomiast powodem coraz powszechniejszych i powszechniejszych domniemywań, co do jego ojcostwa. Pojawiały się nawet pogłoski, że Jagiełło tak mało dba o spłodzenie o dziedzica z prawego łóża, ponieważ ma go już z nieprawego.

To prawda, że okazywał swoim pasierbom prawdziwie ojcowski sentyment. Na pewno większy — i to znacznie większy — niż rodzonej córce, której losem w ogóle się nie interesował. Elżbieta nie miałaby więc specjalnego kłopotu, by w łóżu, czy poza łóżem skłonić męża do wywyższenia swoich dzieci kosztem jego jedynaczki.

Owszem — dbała o ich interesy. Dla Janusza starała się o nieznaną przedtem w Polsce tytuł hrabiowski. Ten projekt jednak upadł na skutek sprzeciwu wielkiego kanclerza, Wojciecha Jastrzębca. Król podarował więc pasierbowi zamiast tytułu ogromne dobra, które niegdyś stanowiły własność babki Janusza, Jadwigi z Pilczy, a potem zostały przejęte przez Koronę. Królewska łaskawość wobec syna Elżbiety nie ustała nawet po jej śmierci. Ojczym mianował Janusza wojewodą krakowskim, dzięki czemu miał go zawsze blisko siebie.

O ile Januszowi nie dostał się piękny tytuł, o tyle otrzymała go córka Elżbiety. Król wydał ją za Bolesława księcia Niemodlińskiego. Dzięki stała się księżną.

Elżbieta, niewątpliwie ciesząc się z serdeczności, jaką król okazywał jej (ich?) dzieciom, nie odtrącała jednak sieroty po Annie Cyllejskiej. Wobec Jadwżki

była zawsze serdeczna i na ile mogła i potrafiła, starała się osłodzić jej niedole sieroctwa.

W ogóle te kilka lat, kiedy była królową, zdają się świadczyć, że urok, jaki rzekomo rzuciła na Jagiełłę, wynikał wyłącznie z jej osobistego czaru. A także życiowej mądrości, roztropnej powściągliwości w języku i działaniu, pogody ducha, wrodzonego wdzięku, a — last but not least — swej seksualnej atrakcyjności.

Król był boleśnie doświadczony pożyciem z kobietami, z których jedna go nie chciała, a drugiej on nie chciał. Dopiero przy boku Elżbiety czuł się w pełni akceptowany i doceniany jako mężczyzna. Być może potrzebował tego rodzaju uznania równie silnie (a może jeszcze silniej?), jak uznania dla swoich politycznych sprawności i zasług.

Mażeńskie szczęście Władysława Jagiełły, od tak dawna wyczekiwane, trwało bardzo krótko. Tylko dwa lata. Potem Elżbieta zaczęła chorować. Ze względu na dolegliwości nie była już w stanie towarzyszyć królowi w jego licznych podróżach. Kochał ja tak bardzo, że z nich zrezygnował. Po to, aby i w złej doli się z nią nie rozstawać. Władysław Jagiełło, który przez poprzednie dziesięciolecia bywał na Wawelu raczej gościem niż jego stałym domownikiem, teraz spędzał cały czas w komnatach królowej.

Ostatnią wspólną podróż odbyli w marcu 1420 roku do Lwowa i Brzeska. Królowa w trakcie podróży poczuła się jednak tak źle, że trzeba ją było jak najrychlej odwieźć na Wawel. Jagiełło postanowił dokończyć objazd licząc, że żona wypocznie i wróci jeśli nie do pełnego zdrowia, to jednak nabierze nieco sił. Ale w maju, kiedy przebywał w Brześciu Kujawskim, przybył do niego posłaniec z żalobną wieścią.

W ostatnich dniach i chwilach swego życia Elżbieta musiała czuć się straszliwie samotna. Zdawała sobie przecież sprawę, że nie jest — jak to się teraz mówi — *królową ludzkich serc*. Że nikt poza Władysławem Jagiełłą, dziećmi i gronem przyjaciół nie będzie jej opłakiwał.

Istotnie, zarówno dwór, jak i poddani przyjęli śmierć Elżbiety bez smutku. A niektórzy nie umieli się nawet powstrzymać od niestosownej do okoliczności uciechy. Kościelne dzwony biły więc nie wszystkim na żal i trwogę.

Elżbieta została pochowana w katedrze wawelskiej. Jagiełło zapewne miał nadzieję, że po śmierci spocznie u jej boku. Ale tak się nie stało. Kiedy zmarł król Stefan Batory i poszukiwano godnego dlań miejsca wiecznego spoczynku, bez zbytnich ceregieli usunięto z sarkofagu trumnę Elżbiety i wsunięto na to miejsce trumnę Batorego. Nikt nie wie, gdzie złożono zwłoki trzeciej żony Władysława Jagiełły.

Przynosząc więc kwiaty i kładąc je na białym katafalku, na którym spoczywa alabastrowy posąg królowej Jadwigi, warto westchnąć nie tylko do niej, ale

pomodlić się także za duszę jej szczęśliwszej wprawdzie za życia, ale całkowicie zapomnianej po śmierci następczyni. I zadumać się nad zawirowaniami historii. Tak łatwo bowiem ofiara, jaką uczyniła z własnego życia Jadwiga w pragnieniu, aby Litwa została ochrzczona, Zakon Krzyżacki pokonany, a Polska podniesiona do rangi wielkiego europejskiego mocarstwa, mogła zostać zaprzepaszczona. Gdyby Elżbieta wykorzystała wcześniej moc swoich *czarów*, Jagiełło zapewne odrzucił by dla niej polski tron, nie pozostawiając na nim ani godnego siebie, ani jakiegokolwiek następcy.

Jagielloni pozostali na Wawelu do 1572 roku, a więc jeszcze przez ponad półtora wieku. Zniknęli z polskiej sceny politycznej dokładnie z tego samego powodu, dla którego chciał abdykować założyciel dynastii.

Prawnuk wielkiego Władysława, Zygmunt August, najwyraźniej odziedziczył po swoim antenacie silniejszą namiętność do kobiety aniżeli do władzy. Kiedy stawiał sejm, możnowładców i poddanych przed wyborem: albo zaakceptują jego małżeństwo z Barbarą Radziwiłłówną i zgodzą się włożyć na jej głowę koronę, albo on przestanie być królem, powtarzał wiernie słowa swego pradziada. I tak samo, jak pradziad stracił żonę, kochaną *bardziej niżli królestwo*, niedługo po ślubie. Tak samo, jak pradziad pozostał niekochającym i niekochanym do końca życia. I tak, jak pradziad nie spoczywa po śmierci blisko kobiety, za którą oddałby koronę, władzę i wszystkie dobra świata.

SERCE NA ŚNIEGU

czyli

Helena Moskiewska i Aleksander Jagiellończyk

Był mroźny lutowy dzień 1495 roku. Trzy wiorsty przed rogatkami Wilna służba Wielkiego Księcia Litwy rozciągnęła kilkudziesięciometrowy pas purpurowego sukna, gęsto przetykanego złotymi i srebrnymi nićmi. Do jednego krańca tego niezwyklego kobierca podjechała książęca karoca Aleksandra Jagiellończyka. Na drugim jego krańcu zatrzymał się wyściełany sobolowymi futrami powóz Wielkiego Księcia Moskwy, Iwana III.

Z karocy wysiadł trzydziestoczteroletni mężczyzna. *Nie miał atrakcyjnego wyglądu — był niski, kościsty, miał zdecydowanie nieładną twarz i nerwowe, nieskoordynowane ruchy. Z powozu — niespełna osiemnastoletnia panienka. Śliczna jak obrazek. Wiotka, zgrabna, pełna urzekającego wdzięku. Miała wielkie, pełne blasku oczy. Płeć nieskalana, włosy jedwabiste, figura niczym antyczna rzeźba — zachwycają się biografowie.*

Kiedy ci dwoje szli ku sobie, żadne z nich zapewne nie przypuszczało, że kroczy na spotkanie największej i dozgonnej miłości swego życia.

Nic bowiem miłości ani wielkiej, ani żadnej nie zapowiadało.

To małżeństwo zostało bowiem ułożone wprawdzie za wiedzą i zgodą przyszłych małżonków, ale bez brania pod uwagę ich osobistych preferencji, oczekiwań, a już na pewno — uczuć. Związek Aleksandra Jagiellończyka, Wielkiego Księcia Litewskiego i Heleny Moskiewskiej, córki Iwana III Srogiego miał na celu tylko i wyłącznie interesy polityczne.

Dla układających się stron — moskiewskiego władcy Iwana III, króla Polski Jana Olbrachta oraz Wielkiego Księcia Litwy Aleksandra ten układ wydawał się bezwzględnie potrzebny i korzystny. Paweł Jasienica pisał: *Niemal natychmiast po zgonie Kazimierza Jagiellończyka, bo już w sierpniu 1492 roku, Iwan III Srogi przybrał znamienity tytuł prawego pana całej Rusi. Działania wojenne zostały wznowione, a skutkiem ich nie tylko wiele pogranicznych grodów i włości znalazło się w ręku moskiewskim, ale sam Smoleńsk popadł w zagrożenie strategiczne.*

Ówczesny król Polski, Jan Olbracht, zdawał sobie sprawę, że ani militarnymi możliwościami, ani strategicznymi talentami nie dorównuje i nigdy nie dorówna swemu wielkiemu dziadkowi, Władysławowi. Wiedział, że pokolenie wnuków padło bardzo daleko od tej niezwyklej *jabłoni*. Poza tym — nie tylko wschodnie granice i bezpieczeństwo Litwy było zagrożone. Każda polska granica mogła lada moment stanąć w ogniu. W tej sytuacji polski król doradził dzierżącemu władzę w Wilnie bratu, aby *szukał pokoju z Kremlem* Za wszelką cenę.

Aleksander rady posłuchał. A za najbardziej korzystną „cenę” uznał

małżeństwo z córką wielkiego, potężnego i naprawdę srogiego sąsiada.

Iwan III także najwyraźniej uważał, że lepiej się z Litwą układać niż rozpoczynać z nią regularną wojnę. Zdecydował się więc odrzucić bardzo liczne i bardzo kuszące propozycje matrymonialne składane jego pięknej córce. Rekę otrzymali — między wieloma innymi — Maksymilian Habsburg, noszący zaszczytny tytuł króla Rzymu; Książę Burgundii — Filip Piękny oraz mazowiecki Piast — Konrad.

Iwan Srogi był wybitnym mężem stanu. Zdołał scalić rozproszone ruskie ziemie i stworzyć silny organizm państwowy, stale rosnący w znaczenie i bogactwo. Sąsiadująca Litwa, kraina przebogata i ogromna, stanowiła dla ambitnego i nienasyconego w swej żądzy wielkości Iwana III nader łakomy kąsek. Można go było dostać na dwa sposoby — podbojem lub poprzez związek dynastyczny.

Małżeństwo Aleksandra i Heleny odsuwało więc od Litwy śmiertelne zagrożenie, które zaglądało jej w oczy. Dla Iwana zaś uczynienie córki Wielką Księżną Litewską było szansą na uchwycenie owego smakowitego i cennego „kąska” bez potrzeby prowadzenia wojny, zawsze przecież kosztownej i zawsze wykrwawiającej obie strony. Także atakującą. I nawet zwycięską. Osadzając zaś Helenę na wileńskim wielkoksiążęcym stolcu Iwan zapewniał sobie wpływy na Litwie poprzez jej dzieci, a swoje wnuki.

Być może spoglądał w jeszcze dalszą przyszłość i mierzył jeszcze wyżej.

Król Polski, Jan Olbracht, był bezżenny. Szeroko rozpowiadano o jego „dyskretnej” chorobie, którą pono zaraził się podczas którejś z wojennych wypraw i która odebrała mu możliwość płodzenia dzieci. Gdyby okazało się to prawdą, naturalnym pretendentem do polskiego tronu stawał się młodszy brat Jana Olbrachta — Aleksander właśnie. Nie było więc wcale wykluczone, że Helena mogłaby się kiedyś znaleźć na Wawelu.

Zaręczyny młodych odbyły się bez ich udziału.

Do Moskwy i na wspaniale rozbudowywany przez Iwana Kreml przybyli bardzo dostojni wysłannicy Wielkiego Księcia Aleksandra. Narzeczonego reprezentował Stanisław Kieżgajło. To on wręczył księżniczce pierścień zaręczynowy i mógł naocznie się przekonać, że opinia o jej niezwykłej urodzie nie jest ani ociupinkę przesadzona.

Panna uroniła kilka łez. Nie wiadomo: zwyczajowo, czy z autentycznego smutku, jaki ja ogarnął. Ale pierścień przyjęła. Sama ofiarowała panu Kieżgajle własny prosząc, aby przekazał go narzeczonemu i uprzejmie spytała o zdrowie przyszłego męża.

Nie spytała natomiast o jego wygląd. Najprawdopodobniej już uprzedzona, że pod tym względem nie powinna zbyt wiele oczekiwać.

Kiedy więc po raz pierwszy zobaczyła Aleksandra i zbliżywszy się do niego

ukłękła na czerwonym kobiercu, aby ucałować jego rękę, nie była zapewne ani zaskoczona, ani rozczarowana, że jest aż tak bardzo niepozorny i aż tak bardzo nieurodzivy. Nie przewidziała natomiast reakcji narzeczonego. Aleksander bowiem, zapewne pod wpływem nagłego oczu i serca oczarowania, chwycił księżniczkę w ramiona, uniósł ją z ziemi i mocno przytulił do siebie.

Tego rodzaju ostentacyjna serdeczność nie leżała ani w zwyczajach Aleksandra, mającego opinię oschłego ponuraka, ani nie była też przewidziana przez dworską etykietę. Ten nieoczekiwany, pełen spontanicznej i autentycznej czułości gest musiał ująć Helenę tak bardzo, że przysłonił jej w jednej chwili i na całe dalsze życie wszystkie fizyczne i charakterologiczne, a także umysłowe niedostatki Aleksandra.

Scena niczym z bajki — oto piękna księżniczka swym pocałunkiem przemienia pokraczną żabę w księcia.

Aleksander pod wpływem dotknięcia Heleny nie zmienił wprawdzie swej nieciekawej fizjonomii, ale na pewno zmieniło się całe jego wnętrze. Na tyle, że żyjący pięć wieków później historyk, Jan Rokita, zatytułował poświęcony mu esej „Aleksander Wielki Jagiellończyk”. I tezę o wielkości tego najpierw Wielkiego Księcia Litwy, a potem króla Polski rzetelnie udowodnił.

A nic tej wielkości polskiego Aleksandra wtedy, w lutym 1495 roku, nie zapowiadało. Ten piąty z kolei, a jeden z siedmiu synów Kazimierza Jagiellończyka uchodził za najmniej udanego. Pod każdym względem ustępował braciom. I wyglądem, i usposobieniem, i bystrością umysłu.

Nic też nie zapowiadało aż takiej miłości pomiędzy dwojgiem ludzi, których miał przecież połączyć polityczny sojusz, a nie wielkie uczucie.

To uczucie było jak nieoczekiwany dar losu.

Nieoczekiwany, a nawet wręcz nieprawdopodobny, zważywszy jak bardzo Aleksander i Helena byli niedobraną parą. Jak bardzo i pod każdym względem się różnili.

Ona była nie tylko tak piękna, że jeszcze w wiele lat później przyrównywano do jej urody — niczym miernika — wdzięki innych wielkich dam. Na przykład o Barbarze Radziwiłównie powiadano, że swa *gładkością niemal dorównywała Helenie Moskiewskiej*.

Helena była też czarująca, odznaczała się miłym sposobem bycia zjednującym jej nawet tych, którzy z rozmaitych powodów nie zamierzali jej zaakceptować, a tym bardziej -polubić. Otrzymała bardzo staranne wykształcenie. Potrafiła swobodnie czytać i pisać, a matka i wychowawcy zdołali rozbudzić w niej artystyczne zainteresowania, szczególnie muzyką. Była pogodna i wesoła. Uwielbiała życie towarzyskie, zabawy i — nade wszystko — *pląsy*. Była łagodna i rozsądna, choć zarazem stanowcza. Potrafiła z wielkim taktem, a zarazem mądrym uporem przeprowadzać swoją wolę i trwać przy swoich zasadach. Jednym

słowem — kobieta nieprzeciętna pod każdym względem.

Aleksander był nie tylko brzydki, nerwowy, zacinający się podczas mówienia, ale na dodatek pełen kompleksów i urazów, nietowarzyski, nieufny, podejrzliwy i skryty. Na dodatek — rozrzutny. W opinii najmniej mu życzliwych — po prostu umysłowy prostak i tępak.

Dla jednej jedynej osoby na świecie nie był ani oschły, ani oziębły, ani głupi. Jedną jedyną osobę na świecie darzył przeogromnym przywiązaniem i bezgranicznym zaufaniem. Przed tą jedyną musiał okazać wszystkie ukryte przed światem zalety umysłu i serca, bo ona je od pierwszego dnia ich spotkania i aż do chwili jego śmierci widziała i doceniała.

Małżeństwo Heleny i Aleksandra było w dziejach Polski ewenementem. Nie dlatego, że rzadko zasiadają na tronach ludzie tak serdecznie się kochający, ale dlatego, że po raz pierwszy do królewskiej rodziny wchodziła kobieta innego wyznania. A w ówczesnej Europie, także w Polsce (oraz związanej z nią związkiem politycznym i personalnym Litwie) obowiązywała żelazna zasada „*cuius regio eius religio*”.

Król Polski Jan Olbracht był katolikiem. Aleksander także. Uchodził nawet za bigota. Ich trzeci brat, Fryderyk, nosił szatę duchowną i niedługo po ślubie Aleksandra i Heleny został kardynałem.

Helena wyrastała w wierze prawosławnej. Oczywiście po ślubie mogła (i powinna) była przejść na katolicyzm, ale tego nie zamierzała robić i nie zrobiła. Po pierwsze dlatego, że jej ojciec w matrymonialnej umowie zastrzegł, iż córka pozostanie przy swoim wyznaniu. Po drugie dlatego, że sama Helena była do swej wiary szczerze i głęboko przywiązana. Może trzeba dodać jeszcze i po trzecie — Aleksander od początku i przez całe życie szanował odmienność poglądów żony w tej kwestii i nigdy nie żadnego wywierał nacisku, by je zmieniła.

Stała się więc rzecz niesłychana. W średniowiecznym Wilnie miała miejsce uroczystość wyprzedzająca ekumenizm o lat niemal pięćset.

Po uroczystym powitaniu Heleny na rogatkach Wilna rozpoczęto przygotowania do ślubu. Narzeczona, wraz z towarzyszącym jej orszakem, udała się do Soboru Przczystej Bogurodzicy, gdzie *wysłuchiwała nabożeństwa, po którym księżna Riapołowska i inne bojarynie w myśl prawosławnych zwyczajów rozplotły jej warkocze, nałożyły ruskie okrycie głowy i obsypały kwieciem chmielu*. Dopiero wtedy pannę młodą przewieziono do wileńskiej Katedry, gdzie czekał na nią Aleksander.

Był to 18 luty 1495 roku.

W Katedrze zbrali się zarówno wyznawcy, jak i kapłani obu wyznań — katolicy i prawosławni. W ceremonii zaślubin brał udział biskup katolicki Wojciech Tabor oraz metropolita Merkury. Zgromadzony wokół panny młodej jej orszak weselny modlił się wedle zasad swojej wiary. Orszak pana młodego —

swojej.

Helena, aby symbolicznie podkreślić swoje przywiązanie do prawosławia, klęczała w Katedrze na tych samych sobolowych futrach, na których poprzedniego dnia modliła się w cerkwi. Jej drużny, ruskim obyczajem, trzymały nad jej głową uwiątę z kwiatów koronę.

Przez pewien czas łudzono się, że ta „nienormalna” sytuacja ulegnie zmianie. Że Helena stopniowo zaadaptuje się do nowych warunków, obyczajów, a więc i katolicyzmu.

Z pierwszą misją mającą nawrócić Wielką Księżnę na katolickie ścieżki wybrała się jej teściowa. Przyjechała do Wilna w towarzystwie swoich dwóch najmłodszych i jeszcze niezamężnych córek oraz syna Fryderyka, wówczas biskupa, ale już wkrótce kardynała.

Rodzina Aleksandra przebywała w Wilnie przez miesiąc. Było więc dużo czasu i okazji, by się wzajemnie poznać i omówić ważne dla domu i dynastii Jagiellonów sprawy.

Helena była bardzo istotnym **elementem** owych spraw.

Jak wspomnieliśmy polski król, Jan Olbracht nie był żonaty. Nic też nie zapowiadało, aby kiedykolwiek miał zamiar się ożenić. Ergo — pozostawić dziedzica tronu. Helena, jako żona ewentualnego następcy tego tronu, mogła być więc matką nie tylko Wielkich Książąt Litewskich, ale i polskiego królewicza. Byłoby ze wszech miar wskazane, gdyby narodził się on z matki-katoliczki.

Helena przyjmowała argumenty spokojnie i równie spokojnie im się opierała. Kiedyś teściowa poprosiła ją, aby odprowadziła ją do kościoła. Helena zrobiła to chętnie. Towarzyszyła teściowej aż do drzwi wileńskiej Katedry. Do wnętrza jednak nie weszła. Zdenerwowało to Elżbietę Rakuszankę, ale niewiele mogła zrobić. Nie tylko dlatego, że zakochany po uszy Aleksander wspierał żonę we wszystkim, co czyniła i mówiła. Także dlatego, że urokowi bratowej najwyraźniej uległ także biskup Fryderyk Jagiellończyk. Zamiast użyć swego wpływu i kościelnego autorytetu, na co jego matka bardzo liczyła, zdawał się godzić z racjami Heleny. W każdym razie od tamtej wizyty Fryderyk i Helena pozostali na zawsze serdecznymi i lojalnymi przyjaciółmi.

Biskup Wojciech Tabor oraz przedstawiciele katolickich zakonów także próbowali na wszelkie sposoby pozyskać „zbląkaną duszyczkę” dla *prawdziwej* wiary. Duszyczka z nieodmiennym spokojem, taktem i zarazem uporem pozostawała przy swoim.

Przy czym rzecz znamienne. Na ogół nie żywiono pretensji, czy żalu o ten jej upór w trwaniu w prawosławiu. Przeciwnie — w ciągu lat stosunki Heleny z obydwoma kościołami i ich hierarchami oraz zwykłymi kapłanami i mnichami ułożyły się znakomicie.

Helena była wielką dobrodziejką świątyń i klasztorów prawosławnych.

W Brasławiu ufundowała żeński monastyr oraz cerkiew pod wezwaniem św. Barbary. Inny monastyr powstał za jej panowania nad Supraślą. Nieustannie opiekowała się soborem Przczystej Bogurodzicy i cerkwią Pokrowską w Wilnie. Aleksander pod wpływem ukochanej kobiety także zaczął bardziej przyjaznym okiem patrzeć na prawosławie. W 1499 roku nadał duchowieństwu prawosławnemu znaczące przywileje i zakazał urzędniczych ingerencji w sprawy dochodów cerkiewnych. Helena, okazując mężowi wdzięczność, ze swej strony zawsze wspierała kościoły i klasztory katolickie. Największą życzliwość i największe zaufanie okazywała braciom Franciszkanom i ich gwardianowi o. Janowi Komorowskiemu. To właśnie jemu powierzyła w depozyt część swoich doczesnych dóbr i kosztowności.

A był to majątek niemały. Tę część skarbów, które Helena powierzyła wileńskim Franciszkanom, oceniano na — bagatela! — 400 000 dukatów. Podkreślmy — była to tylko część zasobów, które zgromadziła.

Helena nie wniosła wprawdzie mężowi znacznieszego posagu, ale za to okazała się niezmiernie *rzadną* gospodynią. Najpierw dwór Wileński, a potem Wawel zyskały w jej osobie najlepszego, najbardziej zapobiegliwego quasi-ministra skarbu.

Jej słynący z rozrzutności i całkowitego braku *głowy do interesów* małżonek wszystkie problemy gospodarcze złożył w jej ręce. Była to znakomita decyzja.

Helena, choć bardzo młoda, lubiąca dworskie życie i jego rozrywki, potrafiła jednak zachować we wszystkim powściągliwość i umiar. Owszem — na dworze bywali znani w Europie artyści, zwłaszcza muzycy. Zatrudniła nawet słynnego w Europie kapelmistrza Henryka Fineka. Często urządzała też przyjęcia i bale. Baczenie jednak pilnowała, aby jej przyjemności nie doprowadziły do jakiegokolwiek uszczerbku w budżecie.

Ojciec otoczył ją ogromnym orszakiem dworzan, który Helena stopniowo ograniczała, organizując dworskie życie w taki sposób, by pozostając wygodnym, nie wymagało jednak zatrudniania zbyt licznej służby.

Miała też zwyczaj samodzielnego wizytowania książęcych dóbr i *tuczyła je pańskim okiem*. Ze znakomitym skutkiem. Majątki, które poprzednio przynosiły Aleksandrowi Jagiellończykowi dziwnie niskie dochody lub nie dawały ich wcale, z roku na rok stawały się coraz bardziej opłacalne i kwitnące.

Helena dość szybko i świadomie polonizowała się i wkrótce spolonizowała. Gdyby nie pozostawanie przy prawosławnej wierze, można by ją uznać za jedną z najbardziej pro-polskich monarchiń. Mówiła biegle po polsku, chętnie otaczała się Litwinami i Polakami, miała wśród nich wielu przyjaciół. Bardzo też bliskie były jej wszystkie sprawy Litwy i Polski. Całym sercem się w nie angażowała.

Przełomową datą w dziejach Heleny i Aleksandra był 3 maja 1500 roku. Iwan III wypowiedział Litwie wojnę. Pretekstem było niedotrzymanie przez zięcia

niektórych punktów z zawartych przedślubnych umów. Zarzuty były jednak zbyt mało znaczące, aby z tak błahego powodu podejmować aż tak drastyczne kroki. Poza tym sama Helena jasno i wyraźnie oświadczyła, że żadna z umów nie została przez Aleksandra złamana. Iwan pozostał na te argumenty głuchy. W istocie chodziło bowiem o coś całkiem innego. Iwan III Srogi nie po to wydawał swą córkę za męża za nierozgarniętego i ślamazarnego Wielkiego Księcia Litwy, nie po to przydawał swej córce ogromny dwór złożony ze swoich zauszników i popieczników, nie po to wysyłał Helenie przebogate dary, aby w efekcie nie uzyskać żadnego wpływu na to, co się w Wilnie działo i na podejmowane na wileńskim dworze decyzje.

A tak właśnie było.

Helena utrzymywała wprawdzie z rodzicami jak najbardziej poprawne, a nawet serdeczne stosunki, ale najważniejszą osobą w jej życiu stał się Aleksander, a najważniejszymi interesami — interesy męża i jego kraju.

Jak już wspominaliśmy dość szybko zrezygnowała z wielu dotychczasowych, ojcowych doradców, odsyłając ich do domu. W ten sposób zniknęły z wileńskiego dworu liczne *oczy* i *uszy* Iwana III.

Upominki przysyłane z Kremla, wśród których były złote precjoza oraz nieoszacowanej wprost wartości skóry srebrnych lisów i soboli, przeznaczone najprawdopodobniej na opłacanie lub werbowanie moskiewskich szpiegów, Helena często sprzedawała. I wcale nie w tych celach, o których myślał jej ojciec. Pieniądze i złoto zasilaly roztrwoniony przez rozrzutnego Aleksandra jego własny skarbiec.

Iwan był więc z całą pewnością mocno zawiedziony postępowaniem córki.

Jego rozczarowanie dotyczyło innej jeszcze, także związanej z Heleną, sprawy. Mimo, że od kilku lat była mężatką — i to najwyraźniej szczęśliwą mężatką — nie zachodziła w ciążę.

Niedługo po ślubie Helena chorowała. Na tyle długo i na tyle ciężko, że Aleksander poczuł się w obowiązku zawiadomić teściów o jej ciężkim stanie. Nie wydaje się, aby było to poronienie, ponieważ o ciąży Wielkiej Księżnej na pewno powszechnie by wiadano. Być może była to jakaś choroba kobieca, której konsekwencją była bezpłodność.

Dla Iwana III świadomość, że nie będzie miał wnuków, które objęłyby w przyszłości władzę w Wilnie, była niezmiernie bolesna.

Coraz bardziej i bardziej rozgoryczony i rozczarowany zdecydował się więc na środki radykalne. Na początku wojny Litwa ponosiła same straty. Moskwa odnosiła same zwycięstwa. Dla Heleny zakończył się miły i sielski okres przedłużonego do lat pięciu miodowego miesiąca. Z radosnej, kochanej i zakochanej młodej kobiety musiała przeistoczyć się w zręcznego i skutecznego dyplomatę.

Znajdowała się w niezwykle trudnej sytuacji. Śmiertelnymi wrogami byli przecież dwaj najbliżsi jej mężczyźni — mąż i ojciec. Przez cały czas trwania wojny Helena starała się zachować obiektywizm i lojalność wobec obu.

Wydawałoby się, że to niemożliwe. A jednak Helenie się to udało. Ta dwudziestotrzyletnia kobieta okazała talent wytrawnego polityka.

Zachował się list, jaki w tym czasie wysłała do ojca: *Poddani moi widzieli we mnie zwiastuna pokoju, a tymczasem przyniosłam im tylko krew, pożogę i lzy, jakbym na to tylko była wydana na Litwę, aby podpatrywać jej słabe strony. A ci kniaziowie, istni Kainowie, po szyję w krwi zbroczeni, którzy dawniej zdradzili Moskwę, a teraz zdradzają Litwę, jakoż zasługują na wiarę u ciebie, ojcze?*

W wiele wieków później historycy będą zgodni w ocenie ponadprzeciętnych dyplomatycznych zdolności Heleny Moskiewskiej. Uważa się ją za jednego z najzręczniejszych mediatorów w naszych dziejach. Znajdując się w prawdziwej moralnej matni wyszła z niej bez szwanku. A na dodatek, żarliwie broniąc interesów męża i kraju, którego była Wielką Księżną, ani razu nie okazała braku szacunku wobec ojca, zjednując go jedynie prośbami, pokorą i serdecznością. Jej biograf Edward Rudzki, cytując innych historyków napisał: *Potrafiła dokonać rzeczy niebywalej, pozostać lojalna wobec Litwy i wobec Moskwy w okresie, gdy państwa te toczyły ze sobą wojnę. Była zawsze oddaną żoną, ale także posłuszną i kochającą córką. Słynęła jako zelantka prawosławia. lecz zarazem utrzymywała dobre stosunki z duchownymi katolickimi.*

Jej talent mediacyjny i polityczny miał się jeszcze nieraz objawiać. Życie wystawiało ją bowiem na coraz to nowe i coraz trudniejsze próby.

17 czerwca 1501 roku nieoczekiwanie zmarł Jan Olbracht. W tydzień później wiadomość o jego śmierci dotarła do Aleksandra.

Pretendentami do wawelskiej schedy byli trzej żyjący synowie Jagiellończyka: Aleksander, Władysław (w owym czasie król Węgier) oraz Zygmunt. Czwarty — Fryderyk, jako kardynał, nie mógł być brany pod uwagę jako kandydat do tronu. Wybory elekcyjne wygrał Aleksander, zgodnie zresztą z od dawna wyrażaną wolą Jana Olbrachta.

Zdawano sobie wprawdzie sprawę, że nie jest on wybitnym mężem stanu, ale — z drugiej strony — miał pewne cechy, które go na to stanowisko predestynowały.

Bo choć sam niezbyt lotny, miał szczególny dar dobierania sobie mądrych doradców i otaczania się ludźmi o wybitnym intelekcie, politycznej przenikliwości, a na dodatek prawych i uczciwych.

Być może za takimi właśnie szczęśliwymi i trafnymi wyborem stała Helena; kobieta, która znała się na ludziach i która potrafiła zjednywać sobie ich przyjaźń.

Elekcja dokonała się w Mielniku 19 sierpnia 1501 roku. Ale król-elekt przybył do Krakowa dopiero 23 listopada. Bez żony.

W kilka tygodni później, 12 grudnia, kardynał Fryderyk Jagiellończyk namaścił swego brata i włożył mu na głowę królewską koronę. Helena nie była świadkiem tej podniosłej uroczystości. Przez cały czas pozostawała w Wilnie. Sytuacja jej była bowiem niejasna i skomplikowana.

Jako żona Wielkiego Księcia Litwy mogła, choć nie było to dobrze widziane, wyznawać inną wiarę od obowiązującej w kraju. Jako żona polskiego monarchy — nie mogła.

Tak przynajmniej uznał polski episkopat. I zyskał w swoim stanowisku zdecydowane poparcie papieża Aleksandra Borgii. Papież nie tylko nie wyrażał zgody na koronowanie prawosławnej królowej katolickiego państwa, ale nawet proponował Aleksandrowi, aby zaprzestał współżycia z żoną. A jeśli i to nie skłoni jej do zmiany stanowiska, papież gotów był rozwiązać królewskie małżeństwo. Problem był o tyle ułatwiony, że dotychczas nie zostało ono pobłogosławione potomstwem.

Helena trwała przy swoim.

Być może byłaby bardziej uległa, gdyby nie była aż tak bardzo pewna lojalnego wsparcia swego męża. A Aleksander, tak zdawałoby się pozbawiony charakteru i temperamentu, w tym przypadku wysunął iście jagielloński lwi pazur.

To, co rozegrało się na Wawelu przypominało do złudzenia sceny sprzed osiemdziesięciu lat, kiedy dziad Aleksandra, Władysław Jagiełło, walczył o prawo do osobistego szczęścia i o uznanie Elżbiety Granowskiej za prawowitą władczynię kraju.

Aleksander także zawrzał gniewem i od razu stało się jasne, że może iść na rozmaite ustępstwa poza jednym — rozstaniem się z żoną.

Zaapelował o pomoc do brata, kardynała Ferdynanda. Wiedział, jak bardzo lubi i ceni on Helenę i liczył zapewne, że nie wyprze się swojej z nią przyjaźni. Ferdynand istotnie — pomógł.

Po pierwsze ułagodził polskich biskupów, a nawet zakazał publicznego roztrząsania problemu wiary królewskiej małżonki. Po drugie wysłał do papieża specjalną delegację mającą naświetlić sprawę nie tylko monarszego małżeństwa, ale i innych jeszcze problemów istniejących w Polsce i na Litwie, a związanych z prawosławiem.

Wysłannicy: biskup płocki i osobisty sekretarz Aleksandra Jagiellończyka, Erazm Ciołek oraz kanclerz Heleny Moskiewskiej, Iwan Sapięha byli wybitnymi i znanymi w całej Europie dyplomatami i negocjatorami. Pertraktacje trwały długo, ale zakończyły się całkowitym sukcesem. Papież milcząco uznał prawo prawosławnej Heleny do pozostania oficjalną małżonką polskiego, a więc katolickiego króla. Więcej — zniósł obowiązek powtórnego chrztu dla osób prawosławnych, które przechodziły na katolicyzm.

Triumf Heleny był jednak połowiczny. Wprawdzie przyznano jej honorowy

tytuł królowej, ale używano go nieoficjalnie. W dokumentach mówi się o niej zawsze jako o Wielkiej Księżnej Litewskiej i — jedynie — „żonie polskiego króla”. Nigdy też nie doszło do jej koronacji.

Aleksander na wszelkie sposoby i do końca życia starał się wynagrodzić żonie te afronty. Przygotował jej wspaniałe przywitania na Wawelu. Takich pełnych przepychu uroczystości — tyłu zabaw i turniejów — nie urządzano tam nawet w dniach koronacji królów i królowych. Zrobił dla niej jeszcze więcej. Przekształcił kaplicę ufundowaną i wyposażoną przez swoją babkę, Sonkę, w mini-cerkiewkę. Odbywały się tam nabożeństwa prawosławne, w których uczestniczyła Helena i jej najbliższe otoczenie.

Przez cały czas, kiedy Aleksander walczył o prawo trwania w związku z Heleną i zapewnienie jej należnego stanowiska w państwie i u swego boku, wciąż trwała wojna moskiewsko-litewska.

Dopiero w roku 1502 Iwan III okazał gotowość do pokojowych rokowań. I wtedy nagle pozycja Heleny nagle i gwałtownie się wzmocniła. Król, kardynał Ferynand i cała rada koronna zgodnie uznali, że to właśnie ona najlepiej nadaje się na negocjatora w tej — jakże ważnej — sprawie. Królowa, wyposażona we wszystkie pełnomocnictwa, udała się do Wilna. Towarzyszyli jej — czy też inaczej — to ona towarzyszyła dwom najwybitniejszym polskim politykom tego okresu: Erazmowi Ciołkowi oraz Janowi Łaskiemu.

Aby uzmysłwić jak ważną misję powierzono tej wciąż bardzo młodej kobiecie i w towarzystwie jakich dyplomatycznych wielkości się obracała, poświęćmy kilka słów osobom biskupa plockiego Ciołka i arcybiskupa gnieźnieńskiego Łaskiego.

Erazm Ciołek uchodził za jednego z najzdolniejszych dyplomatów i mówców swej epoki. Kilkakrotnie posłował do Rzymu, uczestniczył w obradach sejmu Rzeszy w Augsburgu, gdzie omawiał sprawę udziału Polski w projektowanej wyprawie przeciw Turkom. To on był — używając dzisiejszego języka — „głównym architektem” porozumień w kwestii krzyżackiej. Poza tym był to człowiek wielkiej kultury, zasłużony mecenas artystów i naukowców.

Historyk Jan Rokita określa Jana Łaskiego jako „genialnego kanclerza”, który doprowadził do „generalnej naprawy ustroju państwa”. On, podobnie jak Erazm Ciołek, wielokrotnie uczestniczył w najbardziej trudnych państwowych negocjacjach i rozwiązywaniu najbardziej skomplikowanych kwestii politycznych.

Fakt, że Helena znalazła się w tak znakomitym towarzystwie świadczy o uznaniu (jak się wydaje — całkowicie zasłużonym) dla jej inteligencji i politycznych talentów.

Pokój udało się wynegocjować, ale dokładnie w tym samym czasie Helena okryła się ciężką żałobą. W dniu, w którym wraz z polskim poselstwem opuszczała Moskwę, zmarła jej matka. Przed śmiercią porosiła, aby pobłogosławić córkę

i przekazać jej złoty krzyż. Nie zobaczyły się jednak, nad czym Helena bolała przez resztę życia.

Zawarcie sześciolatniego (tylko? aż?) rozejmu z Iwanem III pozwoliło Aleksandrowi na skupienie całej uwagi na zreformowaniu państwa. Pod każdym względem. Jego starszy brat, Jan Olbracht, nie pozostawił Polski w najlepszym, a nawet w dobrym stanie. Wprawdzie w stwierdzeniu, że *za króla Olbrachta wyginęła szlachta* było dużo przesady, ale — na pewno ten król nie cieszył się szczególną pomyślnością Fortuny i zbyt wiele czasu zabierało mu wojowanie, aby znaleźć go na uporządkowania wszystkich spraw wewnętrznych.

Za nie zabrał się Aleksander.

„W zanarchizowanej i rozdrapanej przez oligarchów stolicy — pisze cytowany wielokrotnie Jan Rokita — podejmuje wraz z genialnym kanclerzem, Janem Łaskim prawdziwe dzieło życia: generalną naprawę ustroju państwa. Trzy kolejno zwołane przez króla sejmy — 1504, 1505 i 1506 — uwieńczone konstytucją *Nihil novi* — można by nazwać sejmami wielkimi, jedynymi przed Wielkim Sejmem Czteroletnim”. W trakcie tych trzech wielkich sejmów stworzony został zdrowy i nowoczesny ustrój państwa.

I kto by się tego spodziewał po Aleksandrze, najmniej udanym, najmniej rozgarniętym z całego Kazimierzowego potomstwa?

Na pewno był taki ktoś. Jego piękna żona — Helena.

Francuski filozof Rene Habachi wyraża myśl, którą tamta — żyjąca pięć stuleci przed nim — para ucieleśniła całym swoim wspólnym życiem. *„Mężczyzna szuka w kobiecie jak gdyby światła, odległego i bliskiego zarazem, które by go prowadziło w ciągu życia, nie pozwalając mu nigdy na tym poprzestać, które nieustannie wiodłoby go coraz dalej, wyzwalaając w nim nieznanne moce i zachęcając do odkrywania świata. Kobieta powinna pobudzać go do zwycięskiej walki, a odniesione zwycięstwo do przerastania siebie”*

Historycy i kronikarze nie mogą się aż tak zgodnie mylić w charakterystyce Aleksandra. Dopóki nie spotkał Heleny był tylko mrukliwym, niezbyt rozgarniętym, dość (a może i bardzo) antypatycznym człowiekiem, który nie wzbudzał niczyjzego zainteresowania ani szacunku. Nie odznaczał się ani walecznością, ani gospodarnością. W najlepszym przypadku można było o nim powiedzieć — nijaki.

Moment, w którym zobaczył Helenę — swoje światło — odmienił i jego, i jego życie. A ona także zrozumiała, jak wielkie możliwości może wyzwolić ofiarując mu tylko i jedynie — swoją miłość.

W czasie kilku lat panowania Aleksander i Helena dokonali wiele. Miedzy innymi podczas objazdu ziem dotarli do Gdańska. Tam królowa wydała ucztę na której weselono się od południa do wieczoru. Pewnie nie zabrakło okazji do słuchania tak lubianej przez Helenę muzyki oraz — jeszcze bardziej przez nią

lubianych — płasów. Nie mogła — na własne szczęście — przewidzieć, że niewiele czasu już jej pozostało na tego rodzaju pogodne życie i rozrywki.

W dwa lata później Aleksander po raz pierwszy poważnie zaniemógł. Stało się to w Radomiu, podczas obrad sejmu. Nastąpił najprawdopodobniej wylew, pod wpływem którego lewa połowa ciała została sparaliżowana.

Króla przewieziono do Krakowa. Po kilku miesiącach poczuł się lepiej. Niedowład ustąpił na tyle, że król mógł się poruszać o własnych siłach, a nawet dosiadać konia.

W tej sytuacji w październiku 1506 roku Aleksander zdecydował się na wyjazd do Wilna. Helena towarzyszyła mu w tej podróży — jak się okazało — ostatniej w jego życiu.

Jechano niespiesznie, robiąc częste postoje dla wypoczynku i załatwienia państwowych spraw. Wyprawa trwała aż pół roku.

Kiedy para królewska dotarła wreszcie do Wilna Aleksander poczuł się źle. Nie było wiadomo, co mu naprawdę dolega. Chory skarżył się na bóle, które uśmierzano na rozmaite — także szarlatańskie — sposoby i osłabienie. Mimo to przez cały czas starał się pilnie wypełniać wszystkie swoje, związane z władzą, obowiązki. Ale musiał czuć zbliżający się kres życia, bo sporządził testament.

W ostatniej woli wskazał na najmłodszego brata, Zygmunta, jako swego i ojcowizny spadkobiercę. Polecał też opiece brata swoją żonę prosząc, aby ją bronił i aby pozostawała w należytej czci po koniec swojego życia.

19 sierpnia, w pełni świadomy swego stanu i sytuacji, najserdeczniej i najczulej pożegnał się z Heleną. Arcybiskup Jan Łaski udzielił mu ostatniego namaszczenia. Zmarł w nocy, w obecności czuwającej przy nim żony.

Miał lat 45. Helena — 30.

Wolą Aleksandra było spocząć po śmierci na Wawelu, a więc tam, gdzie pochowani byli jego dziadkowie, rodzice i brat. Nie wiadomo, czemu woli tej nie stało się zadość. Historycy podejrzewają opór części niechętnej królowi, a bardzo wpływowej magnaterii krakowskiej. Ale ten powód wydaje się mało prawdopodobny. Bardziej prawdopodobne natomiast — życzenie Heleny, aby pozostawiono doczesne szczątki jej męża w mieście i kraju, w którym spędziła z nim pierwsze, najbardziej szczęśliwe lata małżeństwa i w których miała pozostać jako wdowa.

Wielka Księżna Litewska i ex-królowa musiała zdawać sobie sprawę, że nie ma już dla niej miejsca na krakowskim dworze. Bo nawet jeśli nowy król, a jej szwagier Zygmunt, wyraziłby zgodę, aby stała się rezydentką na Wawelu, to z wielu różnych względów była to ostatnia pozycja, jaką chciałaby tam, czy gdziekolwiek indziej zajmować.

Po pierwsze — Zygmunt mimo, że dobiegał lat czterdziestu, wciąż był kawalerem. Ale zarazem — nie był też mężczyzną całkowicie wolnym. Od

kilkunastu lat oficjalną damą jego serca była Czeszka, panna Katarzyna Telniczanka. A sekretem poliszynela — posiadanie przez ta parę dziecka, córki Beaty.

Związek najmłodszego Jagiellończyka i Telniczanki był czymś znacznie poważniejszym od — zwykłych na monarszych dworach królewskich — flirtów i przelotnych miłostek. Wprawdzie wiadomo było, że Zygmunt nigdy się ze swoją kochanką nie ożeni, ale sama jej stała obecność na dworze i zajmowana przez nią pozycja stawiałyby Helenę w bardzo niezręcznej i dwuznacznej sytuacji. Była królowa nie mogła przecież ani oficjalnie akceptować kochanki szwagra, ani też ostentacyjnie czynić jej afrontów.

Gdyby zaś Zygmunt się ożenił współżycie dwóch królowych pod jednym — najobszerniejszym choćby dachem — na pewno nie sprawiałoby przyjemności żadnej z nich.

Tak więc Aleksander spoczął w krypcie wileńskiej Katedry, w sąsiedztwie swego zmarłego przed ponad dwudziestu laty, świątobliwego (i potem kanonizowanego) brata Kazimierza. A Helena zamieszkała — jak dawniej — w wileńskim zamku.

Była wciąż niezwykle piękna.

Była wciąż młoda.

I bardzo bogata.

Mogła bez żadnych problemów wyjść po raz drugi za męża. Chętnych i zdatnych do ożenku z wdową po polskim królu na pewno nie brakowało.

Ale Helena nie myślała o ponownym zamążpójściu.

Prowadziła ciche, spokojne życie, w dalszym ciągu „opatrując” kościoły i monastyny, administrując swymi majątkościami i starając się nie sprawiać nikomu kłopotu swoją obecnością i istnieniem.

Dopiero w kilka lat później zaczęła przemyśliwać o powrocie do Moskwy. Ponieważ nie miała dzieci musiała często czuć się osamotnioną; stąd zapewne pragnienie by być bliżej rodzeństwa i ich dzieci. Na to jednak nie chciał zgodzić się Zygmunt ani królewska rada.

Wraz z Heleną „wróciłby” do Moskwy jej wielki majątek. A na ten miało chrapkę wielu. I wielu nań liczyło wiedząc, że Helena nie ma w na Litwie ani w Polsce „zstępnych”, którym by się jej bogactwa prawnie należały.

W 1513 roku ex-królowa urządziła wspaniałe wesele jednej ze swoich dwórek. Była i muzyka, i pląsy. Ostatnie radości, jakich śliczna Helena doświadczyła w swoim życiu.

W kilka dni później nieoczekiwanie zachorowała i — pozornie bez żadnej poważnej przyczyny — zmarła.

Jak zwykle w tamtych czasach i w podobnych okolicznościach brano pod uwagę dwie przyczyny: czary albo otrucie.

Nie było powodu, by pozbywać się ze świata tej nie wadzącej nikomu, spokojnej, łagodnej i lubianej kobiety. Skarby, jakie zgromadziła, przejął Zygmunt, przekazując biżuterię i inne precjoza zmarłej swej nowo poślubionej małżonce, Barbarze Zapolya. Ale doprawdy trudno podejrzewać, aby dla zdobycia wielkiej nawet ilości złotych kubków, sobolowych futer i tysięcy dukatów Zygmunt mógł pomyśleć o tak nikczemnej — i obcej jego naturze — zbrodni.

Helena została pochowana w swoim ulubionym soborze Przczystej Bogurodzicy. Ale dziś nie ma po nim nawet śladu. Na miejscu soboru zburzonego przez tłumiących powstanie Kościuszkowskie Rosjan, powstał gmach uniwersytetu. Potem ponownie wybudowano tam cerkiew, ale nie udało się odnaleźć choćby szczątków grobu tej niezwyklej kobiety i królowej, pięknej, mądrej i dobrej.

Tej, która pomohła Aleksandrowi I *przenieść ustrój państwa polskiego ze średniowiecza do nowożytności. I zostawić po sobie Polskę tak rządłą i dobrze zorganizowaną jak nikomu — łącznie z genialnym Batorym — już się w przyszłości nie udało.*

CZARODZIEJSKI PAŁAC

czyli

Elżbieta „Halszka” Radziejowska i Jan Kazimierz

W warszawskiej katedrze św. Jana, tuż nad ołtarzem znajduje się balkon, uwieczniony przez Sienkiewicza w „Panu Wołodyjowskim”. Ketling-Hassling, oprowadzając Krzysię Drohojowską po mieście, posadził ją w tym właśnie miejscu. Panienska, opierając śliczną główkę na oparciu fotela spytała, *czy prawdą jest, że modląca się tu królowa Maria-Ludwika była nieszczęśliwą.*

No cóż — była *nieszczęśliwą*. I to przez całe swoje życie. W każdym razie tę jego część, która spędziła w Polsce.

Pierwszy mąż, król Władysław IV, przyjął ją bez pozorów zdawkowej choćby uprzejmości, czy życzliwości, ostentacyjnie narzekając na jej brak urody i wdzięku. Maria Ludwika nie miała z nim miłego życia. Na każdym kroku dawał jej odczuć, że jest nieatrakcyjna jako kobieta, a na dodatek żadna z niej małżonka i królowa, skoro nie jest w stanie dać mu dziecka i następcy tronu.

Władysław IV nie gustował we własnej małżonce, ale w cudzych i owszem. W jednej z nich zagustował szczególnie. Mieszkała w najbliższym sąsiedztwie królewskiego Zamku, w pałacu jeszcze od Zamku piękniejszym. A ona sama także była tego pałacu wielką ozdobą. Za czasów panowania Władysława IV nazywała się Elżbieta z Słuszków Kazanowska.

Drugi mąż Marii Ludwiki Gonzagi, brat króla Władysława IV, czyli Jan Kazimierz był wprawdzie dla Marii Ludwiki nieco bardziej uprzejmy, ale darzył swoją niemłodą i nieurodziwą żonę raczej szacunkiem, aniżeli miłością. O namiętności w ogóle mowy nie było.

Królowa miała więc powody do smutku, a na pewno nie miała powodów do radości i szczęścia. Nawet wtedy, kiedy mając lat czterdzieści i żadnych już nadziei na potomstwo, zaszła wreszcie w upragnioną ciążę i urodziła córeczkę, macierzyństwem cieszyła się tylko rok. Małeńka królowna zmarła na nie rozpoznaną chorobę. W 1652 zdarzył się wymodlony przez Marie Ludwikę i jej poddanych cud. Królowa ponownie zaszła w ciążę. I ponownie odżyły jej nadzieje. Nie tylko na urodzenie następcy tronu, ale i na polepszenie stosunków z mężem. I wówczas spadł na nią bolesny emocjonalny cios. Hieronim Radziejowski przybył na Zamek, poprosił o audiencję u królowej i doniósł jej, że w obozie pod Beresteczkiem król Jan Kazimierz poświęca czas i uwagę nie tylko i nie tyle Kozakom i Tatarom, co raczej jego żonie, Elżbiecie „Halszce” Radziejowskiej. Maria Ludwika wiedziała o wielkiej słabości swego pierwszego męża do tej kobiety. I zarazem słabości bardzo kosztownej. W prezencie ślubnym Władysław IV ofiarował bowiem pannie młodej — bagatela! — kubek

szczerozłoty z asygnatą na 20 tysięcy dukatów! Teraz zaś królowa dowiadywała się, że jej drugi mąż przejął po bracie nie tylko tron, ale i kochankę. Upokorzenie jej wzrosło, kiedy okazało się, że o królewskich amorach wie cała zebrana pod Beresteczkiem armia. A zapewne i cały kraj.

Lekarze doradzali jej spokój. Ciężarna królowa nie powinna się denerwować ze względu na los dziecka, a pośrednio — państwa. Rada była dobra, ale niewykonalna. I fotel królowej w katedrze św. Jana znowu był zraszany rzewnymi łzami nieszczęsnej Marii_Ludwika.

Kim była królewska femme fatale, która uwiodła kolejno dwóch polskich królów i stała się pośrednią wprawdzie, ale ważną przyczyną szwedzkiego „potopu”?

Na Krakowskim Przedmieściu znajduje się kamienica zwieńczona napisem Res Sacra Miser. Na jej dziedzińcu zaznaczono miejsce, gdzie stał niegdyś przepyszny pałac Kazanowskich. Przewodnicy, którzy prowadzą turystów w to miejsce, pragną zazwyczaj pokazać im, gdzie sienkiewiczowski Zagłoba stoczył swój (nie)sławny pojedynek z małpami. Niewielu wspomina o jednym z najpiękniejszych pałaców, jaki wybudował król Władysław IV, by następnie ofiarować go swemu poplecznikowi i przyjacielowi Adamowi Kazanowskiemu. Francuski podróżnik Jean le Laboureur opisuje to architektoniczne cacko jako „czarodziejski pałac”.

W istocie był jak z bajki. W sali stołowej stała fontanna wykonana ze srebra, a ze srebrnego antałku, trzymanego przez posąg Bachusa, tryskały strugi najwykwintniejszego wina. W tym to „czarodziejskim pałacu” zamieszkała kobieta, która czarodziejską mocą swej niezwyklej urody zdołała zdobyć serca Władysława IV i Jana Kazimierza.

Elżbieta „Halszka” Słuszcanka przybyła na Krakowskie Przedmieście, kiedy miała lat czternaście, aby poślubić Adama Kazanowskiego. Tego męża naraił jej rodzicom Władysław IV.

Pan młody był starszy od swojej oblubienicy o lat dwadzieścia. Władysław IV o dwadzieścia pięć. W tamtych czasach ona uchodziła za zdolną do wypełniania małżeńskich obowiązków i zaspokajania pozamałżeńskich przyjemności. Obaj panowie zaś za mężczyzn jak najbardziej uprawnionych do zaślubiania dziewczątek. A także czynienia z nich swoich kochanek.

Widocznie Adam Kazanowski nie był zazdrośnikiem, albo nie dowiedział się nigdy o romansie swej żony i króla, bo z tego powodu nie czynił żadnych awantur. A król darzył go przyjaźnią, obsypywał zaszczytami i dobrami.

Po 16 latach małżeństwa Halszka owdowiała. Miała wówczas lat trzydzieści. Wedle ówczesnych opinii była wprawdzie kobietą w wieku średnim, ale wciąż jeszcze bardzo łakomym matrymonialnym kąskiem. Bo po pierwsze była arcybogata. Po drugie — wciąż jeszcze urodziwa. A po trzecie, co okaże się nie bez

znaczenia, a nawet w tej opowieści najważniejsze, uchodziła powszechnie za niewiastę znającą wiele sekretów ars amandi. Fawory następcy Władysława IV zdawały się przyświadczać tym właśnie jej walorom.

W rok po śmierci Adama Kazaneckiego została żoną Hieronima Radziejowskiego. Plotka głosiła, że uczyniła to za radą, czy wręcz namową tego króla, tyle, że następnego. Jan Kazimierz jakoby już w czasie jej poprzedniego małżeństwa rad korzystał z jej powabów i miłosnych czarów. Najprawdopodobniej nowy mąż miał być dla Jana Kazimierza i jego kochanki jedynie przykrywką dla ich dalszego romansu.

Ale Hieronim Radziejowski okazał się złym wyborem na „przykrywkę”.

Przede wszystkim dlatego, że sam rozkochał się w swej żonie. I to na zabój. A ponieważ należał do mężczyzn krewkich i — używając współczesnego języka — chętnie *stosującego przemoc domową*, bił swoją Halszkę, kiedy pędziła go ze swojej sypialni, a chętnie witała w niej Jana Kazimierza. Elżbieta, coraz bardziej i bardziej niechętna mężowi, już po roku pożycia z nim zażądała rozwodu. Powody niechęci do męża zgłaszała nie natury osobistej, ale państwowej. Przejęła bowiem list męża pisany do Marii Ludwicy, w którym Radziejowski ostro krytykował króla za jego nieudolność w prowadzeniu wojny, a także zarzucał mu wrogość wobec szlachty. Hieronim wspominał też o romansie króla z jego żoną. Ten powód został jednak w pozwie rozwodowym pominięty. Halszka stwierdzała jedynie, że najzwyczajniej nie jest w stanie współżyć z człowiekiem niełojalnym wobec monarchy, a w dodatku przywódcą rokoszu.

Z listem, świadczącym o politycznej zdradzie męża, udała się do Marii Ludwicy. Ta jednak wiedziała już od męża Halszki Radziejowskiej o jej własnej zdradzie. I dla królowej znacznie ważniejszej i bardziej bolesnej. Odmówiła więc widzenia i posłuchania kochance swego męża. Przestraszona Elżbieta ukryła się w klasztorze sióstr Klarysek. A zamknięty przed mężem pałac powierzyła obronie swego brata, Bogusława Słuszki.

Radziejowski rozpieklił się jeszcze bardziej. Do tego stopnia, że zbrojnie zaczął szturmować najpierw klasztor, udzielający schronienia jego niewiernej żonie, a potem pałac na Krakowskim Przedmieściu, który — wraz z żoną — stanowił przynajmniej w części jego własność

I to była „gardłowa sprawa”. Hieronim Radziejowski naruszał trzy „święte” prawa: nietykalność miejsc sakralnych, jakim był klasztor; spokój i bezpieczeństwo rezydencji królewskiej, a poza tym narażał na szwank majestat króla. W końcu — Bożego pomazańca.

Wszystkie te zarzuty byłyby do odparcia i usprawiedliwienia, gdyby nie chodziło o Halszkę. Król nie okazał się w tym przypadku obiektywny i sprawiedliwy. Radziejowski został oskarżony o obrazę majestatu i pogwałcenie bezpieczeństwa rezydencji królewskiej. Był to zarzut mocno naciągany. Zamek

znajdował się wprawdzie w bliskim sąsiedztwie Pałacu Kazanowskich, ale ani przez moment nie był w żaden sposób zagrożony. Zazdrośnika skazano na banicję i infamię.

I w tym momencie sprawa nabiera już cech nie tylko obyczajowego skandalu. Incydent staje się powodem jednej z najbardziej wyniszczających wojen, jakie musiał prowadzić nasz kraj. Szwedzkiego „potopu”.

Radziejowski, skazany na banicję, szukał pomocy na dworze wiedeńskim. Nic nie wskórał. Udał się więc do Hamburga, stamtąd nawiązał kontakt z królem Szwecji Karolem Gustawem. Ten był żywo zainteresowany wszelkimi informacjami, jakich Radziejowski mógł mu dostarczyć o polskiej armii, panujących w niej stosunkach i stosunkach na dworze. A także o militarnej sile Polski. Ale Hieronim przeliczył się co do łask królewskich, jakie spadną na niego za zdradę polskich interesów. Uczynioną w imię osobistej pomsty na polskim królu. W roku 1656 został przez Szwedów aresztowany i uwięziony w zamku w Malborku, a potem w zamku Orebro w Szwecji. Dopiero w roku 1660, po podpisaniu traktatu pokojowego ze Szwecją odzyskał wolność. I za czyją sprawą i wstawiennictwem? Jana Kazimierza! Być może polski monarcha zrozumiał, jak bardzo zawinił wydając niefortunny wyrok na Hieronima Radziejowskiego. I jak go ukrzywdził, czyniąc rogaczem i wydając na ludzki śmiech.

Radziejowski wrócił do kraju, wyrokiem sejmu odzyskał dawna pozycję i majątek. Zniesiono też jego infamię.

Niestety, nigdy już nie odzyskał dobrego imienia. A poprzez „Trylogię” Henryka Sienkiewicza stał się synonimem zdrady i podłości.

On sam — też pewnie zdając sobie sprawę z hańbiących go postępków — chciał je odpokutować w klasztorze. Nie zdążył jednak złożyć ślubów. Posłując do Turcji, gdzie miał pełnić stanowisko reprezentanta Rzeczypospolitej, zmarł na chorobę zakaźną.

A co się stało z piękną Halszką i jej bajkowym pałacem?

Podczas walk ze Szwedami pałac Kazanowskich uległ częściowemu zniszczeniu. Ale całkowicie znieśli go z powierzchni ziemi sami warszawiacy, pragnąc, aby na miejscu, gdzie mieszkał znieawidzony zdrajca kraju, Hieronim Radziejowski, nie pozostał kamień na kamieniu.

I tak też się stało.

Nie ma pięknego pałacu. Zanikła też pamięć o jego prześlicznej właścicielce oraz tragicznej roli, jaką odegrała w naszej historii.

Po wojnie ze Szwecją podstarzały, schorowany, a przede wszystkim załamany i zgorzkniały król Jan Kazimierz zaniechał romansów. A jego kochanka też posunęła się mocno w latach. A i zdrowie jej nie dopisywało. Wprawdzie pani Radziejowska przeżyła o kilka lat nieszczęsną królową Marię Ludwikę, ale łask i miłości króla już nigdy nie odzyskała.

NAJPIĘKNIEJSZY KWIAT NAJPIĘKNIEJSZEGO PARKU EUROPY

czyli

Zofia Wittowa i Szczęsny Potocki

Z prezentami zawsze były kłopoty. Bo trzeba utrafić w pragnienia obdarowanego, wybrać coś niebanalnego i swoim upominkiem mile się w jego pamięci zakonotować. A w tym przypadku obdarowanym miał być nie byle kto. Sam król. I w dodatku o nader wyrafinowanych gustach — Stanisław August Poniatowski. Tak więc poseł nadzwyczajny Rzeczypospolitej przy Porcie Osmańskiej, Karol Boscamp-Lasopolski nieźle łamał sobie głowę w miesiącach poprzedzających maj 1777 roku. I dzień imienin króla Stasia.

Ale prezent pojawił się jak na zamówienie.

Pewnej nocy zbudziły pana posła dziwne hałasy. Poszukując ich źródła dotarł do swojego portiera, który zabawiał się z miejscową panią *nieciężkich obyczajów*. Zbesztany portier, chcąc ratować swoją posadę, zaproponował chlebobdawcy, że już następnego dnia podeśle do jego sypialni istne damskie cacko — najpiękniejszą dziewczynę Stambułu. W dodatku czystą jak lilia polna.

No i przysłał.

Karol Boscamp — Lasopolski rozpakował „towar”. Portier nie przesadzał co do urody dziewczyny. Przesadził co do jej niewinności. Ale nie miało to większego znaczenia, bo panienka była młoda, śliczna, chętna do wszelkiego rodzaju zabaw erotycznych, miła i zabawna. Jak najbardziej nadawała się na imieninowy prezent dla króla Stasia. I w takim charakterze miała zostać wysłana do Warszawy.

Tyle, że sam pan poseł tak się w dziewczynie rozsmakował, że żał mu było się z nią rozstać. Więc zostawił ją jeszcze na rok. W tym czasie dziewczyna podszkoliła się we francuskim. Nabrała towarzyskiego obycia. Można ją było pokazywać w salonach. A jej naturalny wdzięk i inteligencja pokrywały niedostatki „ukształcenia” i pochodzenia.

Dopiero w styczniu 1779 roku została wyekspediowana do Warszawy. I pewnie do maja dotarłaby na miejsce i jako pięknie opakowany podarunek dostała się w ręce królewskiego solenizanta. Ale tak się nie stało. Dziewczynę poniósł jej bujny temperament. Na każdym postoju wywoływała nowy skandal. Zirytowany i zażenowany Lasopolski kazał jej zawracać do Stambułu.

Ale Zofia nawet słyszeć o powrocie nie chciała. Otwierała się przed nią perspektywa nowych przygód, nowego życia i za nic z tych szans nie chciała rezygnować. Dotarła do Kamieńca Podolskiego. Tam poznała syna komendanta twierdzy, Józefa Witta. Nie był to łakomy matrymonialny kąsek, ale lepszego nie było pod ręką. Śliczna Zofia bez większego trudu owinęła głupawego i zadurzonego w niej młodego człowieka wokół swego małego paluszka. Zakręciła

mu na tyle w głowie, że mimo stanowczego protestu swego ojca ożenił się z nią. Dzięki małżeństwu Zofia wyrwała się spod kontroli swego dotychczasowego mecenasa. I nigdzie już nie musiała wracać. Mogła robić, co jej się podobało. A podobała jej się myśl o długiej i dalekiej podróży poślubnej. I w taka Józef Witt ja zabrał.

Najpierw była Warszawa. I — aż trudno uwierzyć — zaproszenie do królewskiego pałacu. Król Stanisław August bardzo zaciekał się tym niedoszłym, ale niewątpliwie interesującym, a przez małżeństwo z uszlachconym majorem Wittem, nobilitowanym „prezenterem”. Podobno Zofia Wittowa wzbudziła swoją urodą taką sensację w królewskim salonie, że sam Stanisław August postawił ją na stole i wraz z innymi podziwiał wdzięki młodziutkiej Greczynki. Pozostanie tajemnicą, czy tylko na takim na podziwianiu skończyła się ich znajomość, czy też doszło do bliższej. Wydaje się, że doszło, bo król polecił ową *niezwyczajną piękność* innym europejskim władcom

Biograf Zofii Wittowej-Potockiej napisał, że to, co zaszło w ciągu kilkunastu następnych miesięcy *należy do najciekawszych, a zarazem najtrudniejszych do wytłumaczenia zjawisk obyczajowych w XVIII- wiecznej Rzeczypospolitej. W tym czasie bowiem „Dudu” przeobraziła się ze stambulskiej ladaczniczki, wywodzącej się ze społecznych nizin, w legendarną piękność o europejskim rozgłosie (...), o której łaski ubiegać mieli się nawet monarchowie.* Między innymi król Fryderyk Wielki, cesarz Józef II oraz hrabiowie: Prowansji i Artois, czyli przyszli królowie Francji — Ludwik XVIII i Karol IX.

Takich miłosnych sukcesów nie miała chyba żadna inna kobieta.

Ale to był dopiero tych sukcesów początek.

Zofia Wittowa miała ogromne powodzenie. Gustowali w niej możni i władcy tego świata. Przynosiło jej to zaszczyt, ale nie dawało wymarzonej pozycji, ani materialnego dobrobytu.

Pozycję zdobyła dopiero przy pomocy księcia Grigorija Potiomkina. Był on niegdyś faworytem samej carycy Katarzyny Wielkiej i uzyskał dzięki temu i wielki majątek i — co jeszcze ważniejsze — ogromną władzę. Zobaczył panią Wittową, kiedy wizytował obozy wojsk rosyjskich przy południowych granicach Rzeczypospolitej. W jednym z tych obozów znajdował się major Józef Witt. A wraz z nim żona, słynna z urody i swoich miłosnych podbojów.

Potiomkin nie oparł się jej wdzięk. I nie była to jedynie chwilowa miłostka, przelotny romansik. Jeden z wielu. Była to prawdziwa i — jak się okazało — ostatnia wielka namiętność jego życia. Potiomkin zabrał Zofię do Petersburga i wprowadził w świat najelegantszych salonów. Uczynił z kochanki wielką damę.

Zmarł w 1791 roku. Jego śmierć mogła oznaczać dla Zofii kres jej sukcesów. Minęła jej pierwsza młodość, straciła swego protektora. Do niekochanego

i pozbawionego znaczenia męża nie chciała wracać. W Petersburgu nie miała, przynajmniej na razie, nikogo na miejsce zmarłego kochanka. W każdym razie tej miary, co Gregorij Potiomkin. Przypadek sprawił - albo Zofia ten przypadek sprowokowała — że poznała Stanisława Szczęsnego Potockiego.

Zofia Wittowa nie była biedna. Ale chciała być bogata. Bardzo bogata. Najbogatsza. I to marzenie mogło się spełnić za przyczyną właśnie tego człowieka. Jednego z „polskich królewiąt”. I w dodatku najbogatszego z nich.

Była wszakże jedna niebagatelna przeszkoda w drodze do trwałego związku ze Szczęsnym i zawładnięcia jego majątkiem. Potocki był żonaty. Kiedy poznał Zofię Wittową był żonaty po raz drugi.

W swojej bardzo wczesnej młodości zakochał się w szlachciance z sąsiedztwa, Gertrudzie Komorowskiej. Zадurzył się w niej na tyle, aby wziąć z nią ślub. Oczywiście wbrew woli swego papy, który nie dopuszczał myśli, aby dziedzic tak przeogromnej fortuny i tak świetnego nazwiska żenił się z byle szlachcianką. Ślub był więc cichy i potajemny. I szybko pobłogosławiony ciążą młodej pani Potockiej. Ojciec Szczęsnego szalał z wściekłości. Nie rozczuliła go nawet wizja spodziewanego dziadkowania. Kłopotliwy problem kłopotliwego małżeństwa rozwiązał szybko i radykalnie. Nasłał na dwór Komorowskich zbirów, którzy porwali Gertrudę i utopili ją w rzece. Razem z jej nienarodzonym dzieckiem.

Szczęśny rozpacział, a nawet próbował popełnić samobójstwo. Ale jego odratowano, a ojcowa nauczka poskutkowała. Po raz drugi nie popełnił już mezaliansu. Ożenił się z kobietą wybrana przez tatę, czyli dorównującą mu pozycją i majątkiem. Była to Józefina Amalia Mniszechówna.

Choć małżeństwo nie zostało zawarte z wzajemnego upodobania, wydawało się całkiem udane. W ciągu kilkunastu lat pożycia pani Józefina-Amalia urodziła aż jedenaścioro dzieci, co miało dowodnie świadczyć o dzieleniu małżeńskiej sypialni z mężem i robieniu w niej tego, co należało do małżeńskich obowiązków. Czy sypialnia była też miejscem małżeńskich przyjemności, można już powątpiewać. Plotkowano, że pani Józefina przyprawia swemu mężowi rogi i że nie całe potomstwo pochodzi z prawego łoża. Mimo to, oficjalnie, uchodzili za zgodną parę.

Tak więc państwo Potoccy żyli by zapewne długo i mniej lub bardziej szczęśliwie, gdyby Szczęśny Potocki nie zobaczył na jednym z balów Zofii Wittowej. Był to — używając modnego francuskiego zwrotu — *coup de foudre*. Szczęśny spojrział na Zofię i zrozumiał: ta, albo żadna. W nią żaden grom nie strzelił, ale mimo to pomyślała mniej więcej to samo. Że musi go zdobyć na wyłączną własność i na zawsze.

Nie mógł się jej podobać, bo nie był mężczyzną do podobania się. Nie tylko dlatego, że był fizycznie całkiem nieatrakcyjny, ale też i dlatego, że był

beznadziejnie głupi i beznadziejnie nudny. Niektórzy jego biografowie twierdzą nawet, że niewiele przerastał swym intelektem poziom debila.

Ale Zofia Wittowa nie pragnęła prowadzenia ze Szczęsnym rozmów o Senecie czy Owidiuszu. Chciała jego majątku. I jego nazwiska.

Kraj drżał w posadach. Trwała wojna z Rosją. Zawiązała się zdradziecka konfederacja targowicka, w której Szczęsny grał pierwsze skrzypce. Pojawiła się tragiczna wizja trzeciego rozbioru Rzeczypospolitej. Ale pani Zofia Wittowa nie zaprzętała sobie głowy takimi drobiazgami. Zajęta była przeprowadzeniem dwóch rozwodów: własnego i państwa Potockich. A potem przypieczętowaniem swojego nowego związku małżeństwem.

Na razie urodziła Szczęsnemu dwóch synów. Szczęsny Potocki, choć durnowaty z przyrodzenia i na dodatek otumaniony wdziękami kochanki, miał jednak sporo wątpliwości co do swego ojcostwa. Zwłaszcza młodszego chłopca.

Stare powiedzenie o tym, że mężczyzna kocha oczami, a kobieta uszami, w tym przypadku zawodzi. Jeśli bowiem przeczyta się listy Zofii, pełne najbardziej płomiennych i namiętnych wyrazów kobiecej miłości, ma się wrażenie, że jest to gotowy podręcznik „sztuki kochania” i sztuki uwodzenia. Ale Wittowa posuwa się jeszcze dalej. Pisze też listy miłosne w imieniu swego małego synka, co do którego pochodzenia tatuś miał niejakie wątpliwości. Ale nawet największe dałyby się rozwiązać pod wpływem tej wzruszającej czułości, z jaką Zofia opisuje przywiązanie maleństwa do tatusia i jego *uderzające podobieństwo* do Szczęsnego.

W 1793 roku Potocki spotyka się z żoną, aby wynegocjować z nią warunki rozwodu. Jest to bardzo kosztowny rozwód, ale Szczęsny gotów jest zapłacić wiele za swoją wolność. Rozwód Zofii i Józefem Wittem jest wprawdzie łatwiejszy do uzyskania, ale też nie tani. Porzucony mąż Zofii otrzymał od kandydata na swego następcę 500 tysięcy (!) i dożywotnie dochody z dóbr na Białorusi. Zanim jednak doszło do upragnionego przez Zofię małżeństwa, „narzeczeni” (już z trójką dzieci) wyjechali do Hamburga. I dopiero po powrocie do Tulczyna wzięli ślub. Kościelny!

Wiadomo, w jaki sposób i za jaką cenę uzyskali rozwody. Nie wiadomo, w jaki sposób i za jaką cenę uzyskali unieważnienie swoich małżeństw. Jak najbardziej kościelnych. Jak najbardziej skonsumowanych. Jak najbardziej ważnych. „Przypieczętowanych” potomstwem. W przypadku Zofii synem, którego urodziła po roku małżeństwa z Józefem Wittem, a w przypadku Szczęsnego aż jedenaściorciem dzieci, które przyszły na świat w czasie jego ponad dwudziestoletniego pożycia z Józefiną. Można się jedynie domyślać, że cena tego unieważnienia była o wiele, wiele wyższa.

28 kwietnia 1798 roku Zofia była znowu panną. I znowu — młodą.

Jej „wianuszek” był wprawdzie nieco stargany, a — jeśli wierzyć oficjalnej dacie urodzenia Zofii — jej wiek nie całkiem wiosenny, ale Szczęsny i tak uważał

się za wybrańca losu. Trzydziestoosmioletnia ex grecka-kurtyzana wydawała mu się nadal najpiękniejszą i najbardziej pożądaną kobietą świata.

I to można zrozumieć. Szczęsny nie był człowiekiem bystrym, w przeciwieństwie do swojej nowej żony. Zofia potrafiła mu — jak się wydaje — wmówić wszystko. Nawet to, że jest piękny i mądry.

Prezent ślubny, jaki Zofia otrzymała od męża, zadziwił Europę swoją wspaniałością. Szczęsny Potocki postanowił stworzyć dla żony największy i najpiękniejszy ze wszystkich parków. „Zofiówka” do dziś zachwyca bogactwem roślinności i jest arcydziełem sztuki ogrodowej. Można by powiedzieć bez zbytnej przesady, że jeśli chodzi o parki jest największym cudem świata.

Założenie tego parku kosztowało Szczęsnego piętnaście milionów ówczesnych złotych polskich. Przeliczając to na dzisiejsze pieniądze — około miliarda dolarów.

Jednym cieniem na sielskim życiu państwa Potockich kładły się ich narodzone przed małżeństwem dzieci, Wprawdzie cała trójka została uznana przez Szczęsnego, ale mimo to nie miały jednak takich samych praw majątkowych, co ich rodzeństwo, które przyszło na świat już w czasie trwania legalnego związku państwa Potockich. I tak się dziwnie złożyło, że żadne z tej trójki nie przeżyło wczesnego dzieciństwa, podczas gdy ich młodsze rodzeństwo chowało się zdrowo. Czyżby Szczęsny poszedł w ślady swego papy i też równie radykalnie kładł kres ewentualnym problemom z dziedziczeniem majątku?

Pani Potocka już w czasie kilku lat swego „narzeczeństwa” z Potockim, urozmaicała sobie życie zabawiając się z innymi panami. Po ślubie nie zaprzestała przyprawiania mu rogów. I to z kim? Z własnym pasierbem. Jerzy Potocki był od niej wprawdzie aż o szesnaście lat młodszy, ale różnica wieku zdawała się nie mieć dla kochanków żadnego znaczenia. W każdym razie z tego liason przyszedł podobno na świat ostatni potomek Zofii, Bolesław. Czyli — urodziła wnuczka swojemu mężowi, a przyrodniego braciszka Jerzemu.

Inny syn Zofii, Mieczysław, także podejrzewał, że nie pochodzi z prawego łoża. Matka nawet nie bardzo kategorycznie temu zaprzeczała, tłumacząc, że została zgwałcona przez weneckiego rozbójnika. O ile mąż przyjął to tłumaczenie i zgodził się uznać „owoc gwałtu”, o tyle sam „owoc” wystawił swej mamie jak najgorszą cenzurkę, nazywając ją publicznie *wiadomą w całej Europie wszeteczną i rozpustnicą, z która nawet i rozbójnik wenecki mógł mieć stosunki.*

Szczęsny zmarł w 1805 roku, czyli w siedem lat po ślubie z Zofią. Czterdziestopięcioletnia wdowa niedługo jednak krążyła samotnie po parkowych alejkach swojej Zofiówki, pogrążona w smutnych rozmyślaniach i żałobie.

Choć mogłoby się wydawać, że czas jej świetności minął.

Kiedy trzydzieści lat wcześniej Karol Boscamp-Lasopolski oceniał i opisywał urodę młodziutkiej Zofii, zachwycał się jej figurą, gładkością skóry,

blaskiem oczu, bogactwem włosów, ale zwracał też uwagę na pewien mankament jej wyglądu. Podobno piersi dziewczyny były „zmiotczale”, co Boscamp-Lasopolaki tłumaczył *nadużywaniem gorących kąpeli*. Trudno przypuszczać, aby w wieku czterdziestu pięciu lat i wielu porodach Zofia wyglądała równie świeżo jak przed laty, a jej biust nabrał jędrności. Ale jakieś — i to niebagatelne — atuty musiała mieć nadal, bo i po śmierci Szczęsnego miała nowego kochanka. I to nie byle kochanka. Nikołaj Nowosilcow był wprawdzie okrutnym prześladowcą polskich patriotów, zasłużył sobie na przydomek „wieszatiela”, ale mając tak ogromny majątek i tak wielką władzę, z całą pewnością mógł wybierać i przebierać do woli wśród pięknych i najpiękniejszych kobiet. O kilka dziesiątków lat od Zofii Potockiej młodszych. Ale „przebierając” wybrał właśnie ją.

Jaką tajemnicę podobania się miała i zabrała ze sobą do grobu ta prosta, niewykształcona grecka dziewczyna, która rozpoczynała swoją życiową karierę w byle spelunkach? Aby dojść do królewskich łóżnic kilku europejskich władców, podbić serca potężnych rosyjskich samowładców i zdobyć pozycję jednej z pierwszych i najbogatszych arystokratek swojej epoki?

BIAŁY DOMEK

czyli

Elżbieta Grabowska i Stanisław August Poniatowski

Warszawskie Łazienki wydają się miejscem tak dobrze Polakom znanym, że doprawdy trudno sobie wyobrazić, aby istniał jakiś parkowy obiekt, którego historia nie byłaby im bliska, a on sam nie został obfotografowany i opisany na wszelkie sposoby. A jednak Biały Domek, choć znajduje się na najbardziej chyba uczęszczanym szlaku łazienkowskich spacerów, czyli Promenadzie Królewskiej, jakoś dziwnie rzadko budzi większe zainteresowanie. A gdy pyta się przypadkowych przechodniów, z jaką osobą kojarzy im się ta budowla, większość ma wyraźny kłopot z wymienieniem jej nazwiska.

A były dwa.

Pierwszą znaczącą osobą, której duch do dziś ożywia ten śliczny pałacyk, był Ludwik XVIII Bourbon, następcy swoich tragicznie zmarłych poprzedników, króla Francji Ludwika XVI i jego małego synka Ludwika XVII. Ludwik XVIII, po ucieczce z ojczyzny, ogarniętej rewolucyjnym szaleńcem, przez wiele lat błąkał się po Europie. Przyjmowany przez swoich monarszych i arystokratycznych krewniaków i przyjaciół czasem bardziej, a czasem mniej gościnnie. W każdym razie nigdzie nie zabawił na długo. Podczas tych wymuszonych peregrynacji znalazł też chwilowe schronienie w Polsce, a więc kraju swojej babci, Marii Leszczyńskiej. Przez pewien czas korzystał z zaproszenia ówczesnego polskiego monarchy, Stanisław August Poniatowski, który oddał mu do dyspozycji ów właśnie łazienkowski Biały Domek.

Druuga osoba, która związała swoje dzieje i losy z tą śliczną budowlą była Elżbieta z Szydłowskich Grabowska. Wedle niektórych jej biografów — morganatyczna żona króla Stasia. A na pewno — używając współczesnego języka — wieloletnia *partnerka* i matka przynajmniej dwojga królewskich dzieci.

Do naszego ostatniego monarchy przyłgnęła opinia wielkiego swawolnika i kobieciarza. Podobno w świat uciech miłosnych wprowadziła go wyjątkowa w takich uciechach ekspertka — caryca Katarzyna Wielka. Wspomnienia tego krótkotrwałego wprawdzie, ale ognistego romansu jakoby pieścił w swoich wspomnieniach i sercu przez całe życie. Jakoby też nigdy i żadna kobieta nie dała mu tyle szczęścia i tak nie zadowolila jego erotycznych pragnień, jak Katarzyna. I jakoby to właśnie i tylko ją kochał i jej pożądał przez całe życie. Niestety — bez wzajemności. Katarzyna, po wprowadzeniu młodego kochanka w arkana ars amandi, a nawet urodziwszy mu córkę, szybko się jednak nim znudziła i zastąpiła go taką wielością kochanków, że do dziś żaden najbardziej wnikliwy historyk nie zdołał ich policzyć.

Pocieszał się więc przeżywaniem romansów z innymi damami. I nie tylko damami.

Bycie kochanką przystojnego króla uchodziło w czasie jego panowania za wielki dla damy (i nie damy) honor. Wiec damy (nie damy) walczyły między sobą o względy króla. I ogromnie się nimi szczyły. Biografowie króla Stanisława Augusta wymieniają długą listę pań, które trafiły do jego alkowy. Tak długą, że inni biografowie powątpiewają, aby królewska jurność była aż tak wielka, by sprostać wymaganiom i oczekiwaniom aż tak wielu pań. I że listę należałoby skrócić przynajmniej o połowę.

Jest jednak jedna kochanka królewska, która nie wymaga historycznej weryfikacji. To pani generałowa Elżbieta Grabowska.

I w tym miejscu przyjdzie zapytać — dlaczego właśnie ona zajęła w sercu, alkowie i życiu króla Stasia aż tak poczesne miejsce? I tego zatwardziałego najpierw młodego, a potem starego kawalera skłoniła do małżeństwa? Czym różniła się spośród najpiękniejszych, najmożniejszych, najbardziej wykwintnych i najbardziej znanych miłośnic XVIII wieku?

Nie ma dobrej i jasnej odpowiedzi na to pytanie.

Elżbieta nie należała bowiem ani do najsławniejszych, ani najpiękniejszych pań, które otaczały Stanisława Augusta. Nie była obdarzona ani szczególną urodą, ani szczególnym wdziękiem, a już na pewno — wybitnym rozumem. Była, a przynajmniej wydaje się, że była — kobietą całkowicie i pod każdym względem przeciętną. By nie rzec — pospolitą.

Poznała Stanisława Poniatowskiego jako bardzo młodziutka panią, zapewne na jakimś raucie, czy balu. Nie był wtedy królem. Musiała zwrócić jego uwagę i to nie chwilowo, ale na dłużej, bo kiedy został monarchą prawie natychmiast wyniósł jej ojca, sędziego Szydłowskiego na stanowisko senatora. Więcej — specjalnie z myślą o nim utworzył kasztelanję mazowiecką, na której go osadził. Pannę Elżbietę obsypywał natomiast gorącymi listami miłosnymi. I — zapewne — licznymi podarkami.

Ale żenić się z nią jednak nie zamierzał. W ogóle o tym nie myślał i nie brał takiej możliwości pod uwagę. Aby jednak *nie wpędzić dziewczyny w lata* i nie skazać jej tym samym na staropanieństwo wydał ją za męża. Wybrał jej nie za bardzo atrakcyjną *partię* -starszawego wdowca, generała Jerzego Grabowskiego. Pan Grabowski nigdy nie darzył swej żony ciepłymi uczuciami i rzadko bywał w domu. Nad czym Elżbieta specjalnie nie bolała. Młoda kobietę łączyły bowiem w owym czasie bardzo namiętne stosunki już nie tylko z królem Stasiem, ale i jego bratem Kazimierzem.

Ani pani Grabowskiej, ani trzem związanym z nią panom ten dziwaczny czworokąt jakoś nie przeszkadzał. Komplikacje pojawiły się dopiero wówczas, kiedy pani Grabowska zaczęła wydawać na świat dzieci. A było ich aż pięcioro:

Stanisław, Michał, Kazimierz, Aleksandra i Izabela. Historycy nie są zgodni co do ojcostwa poszczególnych potomków pani generałowej. Wiadomo jedynie, że choć cała piątka nosiła nazwisko męża Elżbiety, to on sam raczej nie miał w ich poczęciu żadnego udziału. Wiadomo też, że za przymyknięcie oczu na romanse swej małżonki (i ich konsekwencje) otrzymał od króla najwyższe odznaczenia — order Świętego Stanisława i Orła Białego.

Które dzieci spłodził król Stanisław Poniatowski, a które jego brat — pozostaje tajemnicą. Być może imiona chłopców pośrednio wskazują, kto był ich ojcem. Najstarszy nosi wszak imię króla, Kazimierz — jego brata. Jak się wydaje król Stanisław August nie był w tej sprawie dociekliwy i drobiazgowy. Całą piątką dzieci Elżbiety opiekował się jednakowo serdecznie. I dbał, aby każde z jej dzieci odpowiednio „ustawić” w życiu.

Michał był początkowo adiutantem królewskim, a resztę życia poświęcił karierze wojskowej. Podczas służby w armii Napoleona otrzymał stopień generała i funkcje komendanta Gdańska. Stanisław był ministrem oświecenia w Królestwie Polskim i kawalerem maltańskim. Kazimierz — marszałkiem wołkowyskim. Izabelę wydano za mąż za Walentego Sobolewskiego, który po śmierci gen. Zajączka został namiestnikiem Królestwa Polskiego. Aleksandrę poślubił szambelan królewski hrabia Franciszek Krasicki.

Zanim jednak dzieci dorosły, spędzały miłe i beztrudne chwile w przepięknych królewskich łazienkowskich ogrodach.

W roku 1774 król Stanisław zlecił Dominikowi Merliniemu wybudowanie dla Elżbiety i jej dzieci klasycystycznego budynku, położonego pomiędzy Starą Pomarańczarnią a Pałacem na Wodzie. Nazwano go potem Białym Domkiem.

Biały Domek powstał w ciągu zaledwie dwóch lat. Stanowił i nadal stanowi architektoniczne cacuszko. Zachwyca prostotą i elegancją stylu i urodą wnętrza. I nic w tym dziwnego zważywszy, że o wystrój owych wnętrz zatroszczył się sam Jan B. Plersch oraz — dorównujący mu wykwintnym smakiem i talentem — Jan Ścisło.

Dziś Biały Domek stoi na maleńkim, jakby specjalnie usypanym wzniesieniu. Dawniej otaczały go ze wszystkich stron kanały, mające stanowić nie tyle i nie tylko jego zewnętrzną dekorację, ale — odprowadzając wody gruntowe — chronić go od zawilgocenia. Nie ma też już zielonego bluszczu, który kiedyś spowijał od strony południowej białe mury, zapewniając jego mieszkańcom przyjemny chłód w okresach gorących letnich dni.

Biały Domek był więc — tak modnym w XVIII wieku — *maison de plaisante*, czyli podmiejska willa.

Pani Elżbieta Grabowska miała w tej swojej ślicznej *maison* wszystko, co kobiecie potrzebne do szczęścia. Żyła w luksusie, pozbawiona jakichkolwiek materialnych trosk, otoczona piątką zdrowych i udanych dzieci i bliskością swego

monarszego, a jednocześnie czarującego kochanka.

Nasuwa się niedyskretne pytanie: czy i jak często kochliwy i niestały w uczuciach król Staś odwiedzał Elżbietę, aby *zjeść z nią kolację i uściskać z całego serca*. Czy i jak często znajdował czas, aby swoją *Maleńką dusić w ramionach*.

Jest w Białym Domku komnata wprost wymarzona do takich *uścisków serdecznych* i *pieszczotliwego duszenia w ramionach*. To prześliczny buduar, zdobiony Łukami Amora i całym mnóstwem innych symboli *radosnej i wolnej miłości*.

Król, okazując wyrozumiałość wobec flirtów i romansów swej kochanki, oczekiwał takiej samej wielkoduszności i tolerancji z jej strony. Na ogół pani generałowa przymykała oczy na przelotne miłości Stanisława Augusta. Zdarzyło się jednak, że król przedłożył ponad romantyczne kolacje w Białym Domku, *serdeczne uściski i pieszczotliwe duszenia* w buduarze Elżbiety, karesy z pewną warszawską aktorką. Widocznie ten romans wydał się pani Grabowskiej bardziej gorący lub zbyt długo trwający, w jakiś sposób zagrażający jej pozycji w sercu i życiu króla, bo rozgniewana wyjechała z Warszawy. Skruszony kochanek wysłał za swą lubą (a może już żoną?) kilka — jak to określają ówcześni kronikarze — *sztafet*, mających skłonić obrażoną uciekinierkę do powrotu i wybaczenia.

Wróciła. Przebaczyła.

Nic nie wiemy, kiedy, w jakich okolicznościach i gdzie król Staś poślubił swoją faworytę. Wszystko jednak wskazuje na to, że taki ślub się odbył. I że pani generałowa Grabowska została wprawdzie tylko morganatyczną, ale jednak królewską małżonką. Która — zgodnie z przysięgą małżeńską — towarzyszyła mu nie tylko w jego dobrej, ale i złej doli i nie opuściła *aż do śmierci*.

Kiedy Stanisław August wyjeżdżał na zawsze z Warszawy i kraju, udając się na miejsce swojego wprawdzie luksusowego, ale przecież wygnania na rosyjski dwór, Elżbieta mu w tej banicji nie towarzyszyła. Przyjechała dopiero później. Nie wiadomo, czy była z nim i przy nim przez zapewne smutne, bo obarczone zgryzotą i chorobą ostatnie chwile jego życia.

Po śmierci Stanisława Augusta wróciła do Warszawy. Zmarła w maju 1810 roku w wieku 62 lat. W jej nekrologu napisano: *W całym biegu życia łagodna, szczerą, otwartą dla wszystkich, uprzejmą dla przyjaciół, przystępną dla niższych, litościwą i dobroczynną, ostatek dni przykładnej oddana pobożności*.

Czy wraca czasem, o północy, do swojego Białego Domku w Łazienkach i patrzy przez okna na stare drzewa, na fontannę, zegar słoneczny? Wspomina czas swej młodości i czułych uścisków naszego nie tylko ostatniego, ale i najprzystojniejszego z polskich królów?

KTO POSZEDŁ GÓRĄ...

czyli

Ludwika Sosnowska i Tadeusz Kościuszko

Za ich czasów nieszczęśliwi kochankowie śpiewali rzewnie: *Ty pójdiesz górą, a ja doliną/ ty zakwitniesz różą, a ja kaliną/ Ty będziesz panną przy wielkim dworze/ a ja będę księdzem w cichym klasztorze ...*

Bohaterowie tej opowieści zapewne nie raz powtarzali sobie słowa tej piosenki, choć z czasem coraz trudniej i trudniej było rozsądzić, które z nich *poszło górą*, a w każdym razie, które z nich wspięło się na wyższy społeczny szczyt. Bo tylko na początku ich znajomości i romansu sprawa wydawała się prosta. Ludwika Sosnowska, córka marszałka sejmu i wojewody połockiego miała zostać wprawdzie nie panną, ale panią na prawdziwie magnackiej fortunie. A Tadeusz Kościuszko, kadet Szkoły Rycerskiej, wprawdzie nie księdzem lecz oficerem. W takim układzie i *góra*, i *dół* były całkiem jednoznaczne. On znajdował się znacznie niżej w hierarchii *drabiny społecznej*, a ona zajmowała miejsce na — jak się wówczas zdawało — nieosiągalnej dlań społecznej *górze*.

Po latach wszystko się jednak odmieniło.

Czy dziś ktokolwiek słyszałby o Ludwice Sosnowskiej–Lubomirskiej, gdyby nie kochał się w niej Tadeusz Kościuszko?

W każdym rankingu to on znajduje się zawsze i nieodmiennie w pierwszej dziesiątce Polaków najbardziej znanych w kraju i za granicą. Jego twarz, sylwetkę i zwycięstwa uwiecznili na swych obrazach najwybitniejsi malarze: Józef Kosiński, Kazimierz Wojniakowski, Józef Grassi, Jan Piotr Norblin de la Gourdain, Józef Chełmoński, Michał Wywiórski, Jan Styka, Wojciech Kossak, Franciszek Smuglewicz i największy z największych: Jan Matejko. Tadeusz Kościuszko stał się bohaterem utworów literackich Władysława Anczyca, Teofila Lenartowicza, Marii Konopnickiej, Kornela Ujejskiego, Rajnolda Suchodolskiego, Jana Czeczota, Franciszka Książnina, Kazimierza Brodzińskiego, Tadeusza Korzona, Władysława Reymonta, Stefana Żeromskiego i setek mniej znanych poetów, prozaików, dramaturgów i dziejopisarzy.

Ma „swojego” poloneza („*Patrz, Kościuszko, na nas z nieba*”), „swojego” krakowiaka („*Bartoszu, Bartoszu ...*”) i „swoją” marsz („*Pieśń Kawalerii Narodowej*”). Na wawelskim bastionie Władysława IV stoi pomnik konny legendarnego Naczelnika dłuta L. Marconiego. Tadeusz Kościuszko ma także pomnik na dziedzińcu najsłynniejszej na świecie Akademii Wojskowej — West Point. Zwycięzca spod Racławic spogląda nie *z nieba*, lecz kolejnego pomnika na waszyngtoński Biały Dom. Oraz mieszkańców Chicago, Filadelfii, Milwaukee, Cleveland i wielu innych północno- amerykańskich miast. Ma „swoją” górę (*Mount*

Kosciusko), najwyższy szczyt w Australijskich Alpach Śnieżnych. A nawet „swoją” wyspę (*Kosciusko Island*) w Archipelagu Aleksandra u wybrzeży Alaski. Ma wreszcie „swoją” dywizję i jest patronem niezliczonej liczby szkół i ulic. W Krakowie usypano kopiec ku jego czci. Jeden z czterech, jakimi uhonorowano najbardziej cenione postacie z historii naszej dawnej stolicy i całej Polski.

Czy można zasłużyć sobie na większą sławę i chwałę? I zyskać większą sławę i chwałę?

Gdyby senator Józef Sosnowski w 1766 roku mógł przewidzieć bieg przyszłych zdarzeń być może nie wypowiedziałby owego okrutnego zdania odbierającego Tadeuszowi Kościuszcze nadzieję na zdobycie ręki jego córki: *Synogarlice nie dla wróbli, a córki senatorskie nie dla szlachetków*.

Ale co stałoby się, gdyby to zdanie nie padło, a panna Ludwika poślubiła Tadeusza? Być może szczęśliwy żonkoś osiadłby na którymś z majątków swej żony i prowadził ustabilizowane, stateczne i nudne życie. A polska historia potoczyłaby się całkiem inaczej.

Ludwika Sosnowska i Tadeusz Kościuszko urodzili się i wychowywali w bliskim sąsiedztwie. Ona w Sosnowicach, on w Mereczowszczyźnie na Wołyniu. Byli też ze sobą wprawdzie dość daleko i luźno, ale jednak skoligaceni. Tyle, że jej rodzina znajdowała się w hierarchii społecznej na samym jej szczycie, a jego — dużo, dużo niżej.

Nie zawsze jednak tak było.

Jeszcze w pokoleniu dziadków Tadeusz i Ludwika byli niemal równi sobie stanem. I dopiero ojciec panny Sosnowskiej zadbał o to, by się wybić. I to bardzo, bardzo wysoko.

Ojciec Ludwiki zgromadził, oprócz bardzo wielkiego majątku, także wiele zaszczytnych tytułów. Najpierw posła, potem senatora, jeszcze potem marszałka sejmu elekcyjnego z 1764 roku. Następnie wojewody połockiego. I wreszcie — hetmana polnego litewskiego. Jak pisał Niemcewicz — *znaczny też uformował kapitał*.

Owo *formowanie kapitału* przypomina nieco karierę przysłowiowego amerykańskiego pucybuta, który krok po kroku dochodzi do bajecznej fortuny. Józef Sosnowski zaczynał wprawdzie nie od najniższego, ale też i niezbyt wysokiego szczebla — jako sekretarz w kancelarii hetmana polnego Stanisława Denhoffa. Okazał się w tej roli i na tym stanowisku niezwykle obrotny. Nawiązał mnóstwo pożytecznych znajomości i zdobył wiele przydatnych informacji, które w przyszłości ku swej korzyści spożytkował.

Nie był wzorem żadnych cnót, a już na pewno nie był wzorem lojalności. Bardzo łatwo i często zmieniał swych protektorów, zawsze porzucając tych, którzy tracili znaczenie, a zbliżając do tych, którzy je zyskiwali. Zamienił więc kancelarię

hetmana Denhoffa na kancelarię kandydata do tronu, Stanisława Leszczyńskiego. Po jego abdykacji przeszedł na służbę nowego hetmana polnego, Michała Radziwiłła. Wreszcie — doskonale wyczuwając sytuację i czas — związał się z „familiją” Czartoryskich. Jako jeden z jej najaktywniejszych działaczy dopomógł Stanisławowi Augustowi w zdobyciu korony, a sobie — prawdziwie magnackiej fortuny.

Po ojcu odziedziczył Sosnowicę. Potem dokupił majątki: Pulnę i Przegaliny, wsie Zawady i Tur, miasteczko Komorówkę. Nabył kamienicę w Grodnie. Był założycielem Kompanii Manufaktur Wełnianych. I sprawnym dzierżawcą radziwiłłowskich dóbr: Klecka i Cimkoszczy. Wszystko to jednak wciąż nie zaspokajało jego wybujałych ambicji. Poczul się usatysfakcjonowany dopiero wówczas, kiedy stał się posiadaczem ogromnych dóbr szarogrodzkich Stanisława Lubomirskiego.

Przejęcie tego majątku nastąpiło wprawdzie w atmosferze ogromnego skandalu, ale — w gruncie rzeczy — całkiem legalnie. Stało się to podczas kontraktów lwowskich, czyli dorocznego zjazdu wielkich posiadaczy ziemskich, przyjmujących i realizujących zamówienia kupców przybywających z kraju i zagranicy. Po dniu wypełnionym ubijaniem interesów magnaci chętnie zabawiali się grą w karty. Stawki były wysokie. Czasem — niewyobrażalnie wysokie. Stanisław Lubomirski, hazardzista i człowiek nie zrównoważony umysłowo, a okresami szalony, przegrał do Sosnowskiego Szarogród.

Rodzina Lubomirskich próbowała interweniować i ową przegraną unieważnić. Na drodze sądowej było to jednak prawie niemożliwe. Ale Sosnowskiego udało się skłonić do bardzo szczególnej ugody. Zgodził się w przyszłości wydać swoją (wówczas jeszcze nieletnią) córkę Ludwikę za (także jeszcze niedorosłego) syna Stanisława Lubomirskiego, Józefa, i ofiarować jej w posagu sporne dobra. Dzięki takiej umowie zyskiwały obie strony. Lubomirscy odzyskiwali utracony przez szalonego krewniaka majątek. Pan Józef Sosnowski sięgał zaś po tytuł książęcy dla córki.

Tego tytułu bardzo mu brakowało. A córka, przez małżeństwo miała szansę wspiąć się na sam szczyt społecznej drabiny i dać panu wojewodzie wnuki z tak bardzo przez niego upragnioną błękitną krwią.

Do takich „błękitnych” mariaży obie panny Sosnowskie, starsza Katarzyna i młodsza Ludwika, były przygotowane od kołyski. Dbano o ich jak najlepsze *ukształcenie*, świetne manieri, umiejętność bywania w najlepszym towarzystwie i zaskarbienia sobie tego towarzystwa względów. Po pobraniu stosownych nauk w sosnowickim domu, wojewodzianki zostały wysłane do Warszawy, aby w najbardziej ekskluzywnej pensji dla dobrze urodzonych panien doszlifować swoje *talenta* i umiejętności.

Właścicielka tej pensji, pani Schmitt, dbała nie tylko o napelnienie ich

główek francuskimi słówkami, wiadomościami z dziedziny historii i kultury, ale nauczyła je gry na fortepianie, rysunków i śpiewu. Starła się również jak najczęściej wprowadzać je *na salony* i w *wielki świat*, czyli te miejsca, w których miało upływać ich życie.

W karnawale 1765 roku panny Sosnowskie zostały zaproszone na bal do pałacu kanclerza Zamoyskiego. Aby zapewnić im jak najbardziej odpowiednie towarzystwo gospodarze sprowadzili do swego pałacu kadetów słynnej Szkoły Rycerskiej.

Ta szczególna szkoła była oczkiem w głowie króla Stanisława Augusta. A wychowankowie szkoły starannie i wszechstronnie wykształconymi i doskonale wychowanymi młodymi mężczyznami. Przez wiele lat stanowili elitę warszawskiej męskiej młodzieży. I byli prawdziwą ozdobą każdego liczącego się balu. Każdy z nich mógł *przetańczyć całą noc*, a najbardziej nawet surowe matki mogły bez żadnych zastrzeżeń powierzyć im swoje córki. Kadeci emablowali bowiem panienki z należnym ich urodzeniu i cnocie szacunkiem i *znali swoje miejsce w szeregu*.

Podczas balu w pałacu kanclerza Zamoyskiego spotkali się: siedemnastoletnia wojewodzianka Ludwika Sosnowska i dwa lata od niej starszy chorąży Szkoły Rycerskiej, Tadeusz Kościuszko. Nie wiemy, czy było to ich pierwsze spotkanie. Wiemy, że było dla obojga wielce znaczące. Tadeuszowi ogromnie się spodobała się ładniutka, pełna wdzięku i rezolutna panienska. Ją oczarował prymus Szkoły Rycerskiej, ulubieniec króla Stanisława Augusta, a na dodatek najlepszy dancer stolicy.

Na portretach, najbardziej nawet *pochlebionych*, Tadeusz Kościuszko nie odznacza się ani wielką, ani w ogóle żadną urodą. Wizerunki sugerują, że był niewielkiego wzrostu (Sienkiewicz powiedziałby *nikczemnej postury*), rysy twarzy miał nieregularne, a nos mało foremny, a w dodatku — zadarty. Julian Ursyn Niemcewicz, który znał go osobiście, jest w charakterystyce Tadeusza bardziej łaskawy. *Oczy miał duże, smętne, twarz bladą, postać dość przyjemną. Najbardziej uderzył mnie w nim do samego pasa dochodzący warkocz włosów naturalnych, czarną wstążką obwinionych.*

Trudno pojąć, dlaczego Niemcewicz dopatrywał się u Kościuszki *smętnych oczu*. W każdym razie podczas studiów w Szkole Rycerskiej, a już na pewno w czasie zabaw i balów oczy te smętne nie były. Przeciwnie — przyszły bohater spod Raławic w swej pierwszej młodości uchodził za bardzo „rozrywkowego” młodego człowieka. Nie stronił od wszelkich uciech życia. Przyjaźnił się z (też *nie smętnym*) księciem Józefem Poniatowskim i znacznie więcej mówiono w stolicy o różnorodnych zabawowych eskapadach, a nawet ekscesach, w jakich obaj brali udział, niż o oddawaniu się wzniosłym i patriotycznym refleksjom.

Przez całe życie Tadeusz Kościuszko cieszył się ogromnym wzięciem

u kobiet. Był błyskotliwy, czarujący, jak już wspomnieliśmy — wspaniale tańczył i potrafił miłymi i akuratnymi słowami omotać niemal każde niewieście serce.

W pałacu Zamoyskich podbił serce Ludwiki Sosnowskiej.

Młodzi spotykali się w Warszawie kilkakrotnie. Zawsze jednak były to oficjalne przyjęcia. Nigdy i ani przez chwilę nie pozostawali sam na sam. Mimo to jednak potrafili okazać sobie wzajemność jeśli jeszcze nie najbardziej gorących uczuć, to już czegoś znacznie silniejszego niż zwyczajna sympatia.

Nie wydawało się jednak, aby ta zwyczajna, czy nawet niezwykła sympatia mogła przetrwać próbę czasu. A żeby mogła przerodzić się w wielką miłość i gorącą namiętność musiała takiej właśnie próbie sprostać. Tadeusz Kościuszko, najlepszy uczeń Szkoły Rycerskiej, otrzymał bowiem nagrodę z rąk (i kasy) króla Stanisława Augusta. Nagrodą było stypendium, umożliwiające wyjazd do Paryża i kontynuowanie studiów na tamtejszej uczelni. Młody człowiek miał szlifować swoją wiedzę na kierunku inżynierii. Wybrał jednak dodatkowo studia artystyczne na kierunku rysunku oraz rzeźby. Dziedziną, która go również żywo interesowała była architektura krajobrazu, czyli mówiąc prościej — projektowanie parków i ogrodów.

Tak więc młodzi rozstali się na kilka lat. Na pewno nie sprzyjających rozwojowi ich — jak to się wówczas mówiło — *wzajemnej skłonności*. Panna Sosnowska doszła już bowiem *do lat*, czyli wieku, w którym konieczne należało wyjść za mąż, aby uchronić się przed mianem i statusem starej panny.

Już w momencie spotkania Kościuszki na warszawskim balu była jak najbardziej *na wydaniu*. W siedemnastej lub osiemnastej wiosnie życia znakomita większość ładnych i/lub posażnych panien stawała na ślubnym kobiercu, a przynajmniej nosiła zaręczynowy pierścionek na serdecznym palcu. Ludwika była i ładna, i bogata. No i była — nieoficjalnie wprawdzie, ale za to od lat — zaręczona z Józefem Lubomirskim. Pozostanie zagadką dlaczego, mimo to, za mąż nie wyszła i mając lat (aż!) 26 wciąż pozostawała *do wzięcia*.

Czy to księżę Józef Lubomirski zwlekał z wypełnieniem woli własnego ojca i przysięgi teścia? Czy Ludwika odkładała swoje zamążpójście i przez osiem (aż!) lat czekała na Tadeusza? Mogłoby się tak właśnie wydawać. W roku 1774, kiedy Kościuszko po ukończeniu swych zagranicznych studiów i wojaży wrócił do kraju, pierwsze kroki skierował do Sosnowicy. Został tam powitany bardzo serdecznie nie tylko przez pannę Ludwikę, co oczywiste i zrozumiałe, ale także jej ojca — co ani oczywiste, ani zrozumiałe nie było. Najwyraźniej pan wojewoda w ogóle nie podejrzewał, że młodzi nie tylko kiedyś *się mieli*, ale wciąż *mają się ku sobie*. Gdyby przyszło mu to do głowy na pewno noga inżyniera Kościuszki nie stanęłaby na sosnowickiej ziemi i w sosnowickim pałacu.

Józef Sosnowski widział jednak w protegowanym mu przez króla młodym człowieku nie adoratora swej córki, ale jedynie bardzo zdolnego i bardzo modnego

w arystokratycznych kołach projektanta ogrodów. I w takim właśnie charakterze go zatrudnił. Tadeusz Kościuszko otrzymał konkretne i dość intratne zlecenie — przekształcenia nieco zaniedbanego i staroświeckiego sosnowickiego parku w ogród z bajki.

Panna Ludwika niezmiernie żywo interesowała się ojcowskimi planami, a jeszcze bardziej osobą ich wykonawcy. Ludwika i Tadeusz spędzali ze sobą wiele czasu. Pan wojewoda był jednak przeświadczony, że młodzi dyskutują o drzewach, klombach i oczkach wodnych. Tak bardzo nie domyślał się, co dzieje się w sercach jego córki i pana inżyniera Kościuszki, że zaproponował mu, aby pod jego fachowym okiem Ludwika podszkoliła swoje umiejętności rysunkowe. Nie doznał olśnienia widząc nadzwyczajną gorliwość córki w pobieraniu tej nauki.

Ludwika i Tadeusz zdawali sobie jednak sprawę, że wkrótce nadejdzie dzień, kiedy trzeba będzie zakończyć pracę nad przekształceniem parku, a także lekcje rysunku. Co wtedy?

Tadeusz Kościuszko podjął ryzykowną decyzję. Poprosił o rozmowę z ojcem Ludwika. A w rozmowie — o jej rękę. Wojewoda Sosnowski najpierw się niepomiernie zdumiał, a potem niepomiernie rozsierdził. To właśnie wówczas padły ostre i pełne pogardy słowa o *synogarlicach* i *wróblach*, które miały raz na zawsze wybić z głowy *szlachetki* jego zuchwałe mrzonki i zamiary.

Nie wybiły. Wprawdzie Tadeusz Kościuszko wyjechał z Sosnowicy nakarmiony najbardziej czarną z czarnych polewek, ale wciąż jeszcze nie myślał o kapitulacji. Tym bardziej, że nie myślała o niej także Ludwika. Tak długo czekała na ukochanego, że nie miała zamiaru uznać tych ośmiu lat za raz na zawsze stracone.

W jaki sposób i za czyim pośrednictwem młodzi utrzymywali ze sobą potajemne kontakty — nie wiadomo. Musieli jednak jakoś się porozumiewać, bo ułożyli wprawdzie szaleńczy i w praktyce całkiem nierealny, ale przecież wspólny plan działania. Tadeusz Kościuszko miał dokonać klasycznego raptu, czyli porwania panny z jej rodzinnego domu. W czasie ucieczki Ludwika i Tadeusz zamierzali wziąć ślub i w ten sposób postawić rodzinę panny wobec faktu całkiem już dokonanego i nieodwracalnego.

Znając przyszłe strategiczne talenty Tadeusza Kościuszki można się jedynie dziwić, że wymyślił i wykonał ten plan aż tak nieudolnie. Przede wszystkim powierzył swój sekret zbyt wielu osobom. Z których jedna (kilka?) go zdradziła(o). Nie udało mu się uprowadzić panny. Naraził się natomiast na wszystkie możliwe konsekwencje swojego czynu. Wydawało się, że nikt go przed sądem i karą nie obroni.

Na szczęście obrońca się znalazł. I to najpotężniejszy z potężnych.

Król Stanisław August dowiedziawszy się o kabale, w jaką popadł jego pupil ze Szkoły Rycerskiej, ofiarował Kościuszcze 100 dukatów w złocie oraz radę,

by zmykał czym prędzej za granicę. I to jak najdalszą.

Nasz przysły Naczelnik pieniądze przyjął, a rady posłuchał. Czmychnął najpierw do Paryża, a stamtąd do Ameryki. Postanowił oddzielić się oceanem od swoich dramatycznych i upokarzających sercowych doświadczeń. I w dosłownie Nowym (dla niego) Świecie szukać zapomnienia i pieniędzy. Podróży do Ameryki o mało co nie przypłacił życiem. Okręt, którym płynął, uległ katastrofie i Kościuszko tylko cudem się z niej uratował.

Panna Ludwika pozostała zdana na łaskę, a raczej — niełaskę swego surowego taty. Józef Sosnowski uwięził nieposłuszną córkę w jednym ze swoich zameczków, obwarowując go tak silną strażą, że ucieczka stała się całkowitym niepodobieństwem. Zresztą — gdzie i do kogo biedaczka miała i mogła uciec?

Ludwika zapewne nieraz słyszała o smutnych dziejach Halszki z Ostroga i hrabiny Cosel, podobnie jak ona zamkniętych w mrocznych celach. I to na całą resztę życia. Była zrozpaczona, ale zarazem na tyle rozsądna, by spróbować się ze swej niewoli i niedoli wyzwolić.

Ojciec widział jedno tylko wyjście. Wyjście za mąż za kandydata, którego jej sam już dawno temu wybrał.

W 1776 roku książę Józef Lubomirski, syn szalonego Stanisława, był właścicielem ogromnych dóbr równieńskich na Wołyniu, jednym z owych legendarnych kresowych królewiat. W jego posiadaniu znajdowały się cztery miasta i aż siedemdziesiąt sześć wsi. Majątek ten oszacowano na bajeczną wówczas sumę 7 milionów złotych. Przynosiły krociowe zyski — 360 tysięcy złotych rocznie.

O ile Józef był najprawdziwszym księciem z najpiękniejszej bajki, który mógł wybierać i przebierać pomiędzy najwspanialszymi *partiami* w kraju i Europie, o tyle Ludwika aż tak idealną kandydatką na jego żonę nie była. To prawda, że wraz z jej ręką powracały do rodziny Lubomirskich wielkie dobra szarogrodzkie, ale przecież było wiele innych panien równie, a może i o wiele bardziej posażnych. A przy tym od Ludwiki młodszych i lepiej urodzonych. No i nie obciążonych tak skandaliczną przeszłością. Jednym słowem dziewcząt o świetnym pochodzeniu, ogromnym wianie, a ponadto z wolnym i kochającym Józefa Lubomirskiego sercem.

A można go było pokochać szczerze, gorąco i bez żadnego trudu. Był nie tylko przystojny, elegancki, ale miał także szerokie myślowe horyzonty. Hugo Kołłątaj chwalił go, stawiając innym za *przykład pozytywny* i oceniając jako człowieka, który *postępował po ludzku z zupełną do prawa stosownością*.

Dlaczego więc tak pod każdym względem atrakcyjny mężczyzna zdecydował się poślubić właśnie Ludwikę Sosnowską? Czy znał ją wcześniej? Czy już wcześniej darzył ją uczuciem? Wszystko na to wskazuje. Nic natomiast nie wskazuje, by było inaczej.

Po ślubie to zawsze on — używając angielskiego porzekadła — *nadstawiał policzek do pocałunku*. Ludwika grała bowiem w tym stadle od początku do końca jego trwania, a więc przez ponad czterdzieści lat, pierwsze skrzypce.

Przed swoim ślubem panna Sosnowska napisała długi list do Tadeusza Kościuszki, w którym wyjaśniała, a przynajmniej starała się wyjaśnić, motywy swej matrymonialnej decyzji. Zapewniała, że będzie zawsze i niezmiennie go kochała i nigdy nikomu poza nim nie odda swojej duszy i swoich myśli. Józef — zapewniała — będzie posiadał jedynie jej ciało.

Widocznie Tadeuszowi Kościuszcze ciało Ludwiki wciąż jeszcze nie było obojętne, a jej dusza i myśli nie tak bezcenne jak sądziła, bo ani wtedy, ani nigdy później na ów list nie odpisał. Jak się wydaje nigdy też decyzji Ludwiki o jej szybkim zamążpójściu nie zaakceptował.

Józef żeniąc się z panną, o której gorącym romansie wiedziała cała Polska, musiał być przeświadczony, że zdoła wybić jej Kościuszkę z egzaltowanej głowy. Czy mu się to udało?

Na tak postawione pytanie nie ma jednoznacznej odpowiedzi.

Małżeństwo na pewno nie było *białe*, ponieważ już w rok po ślubie Ludwika urodziła syna, Henryka. Potem przyszło na świat czworo następnych dzieci, z których przeżyło, czy — jak to się wówczas mówiło — *chowalo się* dwoje: Helena i Fryderyk.

Małżeństwo nie było też nieszczęśliwe. Ludwika bardzo szybko i niezwykle łatwo zaadaptowała się do swej nowej roli i warunków życia. Co więcej i co ważniejsze — bez oporów przyjęto ją do rodziny Lubomirskich i wszystkich innych magnackich rodów. Musiała być naprawdę ujmująca w sposobie bycia i miła dla męża oraz jego bliskich i przyjaciół, skoro nikt nigdy nie dał jej odczuć, że nie jest tak całkiem jemu i im równa stanem. I że jej romans z młodym oficerem w niczym nie obciąża jej reputacji.

W każdym razie wkrótce po ślubie pałac księstwa Ludwiki i Józefa Lubomirskich w Równem stał się jednym z centrów kresowego życia arystokratycznego *crème de la crème*. W największej mierze było to zasługą uroku osobistego i talentów towarzyskich Ludwiki.

Ale nie można odmówić zasług także jej mężowi. Józef bowiem postanowił rozbudować i *uwspanialić* rezydencję. Przebudowa pałacu oraz przekształcanie ogrodów trwało wiele lat i pochłonęło ogromne sumy. Ale dzięki temu Ludwika miała właściwą oprawę dla swoich słynnych — zarejestrowanych przez XVIII wieczne kroniki — przyjęć, rautów, bali, koncertów oraz niezmiernie wówczas modnych amatorskich przedstawień teatralnych. Ona sama chętnie i z powodzeniem w tych sztukach grywała. Kiedyś jej sceniczne popisy oklaskiwał sam król Stanisław August.

W opinii publicznej uchodziła za dobrą żonę i wyjątkowo dobrą matkę.

Jest jeszcze jeden — wprawdzie pośredni, ale dość poważny dowód, że Ludwika zaakceptowała swego męża i jeśli nawet nie była w nim śmiertelnie zakochana, to na pewno darzyła go sympatią, przywiązaniem i szacunkiem. Otóż po wymuszonym przez ojca zamążpójściu, Ludwika bynajmniej się od niego nie odwróciła. Całkiem przeciwnie — wkrótce po ślubie wygasły wszelkie żywione przez nią poprzednio żale i urazy. Listy wysyłane do ojca przez księżnę Lubomirską były przepojone rosnącą z roku na rok czułością i nie wyrażaną wprost, ale wyczuwalną wdzięcznością. Czytając je odnosi się wrażenie, że córka próbuje dać ojcu do zrozumienia, że w końcu to jego, a nie jej wybór małżonka okazał się słuszny.

W kilkadziesiąt lat później nasz wieszcz, stojąc *na Alpach w Splügen* i dając upust swoim sercowym rozterkom, werbalizuje jednocześnie dylematy sercowe sędziwej już wówczas Ludwiki Lubomirskiej. *Czy byłabyś szczęśliwsza, gdybyś moja miła/ wiernego ci wyгнаńca przygody dzieliła ...*

Adresatka tego wiersza, Maryla z Wereszczaków Puttkamerowa nie byłaby szczęśliwsza. A Ludwika z Sosnowskich-Lubomirska? Chyba także nie.

Zdaje się, że raczej odpowiedziałyby twierdząco na następne pytania Mickiewicza: *czyś ty szczęśliwa, że ciebie poddani/ niewolnicze schylając karki zowią „Pani”/ że cię rozkosz usypia i wesołość budzi/ i że cię nawet żadna pamiątka nie nudzi ...* Co do poddanych, wieczornych rozkoszy i pogodnych poranków nie ma wątpliwości. Ale co do pamiątek (a przede wszystkim pamiętania) sprawa już całkiem inna. Ludwika nigdy nie zapomniała swej pierwszej miłości i przy każdej okazji to podkreślała. Nieraz i całkiem wyraźnie pisała o tym Tadeuszowi Kościuszce. I choć nigdy ani jednym dobrym, wybacającym, czy choćby rozumiejącym słowem się do niej nie odezwał, ona przez całe swoje życie uważnie i nieustannie śledziła jego losy i dzieje. Kiedy tylko mogła starała się przyjść dawnemu kochankowi z pomocą.

A było co śledzić i było sporo okazji do udzielania Kościuszce pomocy. Wprawdzie żyjąc z nim Ludwika nie byłaby otoczona owym łabędzim puchem, który oferował jej Józef Lubomirski, ale jedno jest pewne — nie miałyby powodu do narzekania na nudę.

Przebywszy Atlantyk Tadeusz Kościuszko wylądował w Filadelfii. Dzięki listom polecającym wystawionym przez księcia Adama Czartoryskiego uzyskał audiencję u generała Lee i został przyjęty do armii amerykańskiej. Jako inżynier w randze pułkownika i nie z oszałamiającą wprawdzie, ale całkiem przyzwoitą jak na tamte czasy (i jak dla cudzoziemca) gażą — 60 dolarów miesięcznie.

Skierowany na Północ kierował budową umocnień fortów Ticonderoga i Saratoga. Po spektakularnej klęsce, jaką armia brytyjska poniosła pod Saratogą właśnie, akcje polskiego inżyniera-pułkownika nagle poszybowały w górę. Uważano go za współautora tego wspaniałego zwycięstwa, a to z powodu

świątyni ufortyfikowania Saratogi.

Tadeusz Kościuszko otrzymał więc nowe, ambitne zadanie — wybudowania „od podstaw” twierdzy, która byłaby nie do zdobycia. Nasz wielki rodak stworzył wówczas sławne do dziś West Point.

Minęły dwa lata. Kościuszko został awansowany na stanowisko naczelnego inżyniera Armii Południowej. A w 1783 generała brygady Armii Amerykańskiej. Awansom towarzyszyły znaczne nagrody pieniężne oraz nagrody rzeczowe. Tą ostatnią było na przykład nadanie Kościuszce 250 hektarów ziemi.

W porównaniu do tysięcy hektarów, jakie należały wówczas do Ludwika i Józefa Lubomirskich był to majątek bez żadnego znaczenia. Wciąż jeszcze to ex-panna Sosnowska *szła górą*, a jej ukochany *doliną*.

Ale tylko jeśli chodzi o sprawy materialne.

Gdy rozpatrujemy rzecz na płaszczyźnie sławy i chwały, to dla Kościuszki zaczyna się okres gwałtownej wspinaczki ku *górze*.

Kochany przez żołnierzy, ceniony przez Waszyngtona, Franklina, Jeffersona — oceniają biografowie przyszłego Naczelnika. Są też zgodni, że kariera wojskowa, a może nawet i polityczna stała przed nim otworem.

Ale Kościuszko z tej szansy nie skorzystał i w 1784 roku powrócił do kraju.

To, co zarobił w Ameryce, rozdał na cele charytatywne. Przede wszystkim na pomoc Murzynom, a reszta jakoś się *rozeszła*. Tadeusz był tak życiowo niepraktyczny, że *rozchodziły* mu się wszelkie dobra. Nigdy nie przywiązywał najmniejszej choćby wagi do spraw materialnych.

Osiadłszy w rodzinnym majątku Siechnowicze próbował nim — bez większego sukcesu — gospodarować. Wyzwolenie chłopów od pańszczyzny być może uszczęśliwiło poddanych Kościuszki, ale nie poprawiło jego interesów. Tak naprawdę przez pięć lat pobytu w Siechniewiczach udawało mu się jedynie: urządzenie i pielęgnacja ogrodu, malowanie oraz romansowanie z pannami i paniami z sąsiednich dworów. *Ciekawość do kobiet* nie wywietrzała mu z głowy wraz z młodością. Nie minęło też zainteresowanie kobiet jego osobą. Plotkarze (nie kronikarze) wymieniają nawet z imienia i nazwiska jedną z jego adoratek. Miała nią być Benedykta Zaleska, ziemianka, sąsiadka Kościuszki. Plotkarze nie ujawniają, czy Benedykta była panną, czy mężatką, sugerują natomiast, że jej afekty były przez pana generała odwzajemnione.

Sytuację materialną i życiową Kościuszki poprawił by jego powrót do wojska. Ale na to nie miał co liczyć. Józef Sosnowski został bowiem hetmanem polnym i — korzystając ze swoich prerogatyw — na pewno uniemożliwiłby Tadeuszowi Kościuszce powrót do szeregów polskiej armii. Mimo, że dawny amant jego córki na pewno i w najmniejszym nawet stopniu nie zagrażał stabilności jej małżeństwa, wojewoda Sosnowski nie wyzbył się swych uprzedzeń i niechęci do niedoszłego zięcia.

Król, niegdyś tak przychylny prymasowi Szkoły Rycerskiej, także patrzył na niego znacznie mniej łaskawym okiem. Nie w smak mu były bowiem liberalne, republikańskie poglądy Tadeusza, którymi — niczym groźną chorobą — „zaraził” się od zrewoltowanych Francuzów i Amerykanów.

I w tym momencie Ludwika ponownie pojawia się w życiu swego dawnego ukochanego i *bierze sprawę w swoje ręce*.

Czy była w tych staraniach całkiem bezinteresowna, czy też chciała odseparować Kościuszkę od owej pani Zaleskiej, pozostanie jej tajemnicą. W każdym razie zaczyna energicznie i od razu od najwyższej instancji, czyli króla. Księżna Ludwika Lubomirska monituje Stanisława Augusta listami i podczas osobistego z nim spotkania o przyjęcie Tadeusza Kościuszki do armii. Musiała być przekonująca, bo załatwiwszy pozytywnie sprawę wysłała do Tadeusza list, w którym zapewniwszy go: *zawsze będę Twoja*, gorąco namawia, aby Kościuszko udał się do Warszawy i rozpoczął starania o kontynuowanie kariery wojskowej. W liście nie ma rzecz jasna słowa o jej protekcji. Ludwice bardzo bowiem zależało, aby Tadeusz miał przeświadczenie, że to on i tylko on jest kowalem swego losu.

Kościuszko nie odwzajemnił się listownymi czułościami, ale z rady skorzystał. W okresie Sejmu Czteroletniego pojechał do Warszawy i spotkał się z księciem Józefem Poniatowskim oraz królem.

Niektórzy historycy twierdzą, że spotkał się także z Ludwiką. A nawet opisują wzruszające szczegóły tego spotkania. Inni zaprzeczają, by kiedykolwiek do takiego spotkania doszło.

Teoretycznie — mogło dojść.

Mąż Ludwiki był kasztelanem kijowskim, dowódcą 12 regimentu pieszego i członkiem-fundatorem Zgromadzenia Przyjaciół Konstytucji Rządowej 3 Maja. W dowód swego poparcia dla Trzeciomajowych reform — zwłaszcza wojskowych — ofiarował w darze dla Rzeczypospolitej *4 armaty sześciofuntowe*. Z każdego z wymienionych wyżej powodów mógł być (i najprawdopodobniej był) w okresie trwania obrad Sejmu w Warszawie. A żona najprawdopodobniej mu towarzyszyła. Obecność wielkich polskich dam w sejmie podczas ogłaszania Wielkiej Konstytucji została zarejestrowana we wszelki możliwy sposób, zarówno przez kronikarzy, jak i malarzy. Trudno sobie wyobrazić, by księżna Ludwika Lubomirska pominęła tę nie tylko historyczną, ale i towarzyską okazję do zaznaczenia swojego w niej uczestnictwa.

W „naprawionej” Trzeciomajową Konstytucją Polsce Kościuszko został mianowany generałem-majorem. W czasie częstych nieobecności swego przyjaciela, księcia Józefa Poniatowskiego, zastępował go pełniąc funkcję dowódcy dywizji.

Tragiczny rok 1792, kiedy stutysięczna armia rosyjska wkroczyła na nasze ziemie, aby „przywrócić (dawny) porządek”, był dla losów Kościuszki

przełomowy.

18 czerwca walczył u boku księcia Józefa Poniatowskiego w bitwie pod Zieleńcami. Bitwa nie miała wprawdzie szczególnego znaczenia militarnego, ale miała przeogromne znaczenie symboliczne. Dla uczczenia tego właśnie zwycięstwa ustanowione zostało najwyższe i najbardziej zaszczytne polskie odznaczenie wojskowe — Krzyż *Virtuti Militari*. Wśród pierwszych osób na liście odznaczonych znajduje się nazwisko Tadeusza Kościuszki.

Uskrzydłony tym sukcesem i nagrodą, odznaczył się męstwem i talentem strategicznym także w bitwach pod Włodzimierzem i Dubienką. Mówiono o nim: znakomity, bohaterski i uwielbiany dowódca. Teraz zapewne użyto by przymiotnika: charyzmatyczny.

Istotnie — Tadeusz Kościuszko stawał się postacią coraz bardziej znaną, coraz bardziej wybitną. Wiązano z nim coraz większe i większe nadzieje. Wyrastał na „zbawcę Ojczyzny”. Wieści o jego zwycięstwach, męstwie i sławie musiały docierać do pałacu kasztelana kijowskiego i jego żony, czyli Józefa i Ludwika Lubomirskich. Księżna zapewne doznawała sprzecznych uczuć. Z jednej strony na pewno cieszyła się, że była wielką miłością tego otoczonego powszechną czcią bohatera narodowego. Z drugiej zapewne żałowała, że nawet maleńka część jego wielkiej sławy nie opromienia jej osoby.

Jeśli ponownie odwołamy się do historii Maryli i Mickiewicza, to jego Muza mogła się puszyć, że była i pozostała do końca życia poety jego natchnieniem. Ludwika nie miała takiej satysfakcji. Kościuszko konsekwentnie unikał wszelkich z nią kontaktów i nigdy nikomu nie wspominał o swej dawnej kochance.

A przecież okazje do spotkań były. Kościuszko znał wiele, a z każdym rokiem coraz więcej osób ze społecznych szczytów, dla których przyjemnością i zaszczytem było gościć go w swoich wysokich i najwyższych progach. Cieszył się szczególnymi względami księstwa Andrzeja i Konstancji Zamoyskich. Od młodych lat przyjaźnił się z bratankiem króla, księciem „Pepi”. Znał dobrze Ignacego Potockiego, Hugona Kołłątaja, Stanisława Staszica. Bywał więc *na salonach* i to najlepszych z najlepszych. Czasem na tych, na których bywała Ludwika Lubomirska. Nigdy jednak nie bywali tam jednocześnie. A działo się tak raczej za sprawą Kościuszki niż Ludwika.

O ile bowiem ona twierdziła, że nikt nie wypełnił w jej sercu tego miejsca, które niegdyś zajmował Tadeusz Kościuszko, o tyle jego serce zdawało się całkowicie wypełnione.

W Międzyborzu, podczas jednego z postojów, na którym zatrzymał się wraz ze swym batalionem, poznał osiemnastoletnią Teklę Żurowską.

Panienska zakochała się w narodowym bohaterze od pierwszego wejrzenia i bez pamięci. On — już wówczas ponad czterdziestoletni — całkiem stracił głowę dla ładniutkiej i uwielbiającej go Tekluni. Sądząc po zachowanej korespondencji,

pani kasztelanowa kijowska bardzo nad tą sytuacją bolała. Najbardziej „obolała” była jej kobieca ambicja. Ludwika pragnęła bowiem zachować wszystko: i luksusowe życie, jakie zapewniał jej świetny mariaż z Józefem Lubomirskim, i wielkie, romantyczne uczucie swego „błędnego rycerza”.

Czy zastanawiała się czasem, co by było, gdyby to marzenie się spełniło? Co by się działo i stało, gdyby ów „błędny rycerz” zachował niewygasłą do niej miłość? Nie była (może należałoby dodać — już) kobietą, która dla miłości gotowa jest poświęcić wszystko i iść za swym lubym na kraj świata. Gdy się uważnie śledzi biografię Ludwiki można bez trudu zauważyć, że po zerwaniu z Kościuszką dominował w jej postępowaniu życiowy pragmatyzm. Owszem — zdobywała się na wzniosłe słowa i szlachetne uczynki wobec swego pierwszego kochanka, ale nigdy i w niczym nie zaryzykowała dłań utraty, czy choćby potencjalnego osłabienia swojej społecznej pozycji.

Jej mąż był człowiekiem ceniącym ponad wszystko spokój wewnętrzny i zewnętrzny. Wspominaliśmy, że miał duszę reformatora, popierał postęp i pozytywne dla kraju zmiany. Był też lojalnym poddanym. Tyle, że wobec każdej władzy. A więc najpierw króla Stanisława Augusta, ale potem carycy Katarzyny. A wreszcie — cara Pawła.

Kiedy wybuchła wojna, udał się na dyplomatyczny *zdrowotny urlop* i nie poprowadził swego 12 pieszego regimentu w żaden bój. Nigdy nie brał też udziału w żadnej politycznej awanturze. Ludwika najwyraźniej te właśnie cechy męża nie tylko ceniła, przyklaskiwała im, ale i sama je od niego przejęła.

Bezlitośni kronikarze zarejestrowali, że w roku 1787, kiedy caryca Katarzyna odbywała swoją słynną podróż po Dnieprze, Ludwika Lubomirska *za honor sobie poczytywała możliwość przyjęcia jej przez carową*. Ale choć przez cały dzień cierpliwie na ów *honor* wyczekiwała, caryca nie znalazła dla niej czasu na audiencję.

Kiedy Rzeczpospolita popadła w wielkie tarapaty, oboje księstwo wyraźnie zdystansowali się od spraw publicznych i skupili się na rodzinnych. Wynikało to nie tylko, a na pewno nie wyłącznie z cech ich charakteru, ale raczej ze szczególnej miłości i dbałości, jaką i Ludwika, i Józef otaczali swoje potomstwo.

A cała trójka istotnie warta była najczulszych uczuć i największych starań o zabezpieczenie im spokojnej, szczęśliwej i dostatniej przyszłości.

Najstarszy syn, Henryk, był chłopcem obdarzonym niepospolitą urodą, inteligencją i wdziękiem. Budził podziw nie tylko rodziców, krewnych i znajomych, ale także artystów. I to nie byle jakich. Portretowali go najwybitniejsi malarze i rzeźbiarze epoki. Antonio Canova wybrał go na modela jednej ze swych najsłynniejszych prac. Prześliczny aniołek (cherubin? Kupidyn?) z alabastru jest marmurową kopią żywego chłopczyka, kilkuletniego wówczas Henryczka Lubomirskiego. Jego portrety malowali — między innymi — Marie Vigee- Lebrun

i Richard Cosway.

Malutki Henryk był oczkiem w głowie swoich rodziców. Ale jego kuzynka, księżna Izabela z Czartoryskich Lubomirska, także uwielbiała malca i tak bardzo nalegała na Ludwikę i Józefa, aż zgodzili się oddać go jej na wychowanie.

Księżna Izabela miała własne dzieci, ale były to same córki. Ona zaś marzyła o synu, dziedzicu przeogromnych dóbr, jakimi dysponowała. Henryk zajął w jej sercu i w jej testamencie właśnie to puste miejsce. Zapewniła mu wszechstronne i najlepsze z możliwych wykształcenie, nieprawdopodobnie go rozpieszczała. I kochała ponad wszystko w świecie.

Gdy dorósł, otrzymał od niej dobra przeworskie ze słynnym pałacem Lubomirskich w Przeworsku, pałac w Wiedniu i bezcenną kolekcję dzieł sztuki, ogromną bibliotekę i część legendarnych skarbów łańcuckich.

Trzeba podkreślić, że wybrała właściwego człowieka na spadkobiercę tych wspaniałości. Henryk wyrósł na niezwykłych zalet człowieka.

Jego młodszemu rodzeństwu, pozostającemu nieco w cieniu swego niezwykle brata, los także nie poskąpił wszelkich możliwych darów. I Fryderyk, i Helena byli obdarzeni i wielką urodą, i licznymi przymiotami duszy i rozumu.

Ludwika ubóstwiała swoje dzieci. Chciała dla nich wszystkiego co najlepsze. Musiała zdawać sobie sprawę, że to Józef Lubomirski, zrównoważony realista jest gwarantem jej i ich pomyślności. Musiała też wiedzieć, że Tadeusz Kościuszko o wiele mniej — o ile w ogóle — nadawał się do roli opiekuna.

Po Targowicy zapewne jeszcze bardziej upewniła się w tym przeświadczeniu.

Dla niej targowicka zdrada i wszystkie jej następstwa nie miały większego znaczenia, ponieważ w niczym nie naruszały jej socjalnego statusu, ani nie wpływały na styl i jakość jej życia. W jej równieńskich dobrach nie nastąpiło żadne trzęsienie ziemi. Panował w nich ten sam, co przedtem, dostatek, odbywały się takie same przyjęcia, bale i festyny. Rozbrzmiewała muzyka, a amatorski teatr wystawiał wodewile i szekspirowskie dramaty. Piętnastoletni syn, Henryk, dojrzewał pod troskliwym okiem swej możnej księżęcej opiekunki i protektorki, a młodsze dzieci baraszkowały w pałacowych pokojach i ogrodach.

Dla Tadeusza Kościuszki Targowica była natomiast prawdziwym dramatem. Przeżywał ten dramat szczególnie ciężko. Dramat kraju nakładał się bowiem na dramat osobisty.

Romans z Teklunią Żurowską wydawał się mieć wszelkie szanse uwieńczenia happy-endem. Panienska nie pochodziła z tak zamożnej rodziny, jak Ludwika Sosnowska. Nie było więc zbyt wielkiej przepaści majątkowej pomiędzy nią, a Kościuszką. Ponadto Tadeusza opromieniał nimb wielkiej sławy i chwały. Nie można go już było traktować jak byle *wróbla*. A jednak ojciec Tekluni zlekceważył jego oświadczenia. Stanowczo odmówił ręki córki, choć —

jak się wydawało — nie było ku temu żadnego powodu.

Teklunia zalewała się łzami, ale ojcowska władza była silniejsza od panińskiego uczucia. A Tadeusz, ponownie upokorzony ponad wszelką miarę, także nie czynił żadnych starań o zmianę decyzji pana Żurowskiego. Co więcej — od tamtej pory już nigdy nie pokusił się o ułożenie swego osobistego życia. Raz na zawsze zrezygnował z ożenku, jakby wiedział, że nie jest już w stanie zaryzykować i znieść kolejnej rekuzy.

Kiedy król zgłosił swój akces do konfederacji, Kościuszko natychmiast podał się do dymisji. *Za samą szlachtę bił się nie będę* — oświadczył i po raz drugi wycofał się z życia publicznego, chroniąc się przed *zgiełkiem i publicznymi swarami* do swego skromnego dworku w Siechnowiczach.

Kłękę swoich osobistych i politycznych dążeń i nadziei odchorował w całkiem dosłownym tego słowa znaczeniu. Nie wiemy, jaka choroba przykuła go wówczas do łóżka. Być może odezwały się odniesione w czasie walk rany, niezbyt wprawdzie groźne, ale też i nigdy nie zaleczone do końca. Najprawdopodobniej jednak czterdziestosześcioletni Kościuszko, dokonawszy podsumowania swego życia, popadł w głęboką depresję.

Postanowił wyemigrować. Nic go w Polsce nie zatrzymywało. Teklunię, tak jak niegdyś Ludwikę, wydano za mąż. Nie miał majątku, o który warto by się troszczyć. Nie miał celu, do którego mógłby i chciałby dążyć.

Próbowano go na wszelkie sposoby odwieść od desperackiego zamiaru. Król Stanisław August osobiście zjawił się przy łożu chorego generała i gorąco namawiał do pozostania w kraju. Starał się uświadomić mu (a może i sobie?), że nie wszystko jeszcze stracone, że obecność legendarnego wodza, jakim był Tadeusz Kościuszko, doda sił i otuchy całemu narodowi. Księżna Izabela Czartoryska wymyśliła jeszcze bardziej chytry plan zatrzymania Tadeusza w Polsce. Zaprosiła go do swego pałacu w Sieniawie, gdzie z okazji jego imienin wydała wielkie przyjęcie. Zaproszeni goście mieli używać wszelkich sposobów i argumentów, aby zapobiec prawdziwej i „wewnętrznej” emigracji naszego bohatera. Sama księżna rzuciła na szalę najważniejszy atut. Postanowiła oferować Tadeuszowi Kościuszcze rękę własnej córki, Anny.

Podobno od tych niecodziennych oświadczeń powstrzymał księżnę Czartoryską jej spowiednik i przyjaciel, Stanisław Staszic. Nie wiadomo, czy uczynił tak z własnej inicjatywy, czy też poprosił go o to Tadeusz Kościuszko. Jemu samemu na pewno nie wypadało odmówić tak wspaniałego „daru”, jakim była najprawdziwsza i w dodatku całkiem urodziwa księżniczka. Dlaczego tego „daru” nie chciał przyjąć — nie wiadomo.

Nie wiemy, jaki był stosunek samego „daru” do Tadeusza. Czy księżniczka Anna miała zostać ofiarą na ołtarzu ojczyzny? A może pozostawała pod urokiem tego wyjątkowego człowieka i mężczyzny? W każdym razie plan wyswatania tych

dwojga się nie powiódł. Tadeusz Kościuszko wyjechał z kraju, a Anna wyszła za mąż za innego.

Pierwszym etapem podróży Tadeusza był Lipsk. Tam spotkał się z Hugo Kołłątajem i Ignacym Potockim, z którymi raz jeszcze omawiał sprawy nieszczęsnej ojczyzny. Julian Ursyn Niemcewicz wspomina o jeszcze jednym spotkaniu, dla losów kraju wprawdzie mało znaczącym, ale dla Kościuszki w owym czasie na pewno ważnym. Słynna elegantka i uwodzicielka, pani Limburg starała się na swój sposób osłodzić i umilić pobyt Tadeusza na obczyźnie. Ale Kościuszko nie całkiem, a w każdym razie nie na długo uległ jej wdziękom. Wkrótce wyjechał do Paryża. Nie ma żadnej wzmianki, by w tej podróży towarzyszyła mu jego — jak to dosadnie określał Niemcewicz — *nowa kochanica*.

W Paryżu przebywał krótko. Wieści o atmosferze wrzenia panującej w kraju, obwołanie go „wodzem przyszłego powstania”, skłoniły go do powrotu.

Bardzo pospiesznego. Wieczorem 23 marca 1994 roku pojawił się w Krakowie. Rankiem następnego dnia w kościele OO Kapucynów uczestniczył w Mszy Świętej, podczas której ślubował *gotowość oddania życia za ojczyznę*. W godzinę później na Rynku Krakowskim złożył przysięgę, której słowa przeszły do polskiej historii i których uczą się na pamięć wszystkie kolejne polskie pokolenia. *W obliczu Boga, całemu narodowi Polskiemu jako naczelnikowi powstania powierzonej władzy na niczyj prywatny użytek nie użyję, lecz jedynie dla obrony całości granic, odzyskania samowładztwa Narodu i ugruntowania powszechnej wolności używać będę*.

Co myślała i co czuła Ludwika z Sosnowskich, kiedy dotarły do niej te słowa? I wiadomość, że oto rozpoczyna się Wielka Insurekcja, którą potomni nazwą imieniem jej ukochanego? I że ten kiedyś jedyny, najmiłszy staje się Naczelnikiem Siły Zbrojnej Narodowej. Kimś najważniejszym w kraju i dla losów Polski. Podziw? Dumę, że serce tego człowieka należało kiedyś do niej? Żal, że już nie należy? Lęk, że ciężar, który Tadeusz bierze na swoje ramiona, może okazać się jego krzyżem?

Czy Tadeusz Kościuszko myślał w tamtych dniach o swojej pierwszej miłości? Wracał wspomnieniami do balu w Warszawie, podczas którego poznał i pokochał Ludwikę? Do sielskich dni spędzanych w jej towarzystwie w sosnowickim parku? Do lekcji rysunku, których jej udzielał? Czy pragnął dla niej i przed nią zabłysnąć swoimi walecznymi czynami? I swoją sławą?

Jeśli tak, to przez wiosnę i lato 1794 roku mógł i walecznością, i towarzyszącą jej sławą oczarować nie tylko wciąż go kochające, ale każde niewieście serce. Bohater spod Raławic, człowiek, który porwał do niepodległościowego zrywu *wszystkie stany*, stał się żywym symbolem najlepszych cech polskiego narodu. Nie można go było nie podziwiać, nie wielbić, nie kochać.

Ale w październiku karta się odwróciła. Dla Tadeusza Kościuszki — już na

zawsze.

Niesiony falą zwycięstwa szedł ku wyzwolonej Warszawie. 10 października pod Maciejowicami napotkał na wielokrotnie przeważające siły wroga. Przeważające nie tylko liczebnie. Rosjanie byli nieporównanie lepiej uzbrojeni. W dwieście lat później do legendy przeszła szarża polskiej kawalerii na niemieckie czołgi. Było to jakby dalekie, odbite echo Maciejowic, kiedy kosynierzy stawali przeciwko uzbrojonym po zęby Rosjanom armii Iwana Fersena. Pod Maciejowicami nie zdarzył się jednak żaden cud. Polacy zostali rozgromieni. Ci, którym udało się ująć z życiem, próbowali ucieczki. Najczęściej — bezowocnej. Tysiące zostało wymordowanych. Tysiące pojmanych i zabranych do niewoli. Tadeusz Kościuszko, świadom straszliwej klęski, pragnął jednego — uniknąć hańbiącej niewoli. Nie udało się. Rannego dopadł kornet Łysenko. Nie zważając, że jego ofiara leży na ziemi i krwawi obficie z ran, zadawał ciosy spisą. Tyle, że Kornet Łysenko nie wiedział, kogo masakruje. Dopiero w wiele godzin później, kiedy generał Fersten objeżdżał pole bitwy, wśród rannych Polaków rozpoznał ich dowódcę. Naczelnika polskiej Siły Zbrojnej Narodowej. Podobno Kościuszko próbował odebrać sobie życie strzałem z pistoletu. Podobno pistolet nie wypalił. W każdym razie Fersten ujął go wciąż jeszcze żywego. Życie kołatało się jeszcze w umęczonym ciele. Czy także w umęczonej duszy?

Opatrzywszy Tadeusza Kościuszkę w rosyjskim lazarecie, wysłano go czym prędzej do Petersburga. Jako najcenniejszy wojenny łup. Jako „dar” dla carycy Katarzyny.

Kiedy Ludwika Lubomirska dowiedziała się o losie swego ex-, a może wciąż jeszcze ukochanego, po raz pierwszy od lat zaryzykowała własne dobro przedkładając nad nie dobro Tadeusza Kościuszki. Wykorzystała wszystkie swoje rozległe i „wielmożne” znajomości, próbowała dotrzeć do samej carycy, aby wyjednać dla Tadeusza opiekę medyczną i godziwe warunki, w jakich miałyby odbywać czas niewoli.

Nie było jej łatwo. Był to bowiem okres, kiedy córka Ludwiki, Helena, wchodziła w świat. Od postępowania matki zależało, czy ów wielki i wspaniały świat, do którego obie — Ludwika i Helena — aspirowały otworzy, czy zamknie przed dziewczyną drzwi. Jedno słowo niezadowolenia carycy, jedno gniewne zmarszczenie jej brwi mogło zminimalizować szanse młodziutkiej księżniczki na towarzyskie powodzenie i sukcesy.

Józef Lubomirski zachował się po rycersku. W żaden sposób nie powstrzymywał żony przed próbami niesienia pomocy człowiekowi, który przez całe życie był jego konkurentem w jej sercu. Zezwolił, by ich syn pospieszył na przeciw konwoju wiozącego Naczelnika i dostarczył rannemu bieliznę, opatrunki, koce, wino i książki.

Energiczne i pełne poświęcenia starania księżnej Lubomirskiej nie dały

spodziewanego rezultatu. Kościuszko spędził w twierdzy Pietropawłowskiej aż dwa i pół roku. Bardzo źle znosił niewolę. Warunki panujące w więzieniu do reszty zrujnowały jego zdrowie i spowodowały nawrót depresji.

Caryca, nieustannie zarzucana błaganiami księżnej Lubomirskiej, a także swego dawnego kochanka, czyli ex-polskiego króla Stanisława Augusta, postanowiła *poluzować więzy*. Nie zwalniając Tadeusza Kościuszki z odbywania kary, złagodziła jednak w znacznym stopniu związane z nią dolegliwości.

W roku 1796 Katarzyna zmarła. Tron objął jej syn, Paweł. A to carskie *jabłko* padło daleko od *jabłoni*. Nowy car pragnął prowadzić całkiem odmienną politykę niż znienawidzona przezeń matka. Odrzucił *kij*, którym się tak chętnie podczas swoich rządów posługiwała i sięgnął po *marchewkę*. Młody car odwiedził Tadeusza Kościuszkę w więzieniu. Okazał wszelkie należne dawnej pozycji i dawnym zasługom polskiego Naczelnika względy. Obdarował komplementami i bogatymi prezentami. Obiecał uwolnienie z niewoli. Tyle, że nie za darmo. Ceną było podpisanie przez Tadeusza Kościuszki wiernopoddańczej deklaracji. Za podpis na owej *lojalce* car ofiarował ex-Naczelnikowi sto *dusz*, czyli rosyjskich chłopów. Tadeusz Kościuszko zaproponował wymianę chłopów na 60 tysięcy rubli. Car przystał na tę propozycję. Ale ex-Naczelnik postawił jeszcze jeden warunek. Zażądał uwolnienia 20 tysięcy polskich więźniów z rosyjskich kazamatów, w tym 14 tysięcy syberyjskich zesłańców. Car i na to się zgodził.

Na początku zimy 1796 roku sześćdziesięcioletni, schorowany i psychicznie załamany Tadeusz Kościuszko po raz drugi w życiu udał się za ocean. 19 grudnia, a więc niemal w przeddzień Wigilii, wylądował w Filadelfii. Święta — zapewne jedno z najsmutniejszych w jego życiu — spędził w towarzystwie Ursyna Niemcewicza.

Jego przyjaciele z okresu walk o niepodległość Ameryki — George Washington, John Adams oraz Thomas Jefferson, a także wódz indiański Mały Żółw — nie zapomnieli swego starego towarzysza broni, ani jego zasług. Przyjęli go gościnnie i serdecznie. Kościuszko mógł więc zdecydować się na spędzenie reszty życia w przyjaznym mu Nowym Świecie. W oddaleniu od spraw swego nieszczęsnego kraju, zajmując się hodowlą róż i przycinaniem drzew ozdobnych i owocowych.

Jeśli myślał o takiej starości, to bardzo krótko. Podreperowawszy zdrowie, nabrawszy sił i nikłej, ale jednak nadziei, że Polska *jeszcze nie zginęła*, postanowił wrócić do Europy. A dokładniej — do Francji, gdzie Napoleon snuł swoje wielkie wizję i kusił Polaków ofertą swej militarnej pomocy w ich niepodległościowych dążeniach.

Do ściągnięcia Tadeusza Kościuszki do Paryża namawiał Napoleona najchytrzejszy, najbardziej przebiegły, najbardziej cyniczny, ale i najzręczniejszy z francuskich dyplomatów — Charles Talleyrand. Sądził, że Napoleon powinien

wykorzystać ogromny i wciąż bardzo żywy w polskim narodzie autorytet polskiego ex-Naczelnika.

Napoleon już przy pierwszym spotkaniu okazał Kościuszcze wiele życzliwości i szacunku. Namawiał do tworzenia, czy choćby współtworzenia Legionów. Ale Kościuszko nie chwycił przynęty. Był doskonałym inżynierem, niezłym strategiem i charyzmatycznym dowódcą. Nie był jednak dobrym politykiem. Tym razem jednak intuicja go nie zawiodła. Nie dał się oczarować gładkim słowom i mglistym obietnicom Napoleona. Talleyrand zaś zdecydowanie mu się nie podobał. Nie wierzył też, że wspieranie Francji okaże się zbawienne dla losów Polski. Wycofał się więc z wszelkich pertraktacji.

W tej sytuacji ster władzy i *rząd dusz* przejął niejako z konieczności Henryk Dąbrowski. A Tadeusz Kościuszko, *umywając ręce* od aliansu z Francuzami, zajął się pisaniem książek, w których przekazywał swoje wojskowe i życiowe doświadczenia. Wydał słynną broszurę „Czy Polacy mogą wybić się na niepodległość” oraz książkę o „Obrotach artylerii konnej”. Z daleka, ale dość czynnie uczestniczył w zakładaniu w kraju Towarzystwa Republikanów Polskich.

Przez kilka lat mieszkał pod Paryżem, korzystając z gościny swego wieloletniego i serdecznego przyjaciela, Piotra Zeltnera, szwajcarskiego dyplomaty. W domu Zeltnerów znalazł spokój i życzliwość. Po raz pierwszy w życiu miał prawdziwy, choć wciąż nie własny, dom.

Choć mógł mieć inny. O wiele wspanialszy, wygodniejszy, bogatszy. Gdzie byłby otoczony jeszcze większą troską i serdecznością. Ludwika Lubomirska, po odchowaniu trójki dzieci i szczęśliwym ich „wywianowaniu”, pragnęła z całej duszy zaopiekować się Tadeuszem. Jego pobyt w jej pałacu uważałaby za ogromny dla siebie splendor. Jej mąż nie miał nic przeciwko temu szczególnemu gościowi. W ich — Ludwiki, Tadeusza i Józefa — mocno już podeszłym wieku nie mogło już być mowy o zazdrości. Zresztą, jeśli ktoś o kogoś miał i mógł być zazdrosny, to nie on o Kościuszkę lecz Kościuszko o Lubomirskiego.

Fakt, że Tadeusz wybrał Zeltnerów, a wzgardził — bez jednego dobrego i wdzięcznego słowa — progami Ludwiki, był dla niej bardzo bolesnym ciosem. Bo choć minęło tak wiele lat, ona wciąż jeszcze pamiętała o swojej dawnej miłości. I choć nie była to już młodzieńcza namiętność, wielki poryw serca, pozostał wciąż jeszcze niewygasły sentyment, czułość, pragnienie przywołania najmilszych chwil z dziewczęcych czasów. A nade wszystko chęć zrekompensowania Tadeuszowi niedochowania mu wiary, zbyt łatwego wyrzeczenia się go na rzecz odzyskania swobody i — last but not least — życia w luksusie.

Tymczasem właśnie ten utrzymujący się i pogłębiający wraz z upływem czasu, coraz bardziej zapiekły żal Kościuszki powinien uświadomić Ludwice, że nie jest mu całkiem obojętna. Że mimo upływu dziesięcioleci Tadeusz nie umie i nie chce zamienić dawnej burzliwej namiętności na tylko i jedynie przyjaźń.

Kościuszko pozostał więc z Zeltnerami. Najpierw mieszkał z nimi i u nich w Breville pod Paryżem. Potem wszyscy przenieśli się do Szwajcarii, do prześlicznie położonego miasteczka Solury (Solothurn).

Podczas, kiedy Kościuszko spisywał swoje memuary i spekulacje o możliwościach ponownej *naprawy Rzeczypospolitej*, syn jego dawnej kochanki próbował *naprawiać* ją w jednej z najważniejszych dziedzin życia — kulturze. Henryk Lubomirski, odziedziczywszy wspaniałe pałace i jeszcze wspanialsze zbiory swej protektorki, wyrósł na prawdziwego znawcę, miłośnika i mecenasa sztuki. Jego Przeworsk stał się centrum życia towarzyskiego i kulturalnego. Sam pałac, częściowo przekształcony na muzeum, wyposażony został w bezcenną kolekcję obrazów, starodruków, numizmatów, broni i medali.

Ponieważ Henryk dość długo nie mógł doczekać się syna, a po narodzinach trzech córek zaczął tracić nadzieję na męskiego potomka, postanowił wraz z Józefem Maksymilianem Ossolińskim stworzyć fundację. Przeszła ona do historii jako Zakład Narodowy Ossolińskich oraz Biblioteka i Muzeum książąt Lubomirskich. W razie wygaśnięcia dynastii *na Przeworsku* wszystkie te skarby i cały majątek Henryka miały przejść na rzecz Ossolineum. Był to nadzwyczaj piękny i szlachetny gest, świadczący o niepospolitych walorach serca i umysłu syna Ludwika, a także jego wielkim patriotyzmie. Być może opowieści o Kościuszcze, duch Kościuszki, który towarzyszył jego dzieciństwu i dorastaniu sprawiły, że młody człowiek ofiarował Ojczyźnie dar najcenniejszy — nie tak, jak Kościuszko ofiarę krwi, ale wspaniałą dar serca.

Młodszy syn księżnej Lubomirskiej, był wprawdzie mniej błyskotliwy i o wiele mniej znany od brata, ale tak jak on był człowiekiem inteligentnym i pod każdym względem wartościowym. Jako dziedzic ojcowizny, czyli dóbr rówieńskich, zajął się gorliwie *pracą u podstaw*, utrzymując je w kwitującym stanie i wciąż rozbudowując pałac oraz unowocześniając sposoby gospodarowania. Cieszył się na Wołyniu powszechnym mirem, czego dowodem było mianowanie go wicegubernatorem tych ziem i przyjęcie w poczet Kawalerów Maltańskich.

Ludwika miała więc wszelkie powody, by szczyć się swymi synami. A Tadeusz Kościuszko mógł jedynie boleć, że nie są to jego dzieci. I że w ogóle nie ma dzieci. Bo mimo wielu oficjalnych i nieoficjalnych, dłuższych lub krótszych związków z kobietami nic nie wskazuje, by któraś z kochanek dała mu potomka.

Czy bardzo bolał z tego powodu? Czy bał się samotnej starości?

Już pod sam koniec życia Kościuszko podjął się działania pro publico bono, w czym — jak się wydaje — upatrywał jedyny sens i cel swego istnienia.

Jak wspominaliśmy nie lubił i nie miał ani trochę zaufania do Napoleona. Aż dziw, że to jego zaufanie zdołał zdobyć nowy car Rosji, Aleksander Romanow. Wystarczył jeden miły list do Kościuszki, aby ten stary, bardzo już zniedołężniały

człowiek zdecydował się na wyjazd do Wiednia w celu spotkanie z Aleksandrem i rozmowy o dalszych losach Polski. W 1814 roku Tadeusz Kościuszko pisał do cara: *Najjaśniejszy Panie, Jeśli z mojego cichego zakątka ośmielam się zanieść prośbę do wielkiego monarchy, wielkiego wodza, a przede wszystkim opiekuna ludzkości, to dlatego, że znane mi są dobrze jego szlachetność i wspaniałomyślność. Upraszam Cię o trzy łaski: pierwszą jest, abyś udzielił amnestię ogólną dla Polaków bez wszelkich zastrzeżeń, a włościanie rozproszeni w krajach obcych, aby byli uważani za wolnych, gdy wrócą pod strzechy swoje. Druga — abyś Wasza Cesarska Mość ogłosił się królem Polski, z konstytucją wolną, zbliżoną do angielskiej i abyś kazał urządzić szkoły dla nauczania włościan, aby niewola ich zniesiona była w ciągu lat dziesięciu i aby używali oni imienia swego z prawem zupełnej własności.*

To pismo, czytane po przeszło dwustu latach, budzi bardzo mieszane uczucia. Kościuszko przez całe życie był marzycielem i idealistą. Tragiczne koleje jego losu i bogate doświadczenia nigdy i nawet odrobinę nie ściągnęły go z chmur na ziemię. Nawet jako zgorzkniały, złamany, upokorzony stary człowiek wciąż jeszcze chciał i potrafił ufać ludziom — nawet tak niewartym zaufania jak Aleksander.

Zanim Kościuszko dotarł do Wiednia doszły do niego wieści z odbywającego się tam Kongresu. I wieści o tym, jak po raz nie wiadomo już który *kupczono* Polską. Zrozumiał, że nie ma co *padać do cesarskich nóg* w podziękowaniu za spełnienie swoich prośb. Zrozumiał, jak bardzo — i raz jeszcze — przeliczył się w swoich nadziejach. Zrozumiał, że nie zobaczy już nigdy Polski swoich dążeń i marzeń. Zawrócił z drogi, aby ponownie schronić się w swoim *cichym zakątku*.

W dwa lata później, 17 października 1817 roku zmarł w domu Franciszka Zeltnera i w obecności jego i jego żony, ludzi, którzy przez ostatnie kilkanaście lat zastępowali mu rodzinę.

W tym samym roku Ludwika z Sosnowskich Lubomirska pochowała swego męża.

Przeżyła obu — Tadeusza i Józefa o (aż!) 19 lat.

W okresie swej późnej starości, na wpół ślepa, dziecienniała, zachowała jednak wspomnienie swej pierwszej i — jak się okazało — rzeczywiście największej miłości. Kazała sobie codziennie i po wiele razy grać „Poloneza Kościuszki” i za każdym razem płakała ze wzruszenia. W każdym prezentowanym jej młodemu człowieku widziała — raczej oczyma duszy niż ciała — swego ukochanego. *Czy to Tadeusz przyjechał?* — pytała i zamartwiała się, że to nie on. Przeżyła Powstanie Listopadowe i jego klęskę. Nie dowiedziała się, że jej wnuczek, syn Henryka Lubomirskiego, zostanie uwieczniony na kartach jednego z najwspanialszych dramatów polskich „Nieboskiej komedii” Zygmunta

Kraśińskiego jako Orcio. Pochowano ją — zgodnie zresztą z jej wolą — w grobie Lubomirskich. Jej trumna spoczywa przy trumnie męża.

Nigdy nie była na Wawelu dokąd sprowadzono zwłoki Tadeusza Kościuszki. Ba — nie wierzyła nawet w jego śmierć. Do końca życia wierzyła, w spotkanie. Być może nastąpiło. Choć już nie na tej ziemi.

PIOSENKA BUCZĄCEGO TRZMIELA

czyli

Maria Teresa Tyszkiewiczowa i Karol de Talleyrand

Varsavianistka Danuta Szmit-Zawierucha, parafrazując Zofię Nałkowską, nazywała takie miejsca *pustymi przestrzeniami powietrza*. Jedno z takich *pustych miejsc* znajduje się na ulicy Miodowej, nad przebiegającą pod nią trasą WZ. Niewielu jest Warszawiaków, którzy potrafią przypomnieć sobie, co kiedyś wypełniało to *puste miejsce*. Był nim przepiękny pałac Teppera. Gdyby jakimś cudem udało się na chwilę uciszyć szum pojazdów przejeżdżających ulicą Miodową i Trasą WZ, być może usłyszelibyśmy cichutkie tony straussowskich walców i szelest jedwabnych wachlarzy. Była to bowiem rezydencja słynąca z najwykwintniejszych przyjęć, rautów i balów.

Szczególnie często bawiono się w tepperowskim pałacu w roku 1807, kiedy był tymczasową siedzibą Karola księcia de Talleyrand-Perigord, Wielkiego Szambelana Jego Cesarskiej Mości Napoleona. Talleyrand wydawał wówczas wielkie bale i fety, aby rozerwać i wprowadzić w dobry humor „Małego Kaprała”.

Podczas jednego z takich przyjęć udało mu się podsunąć Napoleonowi panią Marię Walewską, co rzeczywiście znakomicie podniosło nastrój cesarza, a on swoim dobrym nastrojem podnosił morale swojej armii. Wprawdzie tylko do czasu, ale jednak.

Ale nie tylko cesarz Napoleon, ale i sam gospodarz pałacu, Karol de Talleyrand stracił serce na ulicy Miodowej. Choć przedtem wątpiono, czy on w ogóle ma serce. A jeśli już, to — jak mniemano — kamienne. Ale znalazła się jednak kobieta, która nawet i to kamienne serce największego cynika, malwersanta i politycznego szalbierza ówczesnych czasów zdołała zmiękczyć.

Pod koniec swego życia Talleyrand wyraził życzenie: *Chcę, żeby przez stulecia zastanawiano się, jaki byłem, co myślałem, czego pragnąłem*. I to życzenie się spełniło. Przez następne *stulecia* nie tylko historycy i biografowie, ale także pisarze, dramaturdzy i filmowcy nieustannie zastanawiali się nad postacią Talleyranda i analizowali jego słowa i czyny. Między wielu innymi zafascynowani tą postacią byli Victor Hugo, Stendhal i Balzac. A w Polsce Waldemar Łysiak.

Karol Talleyrand urodził się z kalectwem, które dziś daje się korygować, ale w połowie XVIII wieku uchodziło za diabelskie piętno. Noworodek miał stopę szpotawo-końską, przypominającą kopyto. Tyle, że wówczas upatrywano w tym kopycie podobieństwa nie do konia, ale diabła właśnie. Rodzina ukryła więc chłopca przed ludzkimi oczyma, oddając go na wychowanie opiekunom mieszkającym dość daleko od rodowej siedziby Talleyrandów. Przez cztery lata rodzice wprawdzie łożyli na utrzymanie syna, ale w ogóle nie interesowali się jego

losem. Podejrzewali, a może nawet byli przeświadczeni, że fizyczne upośledzenie chłopca wiąże się z jego upośledzeniem umysłowym. Kiedy jednak okazało się, że dzieciak nie jest głupkiem, ale przeciwnie — wykazuje ponadprzeciętną inteligencję i zdolności — postanowili przeznaczyć go do stanu duchownego. Czyli jego kalectwo i chromanie ukryć pod sutanną.

W roku 1796 piętnastoletni Karol Talleyrand wstąpił do seminarium, gdzie wprowadzie *czuł się pogrzebany żywcem*, ale zdobył solidne wykształcenie i rozpoczął drogę do kariery. Na razie kościelnej. W dziesięć lat później został bowiem biskupem Autun.

Jako biskup został przedstawicielem Stanu Pierwszego (duchowieństwa) w Stanach Generalnych. I natychmiast dopuścił się pierwszej poważnej zdrady, swojego Stanu właśnie. Opowiedział się bowiem po stronie rewolucji i zainicjował sekularyzację kościelnych dóbr. Nie przeszkodziło mu to w odprawieniu mszy w I rocznicę zdobycia Bastylii i wyświęcaniu lojalnych wobec nowej władzy biskupów.

Przeczuwając, że rewolucja *zjadając własne dzieci* może zjeść i jego (przecucie jak najbardziej trafne), zdołał w czas umknąć do Anglii, a potem do Ameryki. Dzięki temu jego głowa pozostała na karku.

A nie byle to była głowa. Ceniono ją w całej Europie. Talleyrand uchodził za dyplomatycznego geniusza. Żaden z francuskich, szybko zmieniających się władców, nie potrafił się obejść bez jego doradztwa i usług.

Mimo swego kalectwa, fatalnej reputacji i powszechnej niechęci Karol Talleyrand cieszył się zawsze wielkim powodzeniem u pań. Napoleon nazywał go *lajnem w jedwabnych pończochach*, ale panie jakoś nie podzielały tej opinii. Miał mnóstwo kochanek, choć traktował je instrumentalnie i cynicznie. Interesowało go raczej samo polowanie na kobietę, aniżeli „zdobycz”.

Wyjątkiem była żona jego bratanka, młodziutka Dorota de Talleyrand, z którą romansował przez kilka lat. Inne panie znacznie krócej zajmowały miejsce w jego sypialni.

Ale jakie to były panie! Wśród nich hrabiny i księżne, ale i dziewczyny pośledniejszego stanu i pochodzenia. W Filadelfii na przykład afiszował się z Murzynką. Lubił też *kobiety wyzwolone*. Znana pisarka Germaine de Staël konkurowała o miejsce w jego alkowie z koleżanką po piórze Adelaide de Flahaut.

Napoleon, rozsierdzony jego niemoralnym stylem życia, postawił mu ultimatum: albo Talleyrand się ożeni, albo powróci do stanu duchownego, ergo — celibatu. Talleyrand uznał małżeństwo za *mniej zło*. W roku 1802 ożenił się z Katarzyną Grand, kobietą równie piękną, jak głupią. Do historii przeszła anegdota, jak to Talleyrand, knując jedną ze swoich politycznych intryg, nie dostrzegał obecności żony w pokoju, w którym prowadził poufną rozmowę z innym politykiem. Rozmówca zwrócił mu na to uwagę. Talleyrand miał wówczas

odrzec: *Och, przy niej może pan powiedzieć wszystko. Jest tak głupia, że nic nie rozumie.*

O ile był kochankiem niestałym i niewiernym, o tyle ojcem był niemal idealnym. Czułym, hojnym i troskliwym. Miał czworo dzieci. Wszystkie z niezalegalizowanych związków. Jego synem był sławny malarz, Eugene Delacroix. Oficjalnie Talleyrand był jedynie jego ojcem chrzestnym, ale ogromne podobieństwo fizyczne i wiele cech charakteru twórcy „Wolności idącej na barykady”, przemawiało za ojcostwem biologicznym Karola Talleyranda.

Kiedy w 1806 roku przyjechał do Warszawy miał 52 lata. Wiek wówczas niemal podeszły. W polskiej stolicy natychmiast otoczył go wianuszek *polских kwiatków*, pań świetnie urodzonych, majątnych i urodziwych. Z tego *wianuszka* nie wybrał jednak ani najpiękniejszego, ani najświeższego *kwiatka*. Jego uwagę zwróciła niewiasta czterdziestosześcioletnia, a więc — wedle ówczesnych *mierników* — mocno już *zwiędłej urody* i na dodatek oszpecona nie tylko zmarszczkami, ale i szklanym okiem.

Była to bratanica ostatniego polskiego króla, Stanisława Augusta, rodzona i najukochańsza siostra księcia Pepi, Maria Teresa z Poniatowskich Tyszkiewiczowa.

Niektórzy biografowie tej pary uważają, że Karol i Maria Teresa mogli znać się już wcześniej. Na przykład z paryskich salonów. Ale do zażyłości i dozgonnej przyjaźni doszło jednak w Warszawie. Najprawdopodobniej w Pałacu Pod Blachą, czyli oficjalnej rezydencji księcia Józefa Poniatowskiego.

W tej wydzielonej części królewskiego Zamku, zwanego Pałacem Pod Blachą, rolę pierwszej damy pełniła nieoficjalnie kochanka nieżonatego księcia Józefa, pani de Vauban. Oficjalnie zaś jego siostra Maria Teresa Tyszkiewiczowa. Ją też powszechnie uważano za przysłowiową „szyję”, która obracała głowę brata i podsuwała mu polityczne inicjatywy, cele i pomysły. Być może niektóre z nich podsuwał jej sam Karol Talleyrand.

Urodziła się w magnackiej rodzinie, była królewską bratanicą, chrześniaczką austriackiej cesarzowej Marii Teresy (stąd jej imiona), wychowywała w przysłowiowym *puchu*. Ale nie można jednak o niej powiedzieć — wybranka losu. A jeśli, to tylko przez kilka pierwszych lat życia. To *wybraństwo losu* odebrała jej banalna dziecięca choroba, ospa wietrzna. Jeden z typowych dla tej choroby wyprysków pojawił się na oku Teresy i spowodował zakażenie gałki ocznej. A ponieważ nie było wtedy antybiotyków, nie dało się zapobiec jego skutkom. Były tragiczne. Dziewczynce trzeba było „wyłuskać” oko. Oczywiście sama trauma operacji — przeprowadzonej bez narkozy! — mogła spowodować zmiany w psychice dziewczynki. Ale kalectwo było nie mniej bolesne od zabiegu. Wprawdzie wstawiono do oczodołu sztuczne oko, ale była to bardzo prymitywna proteza. Nawet opaska osłaniająca utracone oko była mniej od tej protezy szpecąca.

Maria Teresa wcześniej straciła też ojca. Osieroconymi bratankami zaopiekował się król Stanisław August. I to na jego dworze dorastał zarówno Józef „Pepi” Poniatowski, jak i jego siostra Maria Teresa.

Teresa Poniatowska odznaczała się wielką życiową dzielnością i niezwykłą osobowością. Kalectwo nie zaciążyło na jej życiu, ani nawet nie ujęło jej ujmującej kobiecości. Była najpierw dziewczyną, a potem kobietą pełną wdzięku, błyskotliwą i inteligentną. Potrafiła brylować w czasie wytwornych przyjęć i to ona tworzyła czarującą atmosferę słynnego Pałacu Pod Blachą. Miała też duże powodzenie u mężczyzn, co jednak nie przełożyło się na jej małżeńskie szczęście.

Kiedy miała osiemnaście lat nie tyle wydała się, co wydano ją za mąż za Wincentego Tyszkiewicza. Małżeństwo, choć nie było zawierane z miłości, mogło — jak tysiące innych — mimo to okazać się trwałe i choćby pozornie udane. Ale się nie okazało.

Wiek XVII i XVIII nie należały do cnotliwych. Zwłaszcza na arystokratycznych dworach pozwalano sobie na wiele. Dopuszczalne były nawet (przynajmniej niektóre) perwersje. Ale seksualne cudactwa Wincentego Tyszkiewicza wykraczały nawet poza te, szerokie przecież, granice. Mąż Teresy — mówiąc najogólniej i najogładniej — miał zaburzoną orientację seksualną. Uwielbiał przebieranki, chodził po domu w damskich ciuszkach, a w alkowie pojawiał się w koronkowych czepeczkach i koszulkach swej żony. Nie kwapił się też do wypełniania alkowianych obowiązków. Ponieważ nie było mowy o żadnych, nieznanym wówczas, psychoterapiach, możliwe było jedno tylko rozwiązanie — rozwód lub unieważnienie związku.

Teresa opuściła swego męża-nie-męża i zamieszkała w pałacu Pod Blachą, gdzie — jak wspomnieliśmy — pełniła honory pani domu w domu swego brata, Józefa, zwanego pieszczotliwie „księciem Pepi”.

Miała podobno wielu kochanków, ale tak naprawdę zależało jej na zdobyciu jednego. Niezdobytego przez żadną kobietę — Karola de Talleyrand.

W czasie pobytu Wielkiego Szambelana w Pałacu Teppera, Maria-Teresa bywała nader częstym gościem na ulicy Miodowej. Historyk epoki, Andrzej Koźmian, wspomina z przekąsem, że stała się *najfanatyczniejszą spośród wielbicielek tego nieczulego bożyszczka*. Talleyrand był natomiast, też zdaniem Koźmiana, na jej względy *gluchy i ślepy*. Przynajmniej na początku.

Bo potem najwyraźniej zaczął panią Teresę Tyszkiewiczową i zauważać, i słyszeć. A nawet — słuchać. Z coraz większym i większym zainteresowaniem.

Gdyby było inaczej, nie zapraszał by jej do swojej rezydencji. A — jak wspominają kroniki — Teresa bywała tam najpierw częstym, a potem codziennym gościem.

Talleyrand lubił otaczać się kobietami, miał swój *seraj*, złożony

z młodziutkich i ładniutkich zarówno dam, jak i niewiast z *ludu*. Tyle, że gardził nimi wszystkimi. Uważał je za puste, a nade wszystko — głupie. I dopiero Maria Teresa Tyszkiewiczowa obaliła jego przeświadczenie o nieudacności kobiet. Nigdy nie stała się jego zabawką. Wprost przeciwnie — stała się jego jedynym powiernikiem i przyjacielem. Czasem nawet wykorzystywał jej inteligencję i znajomości w swoich politycznych intrygach. Więcej — była pierwszą istotą w jego życiu, którą obdarzył pełnym zaufaniem. Której nie wahał się powierzać swoich sekretów. Wobec której bywał czuły. Której ofiarował i miłość, i przyjaźń.

Kiedy opuszczał Warszawę nie zabrał ze sobą żadnego z jej rozkosznych damskich *kwiatków*, ale podstarzałą i nieurodziwą Marię Teresę. Z nią podróżował po Europie, pełniąc swoje dyplomatyczne misje. Z nią wyjeżdżał każdego roku *do wód*, gdzie kurował swoje coraz liczniejsze dolegliwości. Lubił ją mieć stale blisko siebie. W Paryżu kupił jej piękne mieszkanie w sąsiedztwie swojego domu. A ich niezwykły związek przetrwał niemal trzydzieści lat.

Talleyrand nie był wprawdzie wierny Teresie pod względem fizycznym. Miewał przelotne kochanki, które ona tolerowała. Za to był jej wierny pod względem duchowym. W roli przyjaciela Teresa nigdy nie miała konkurencji.

Kiedy była już stara i schorowana Talleyrand ofiarował jej przepiękny apartament w swoim rodzinnym zamku Valencay. A kiedy umierała napisał niewątpliwie najpiękniejszy list swojego życia, w którym pokazał światu oblicze, jakiego świat ani nie znał, ani którego się nie domyślał: *Cierpiętnicza droga księżnej Tyszkiewicz jest już bliska kresu. Dwadzieścia siedem lat niezmiernego poświęcenia czyni dla mnie jej śmierć niewypowiedzianie bolesną. Wiem już od pewnego czasu, że zbliża się koniec, lecz moment rozstania jest zawsze potworny. Uczucie nie jest nigdy przygotowane na tę ostatnią godzinę. Męczy mnie potrzeba wyrażenia tego, co czuję wobec osoby, która kocham od ponad dwudziestu lat. Największy cynik i szalbierz Europy wyznał publicznie, że tracąc ją traci część samego siebie.*

Na jej pogrzebie płakał. Zapewne po raz pierwszy i jedyny w życiu.

Stojąc w *pustej przestrzeni powietrza*, w sąsiedztwie Kościoła Kapucynów na Miodowej i spoglądając z góry na Trasę WZ, warto zadumać się choćby przez chwilę nad największą z tajemnic — tajemnicą ludzkiego serca. Wydawałoby się, że u Talleyranda było ono jedynie mięśniem, który w sprawny i rytmiczny sposób przepompowywał krew. Że nigdy nie ulegało emocjom. A jednak okazało się, że — cytując Antoniego Gołubiewa — *nawet serce zbója jest sercem ludzkim i może usłyszeć piosnkę buczonego trzmiela*. Serce Karola M. księcia de Talleyranda przestało być kamienne za sprawą niemłodej i kalekiej warszawianki, księżnej Marii Teresy Tyszkiewiczowej. A zabiło mocniej i po ludzku właśnie na warszawskim *bruku* ulicy Miodowej, w pięknych salonach pięknego warszawskiego pałacu.

PRABABCIA EUROPEJSKICH KRÓLÓW

czyli

Julia Hauke i Aleksander Battenberg

Żona Kazimierza Jagiellończyka, Elżbieta Rakuszancka zwykła mawiać o sobie, że jest *wnuczką cesarza, córką, siostrą i żoną królów*. Do historii przeszła jednak nie jako wnuczka, córka, siostra czy żona, ale jako *matka królów*. Z sześciu synów, których wydała na świat, aż czterech nosiło bowiem królewskie korony. Władysław był królem Czech, a Jan Olbracht, Aleksander i Zygmunt kolejno panowali w Polsce.

Elżbietę była tak niesłychanie dumna zarówno ze swego pochodzenia, jak i koronowanych głów swoich synów, że miała w głębokiej pogardzie wszystkich niżej od siebie i od swych dzieci urodzonych. Wychowawca królewiczów i dworski kronikarz Jan Długosz wspomina w z nieukrywaną dezaprobatą, że królowa najwyraźniej zapomniała, iż *nie inaczej niż wszyscy ludzie, monarchowie także powstałi z błota*.

Gdyby ta pełna pychy królowa mogła przewidzieć przyszłość, zapewne okazałaby więcej pokory. Bo choć jej krew wciąż jeszcze płynie w żyłach niemal wszystkich przedstawicieli arystokratycznych i królewskich rodów europejskich, to jednak w XIX wieku została pomieszana z całkiem nie błękitną krwią polskiej generalówny, Julii Hauke. I to ona została prababcią większości królów Europy.

Do tej właśnie prababci przyznają się i królowa Anglii, Elżbieta II, i jej mąż — książę Filip, a także monarchowie Hiszpanii i Szwecji. Do bliższego lub nieco dalszego, ale jednak pokrewieństwa — dwory panujące obecnie lub niegdyś w Grecji i Bułgarii. Te wszystkie koronowane głowy wcale nie próbują ukrywać, że jedne z ich bujnie rozgałęzionych korzeni sięgają Warszawy, a dokładnie — ulicy Miodowej, gdzie 12 listopada 1825 roku Julia Hauke przysła na świat.

Julia była córką ludzi wprawdzie bardzo zamożnych i zajmujących wysoką pozycję społeczną, ale pozbawionych jakichkolwiek nie tylko arystokratycznych, ale nawet najmniejszych szlacheckich tytułów i koneksji. Miała rok, kiedy jej ojciec, Maurycy Hauke, generał artylerii i generalny kwatermistrz armii Królestwa Polskiego został uhonorowany przez cara Mikołaja indygenatem z herbem Bosak. Jako czterolatka była już nie tylko szlachcianką, ale nawet hrabianką. Maurycy Hauke-Bosak został bowiem nagrodzony tym tytułem *za wierność i gorliwość* wobec cara, a przede wszystkim — Wielkiego Księcia Konstantego.

Za tę właśnie wierność — uważaną przez rodaków za narodową zdradę — został zastrzelony w wieczór listopadowy, w pierwszych godzinach Powstania.

Julia miała wówczas pięć lat. W rok później była już całkowitą sierotą. Jej matka nie przeżyła niemal jednoczesnej utraty i męża i syna. Męża zastrzelili

powstańcy. Syn zginął broniąc powstańczej placówki.

Car zaopiekował sierotką po swoim generale. Sześćioletnia Julia opuściła Warszawę i Polskę, aby już nigdy nie zobaczyć kraju, miejsca swego urodzenia i najwcześniejszego dzieciństwa.

Julia wyjechała więc z Polski jako małe dziecko. Jej ojciec jako małe dziecko do Polski przybył.

Dziadek Julii, Fryderyk Hauke, przyjechał do Warszawy z Drezna w latach osiemdziesiątych XVIII wieku, na zaproszenie ówczesnego warszawskiego starosty, hrabiego Alojzego Brühla. Alojzy Brühl zaproponował mu zaszczytne i intratne stanowiska: osobistego sekretarza i wykładowcy tworzonej właśnie w stolicy Szkoły Artylerii. Wybór kandydata nie był przypadkowy. Fryderyk Hauke podczas studiów w Dreźnie serdecznie zaprzyjaźnił się z synem hrabiego i dał się poznać jako młodzieniec inteligentny, rzutki, pracowity i rzetelny. Alojzy Brühl wypróbował zdolności i kompetencje młodego człowieka powierzając mu administrację własnych majątków. Fryderyk wywiązał się z tego zadania znakomicie. Stąd zaproszenie do Warszawy i zawodowy oraz społeczny awans.

Fryderyk Hauke przyjechał do Warszawy w 1782 roku. Nie znał wówczas ani jednego polskiego słowa. Wydawało się też, że człowiek uosabiający wszystkie typowo niemieckie cechy charakteru nie będzie się czuł dobrze w kraju, którego mieszkańcy na ogół wykazują się ich przeciwieństwem. Tymczasem Fryderyk był niemal od pierwszej chwili zafascynowany i oczarowany Warszawą. Nazywał ją (jak wielu innych cudzoziemców) *drugim Paryżem* i kto wie, czy nie uważał nawet za jego lepszą wersję. W każdym razie podjął decyzję o pozostaniu w Polsce na stałe.

Po roku, gdy już się jako tako w nowym miejscu „urządził”, sprowadził do Warszawy żonę z pięciorgiem dzieci. Jego najstarsza córka miała wówczas lat dziewięć, a najstarszy syn — Maurycy — siedem.

Maurycy urodził się pod Dreznem. Ale świadomie i konsekwentnie jako miejsce swego urodzenia zawsze podawał Warszawę. Czy chciał w ten sposób podkreślić swój związek z krajem, który uważał za swoją jedyną ojczyznę?

Kiedy miał lat piętnaście wstąpił do szkoły artylerii. Tam — jak piszą jego biografowie — *całkowicie zbratał się z młodzieżą polską, zarażając się jej patriotycznymi i niepodległościowymi dążeniami*. Utożsamiał się tak bardzo z tymi dążeniami, że wziął czynny udział najpierw w wojnie z Rosją w 1792 roku, a potem w powstaniu kościuszkowskim.

Za swoje wojskowe i bitewne zasługi bardzo szybko awansował. W roku 1794 — a więc jako dziewiętnastolatek — został kapitanem. Wraz z Legionami Polskimi *maszerował z ziemi włoskiej do Polski*. Razem z Napoleonem przebył cały jego szlak bitewny walcząc w Hiszpanii, w Niemczech i Austrii. Kilkakrotnie był ranny. Raz trafił do niewoli. Wszędzie i zawsze, w każdej sytuacji i opresji

odznaczał się wyjątkową dzielnością i wybitnymi zdolnościami strategicznymi. Był urodzonym — i świetnym! — żołnierzem. Urodzonym — i świetnym! — dowódcą.

Kiedy wreszcie wrócił do kraju, ograniczonego terytorialnie do niewielkiego Księstwa Warszawskiego, natychmiast zaciągnął się do jego armii. Wkrótce został mianowany szefem sztabu. Szczególną sławą i chwałą okrył się w roku 1813 podczas długotrwałej i bohaterskiej obrony twierdzy Zamość. Awansował wówczas na stopień pułkownika, a lud nadał mu zaszczytny przydomek *Hektora Zamojskiego*. O młodym pułkowniku, a wkrótce generale brygady, układano wiersze i śpiewano pieśni. Jego nazwisko zapisywało się najbardziej złotymi zgłoskami w polskiej historii.

Pomyślnie układało się też jego życie rodzinne. Generał Henryk Dąbrowski wprowadził swego przystojnego adiutanta na warszawskie salony. Miedzy innymi do domu państwa Lafontaine'ów. Pan tego domu był osobistym medykiem króla Stanisława Augusta i naczelnym lekarzem stolicy. Jego żona prowadziła jeden z najelegantszych salonów warszawskich. I choć żadne z nich nie było z urodzenia i pochodzenia Polakami, oboje się za Polaków uważali. Więcej nawet, na każdym kroku i przy każdej okazji swoją polskość podkreślali. Nic więc dziwnego, że w ich domu bohater napoleońskich batalii i *Hektor Zamojski* był zawsze nader mile witany i widziany. Szczególnie przez siedemnastoletnią córkę państwa Lafontaine, śliczną Zofię.

Ślub tej urodziwej i na zabój w sobie zakochanej pary odbył się w warszawskiej Katedrze Świętego Jana. Pobłogosławieni zostali niezwykle liczным potomstwem. Z jedenaściorga urodzonych przez Zofię dzieci, przeżyło ośmioro. Chłopcy byli zdrowi i pod każdym względem udani. Dziewczynki odziedziczyły urodę i wdzięk matki.

Mogłoby się wydawać, że Maurycy Hauke przyszedł na świat pod wyjątkowo szczęśliwą gwiazdą. Być może on sam w to wierzył. A także w to, że będzie mu ona świeciła jasnym blaskiem nie tylko w latach młodości, ale i przez całą resztę życia. Że do końca swoich dni będzie cieszył się wciąż tą samą sympatią, szacunkiem i uznaniem swych Polaków. Że w jego domu rodzinnym zawsze będzie panowała niezmienna miłość i harmonia.

Ale gwiazda zgasła. Nie bez udziału samego Maurycyego.

Podczas kampanii 1809 roku Maurycy Hauke był dowódcą brygady w dywizji generała Józefa Zajączka. Przez wszystkie lata wspólnego bojuwania generał Hauke pozostawał pod silnym wpływem swego dowódcy i przyjaciela. Ten wpływ nie zmalał, gdy skończyła się ich wspólna walka o niepodległość Polski, a rozpoczęła *noc zniewolenia*.

Generał Zajączek, podobnie jak wielu innych napoleońskich „wiarusów” uznał, że dość już przelano polskiej krwi i tę, która pozostała, należy za wszelką

cenę oszczędzać. Tą *wszelką ceną* była współpraca z carem Mikołajem i jego bratem, namiestnikiem Królestwa Polskiego, Wielkim Księciem Konstantym. Dla Maurycego Hauke cena okazała się jeszcze wyższa. Nie tylko zgodził się na kontynuowanie wojskowej służby pod komendą znienawidzonego przez Polaków księcia Konstantego. Był także przewodniczącym wojskowego trybunału, który osądził i skazał na wieloletnią katorgę młodego majora, współorganizatora Narodowego Towarzystwa Patriotycznego, Waleriana Łukasińskiego.

Walerian Łukasiński stał się symbolem męczeństwa za *świętą sprawę*. Maurycy Hauke symbolem narodowej zdrady. Jego podpis złożony pod haniebnym wyrokiem na współziomka i bohatera przekreślał w ludzkiej pamięci wszystkie jego dotychczasowe zasługi. Za nic miano fakt, że całą młodość oddał walce o polską niepodległość, że nigdy nie żałował dla swej *ojczyzny z wyboru* sił i zdrowia, że często ryzykował dla niej życiem. Widziano jedynie carskie i książęce zaufanie i fawory. Wysoką pozycję w rosyjskiej armii. Nadane przez cara szlachectwo. A potem — hrabiowski, a więc nie polski, tytuł.

Biografowie Maurycego Hauke nie są dla niego aż tak surowi, jak opinia publiczna. Wszyscy podkreślają, jak wiele zrobił dla armii Księstwa. A także jego bezprzykładne wprost oddanie dla kraju, bezinteresowność jego działań, troskę o rozwój i rozkwit Polski w każdej dziedzinie. Choć pełnił wiele intratnych funkcji, brał tylko jedną pensję. Pozostałe pobory oddawał do kasy państwowej, nie zważając na własne potrzeby materialne. Dla Maurycego bowiem nigdy nie liczyła się prywatnie. Ważne dla niego było jedynie dobro j e g o kraju.

Nie doceniano jednak tych niewątpliwych i unikalnych zalet generała. Dla większości rodaków gorszące natomiast było jego odstępstwo od poprzednio wyznawanych i bronionych ideałów. Historycy twierdzą, że był to dowód politycznego realizmu i rozważności. Maurycy Hauke najwyraźniej doszedł do wniosku, że w warunkach, jakie zostały Polsce narzucone, trzeba ratować *podstawową substancję narodu*. Ratował ją więc tak, jak potrafił — wychowując i kształcąc młodzież wojskową, przygotowując ją do jak najbardziej efektywnego i pożytecznego życia, choćby nawet w warunkach mocno okrojonej wolności. Z myślą, że ich dalsze życie i nabyte umiejętności mogą okazać się przydatne po odzyskaniu wolności. W możliwość odzyskania wolności, jak się zdaje, nigdy nie przestał wierzyć. Tyle, że nie chciał, by odzyskiwano ją porywając się na walkę z góry przegraną i okupioną straszliwą ofiarą krwi.

Nie wiemy, co by się stało, gdyby generał Maurycy Hauke przeżył Noc Listopadową. Czy istotnie zostałyby — jak to później wyryto na spiżu pomnika — „poskromicielem” powstania? Czy też, mimo, że nie wierzył w jego zwycięstwo, stanąłby jednak na jego czele.

Nie jest to całkiem niemożliwe zważywszy, że w szeregach powstańców znaleźli się trzej jego najstarsi synowie. Czy mógłby walczyć przeciwko dzieciom,

wybierającym tę samą drogę, którą do niedawna kroczył on sam?

Kiedy 29 listopada rozpoczęły się zamieszki w Warszawie, generał Hauke przebywał w domu na Miodowej. Był to spokojny, rodzinny wieczór, który spędzał z przyjaciółmi rozgrywając z nimi partyjkę modnego wówczas wista.

Okolo godziny siódmej — pisze Stefan Majchrowski, autor książki „Rodzina Hauke” — drzwi salonu rozwarły się nagle. Wpadł szef sztabu generała, pułkownik Meciszewski, blady, z twarzą zmienioną.

— Rozruchy! — wykrzyknął — Strzelają na ulicach!

Wszyscy zerwali się od stołu, przerażeni.

Wszyscy poza generałem. On ani na moment nie stracił panowania nad sobą. Poszedł do sypialni, aby zmienić mundur, potem kazał osiodłać konia i wyszedł na dziedziniec swego domu. Zofia Hauke tknięta przecuciem nieszczęścia, usiłowała zatrzymać męża. Rzuciła się przed nim na kolana i z płaczem błagała, aby został w domu. On jednak uważał za swój obowiązek sprawdzenie, co się dzieje w Warszawie, a zachowanie żony — za objaw kobiecego przewrażliwienia.

Kiedy odjeżdżał w kierunku Krakowskiego Przedmieścia, Zofia padła zemdlona. Długo próbowano przywrócić ją do świadomości. Kiedy ją wreszcie odzyskała, była już wdową.

Wypadki potoczyły się bowiem błyskawicznie. Ujechawszy kilkaset metrów generał wraz z towarzyszącymi mu osobami, pułkownikiem Meciszewskim oraz ordynansem Różyckim, znaleźli się przy Pałacu Namiestnikowskim. Tam zastąpili im drogę powstańcy. Podobno był wśród nich legendarny podchorąży, Piotr Wysocki.

Trudno odtworzyć przebieg zdarzenia, ponieważ relacje świadków są niespójne. Wedle jednych — generał miał zaapelować do młodych żołnierzy słowami: *Idźcie do domu, dzieci*. Wedle innych jeden z podchorążych chwycił konia generała Hauke za wodze, a pułkownik Meciszewski zareagował na tę niedopuszczalną zaczepkę strzałem z pistoletu, raniąc podchorążego Kicińskiego. Podchorążacy opowiedzieli ogniem. Generał Hauke i pułkownik Meciszewski zginęli na miejscu. Powstańcy zdarli z munduru zabitego generała szlify i ordery rosyjskie. Pozostawili natomiast odznaczenia polskie, wśród nich Krzyż *Virtuti Militari* i napoleońską Legię Honorową.

Kiedy się oddalili, ordynans generała Michał Różycki, zdołał sprowadzić pomoc. Spóźnioną. Każda z ran generała Hauke okazała się bowiem śmiertelna.

Przeniesiono jego ciało do podziemi kościoła Kapucynów na Miodowej, gdzie w kilka dni później odprawiono uroczystą mszę świętą za jego duszę. Jeszcze później wmurowano w ścianę kościoła tablicę upamiętniającą jego życie i śmierć.

Tej samej nocy, kiedy generał Maurycy Hauke padł z ręki młodego podchorążego na Krakowskim Przedmieściu, jego najstarszy syn Maurycy-Kazimierz znajdował się na odwachu. Został aresztowany jako

podejrzany o udział w powstańczym spisku. Podejrzenie było jak najbardziej uzasadnione. Zarówno bowiem Maurycy-Kazimierz, jak i dwaj jego młodsi bracia: siedemnastoletni Władysław oraz piętnastoletni Józef, a także ich brat stryjeczny Teodor byli jak najbardziej zamieszani w „Sprawę” i całym sercem jej oddani.

O śmierci ojca młody Maurycy Kazimierz Hauke dowiedział się więc od strażników więziennych. Ponieważ nie wypadało trzymać go w tak dramatycznej dlań sytuacji w areszcie, zdecydowano wypuścić go na wolność. W przeświadczeniu, że młody człowiek uda się do domu, aby zaopiekować matką i osieroconym rodzeństwem. Maurycy jednak nie wrócił do domu. Ani nie pomścił śmierci ojca.

Wydostawszy się z aresztu natychmiast nawiązał kontakt z powstańcami i w kilka godzin później objął dowództwo nad działami ustawionymi na Placu Prymasowskim, a więc w najbliższym sąsiedztwie i swego domu, i miejsca śmierci ojca. Potem brał udział w słynnych bitwach pod Wawrem i Grochowem. Za męstwo otrzymał awans na porucznika i złoty Krzyż *Virtuti Militari*.

W walce pod Grochowem u boku Maurycego-juniora walczył jego młodszy brat Władysław. Ten — także nieodrodny syn walecznego generała — za swoją brawurową akcję odznaczony został tym samym, co ojciec i Maurycy, najwyższym wojskowym wyróżnieniem. Tylko Józef, najmłodszy z trzech braci zdolnych w chwili wybuchu powstania do noszenia broni, nie doczekał tego zaszczytu, choć *stawał w walce* równie dzielnie, jak oni. Zginął w bitwie pod Ostrołęką.

Zofia Hauke niezmiernie boleśnie przeżyła tragiczną i nieoczekiwaną śmierć męża. Zanim zdołała otrząsnąć się z szoku, powalił ją nowy cios. Po śmierci piętnastoletniego syna całkowicie się załamała, utraciła chęć i wolę życia. Zmarła w sierpniu 1831 roku.

W domu na ulicy Miodowej została piątka *drobiazgu*. Początkowo dziećmi zaopiekowali się krewni. Potem car zdecydował, że najmłodsze potomstwo zamordowanego przez powstańców carskiego generała znajdzie się pod jego osobistą pieczęcią. Trudno zgadnąć, czy kierował się szlachetnym porywem serca i współczuciem dla sierot po Maurycem Hauke, czy zwyczajnie nie chciał, aby młodsze dzieci generała pozostawały pod zgubnym wpływem swego zrewoltowanego starszego rodzeństwa i rodziny. W każdym razie piątkę najmłodszych dzieci Zofii i Maurycego Hauke wywieziono do Petersburga, gdzie spędzili całe dzieciństwo i młodość.

Czy tęsknili za Polską?

Z relacji Zofii, najstarszej córki generała Maurycego Hauke wynika, że bardzo. Cała piątka zawsze też uważała się za Polaków, znała polski język, polskie pieśni i polską historię. Dzieci utrzymywały też kontakty z własnymi i stryjecznymi braćmi oraz innymi kuzynami, z których znakomita większość brała udział we wszystkich patriotycznych inicjatywach i zrywach.

Julia, jako małe dziecko, dotknięta została niewyobrażalną rodzinną tragedią. W ciągu jednego roku zawałił się cały znany jej przyjazny, bezpieczny i beztroski świat. Jej starsza siostra, Zofia, skarżyła się w wysyłanych do ciotki listach: *Ach, gdyby wiedziano przez jakie ciężkie koleje życia przeszłam od nieszczęsnej Rewolucji, Doprawdy dziwię się sama, jak znieść mogłam tyle ciosów i zgryzot, i to bez żadnej znikąd pociechy, bez żadnej nadziei lepszego powodzenia na przyszłość. Gdzie tylko się obrócić, gdzie spojrzeć, wszędzie źle i smutno.*

Malutka Julia była w nieco, ale tylko nieco, lepszej sytuacji. Po pierwsze — mogła zawsze liczyć na ową pociechę, której brakowało Zofii. Starsza siostra poczuwała się bowiem do serdecznej opieki nad czwórką młodszego rodzeństwa. Po śmierci rodziców to właśnie ona przejęła całą odpowiedzialność za ich wychowanie. Przebywając w obcym kraju, wśród obcych, nierzadko niezyczliwych im ludzi, starała się stworzyć malcom namiastkę kraju i rodziny. *Mizia i Lusia* (zdrobniałe imiona Emilii i Julii — przyp. J.W. — M.) — pisała do kuzynki — *zostały umieszczone w Instytucie św. Katarzyny. Można sobie wyobrazić jak smutne było nasze rozstanie. Biedne, biedne dzieci! Kostuś i Wicuś są natomiast w Korpusie paziów. Wszyscy oni tak polubili mój pokój, że gdy tylko mogą cały dzień w nim radzi siedzą. Czasami po kolei deklamujemy Mickiewicza lub kawałki innych cenniejszych poezji polskich.*

W przetrwaniu czasu *ciosów i zgryzot* pomógł małej Julii szczególny i bezcenny dar losu, jakim było jej pogodne usposobienie. W najtrudniejszych momentach swego życia Julia potrafiła zachować równowagę emocjonalną i znajdować zadowolenie w sprawach i rzeczach drobnych. Po prostu — umiała cieszyć się życiem.

Ciekawe, czy kiedykolwiek przeczuwała, że ta jej radość, ten jej optymizm okażą się zasadne. Że bajka o Kopciuszku, opowiadana jej kiedyś przez mamę, a potem przez siostrę na dobranoc, zmaterializuje się w jej własnym życiu.

O urodzie — i to wielkiej urodzie Julii— zaświadcza jedna jedyna relacja. Całkowicie zresztą nieobiektywna, bo wypowiedziana ustami zakochanego w niej mężczyzny. Zachowane fotografie Julii Hauke nie potwierdzają tej opinii. Julia nie była brzydka, ale naprawdę ładne miała jedynie oczy — pełne wewnętrznego blasku, patrzące bystro i śmiało. Wszystkie dokumenty biograficzne podkreślają natomiast wyjątkowo zgodnie jej nieprzeciętny urok osobisty. Była czarującym dzieckiem, które wyrosło na przemiłego podlotka, a ten z kolei przeobraził się w pełną zniewalającego wdzięku młodą panienkę.

Tragedia przeżyta w dzieciństwie nie zaciążyła na usposobieniu generałówny. Z natury była pogodna, skora do żartów i śmiechu, ufna i zycziwa. Szybko też zdała sobie sprawę, że jedynym darem losu, jaki otrzymała są inteligencja i miłe usposobienie. Obie te cechy potrafiła świetnie wykorzystać przy zjednywaniu sobie ludzkiej przyjaźni. Wiedziała, że tylko dzięki niej może coś

w życiu osiągnąć. Nie przypuszczała jednak — jak wiele.

Po przybyciu do Petersburga umieszczono ją w Instytucie Smolnym, placówce wychowawczej zajmującej się kształceniem i „ułożeniem” *dobrze urodzonych panien*. Wprawdzie Julia Hauke nie była tak świetnie urodzona, jak jej koleżanki, ale ten brak rekompensowała błyskotliwą inteligencją i przymiotami charakteru. Nauczyciele i wychowawcy prześcigali się w pochwałach jej różnorodnych talentów: pracowitości i chęci zdobywania i pomnażania wiedzy. Dziewczęta natomiast lubiły ją za koleżeństwo, prostotę w sposobie bycia, naturalność, serdeczność i takt. Orzech — tak ważne we współżyciu — poczucie humoru.

Kiedy ukończyła Instytut, i to jako jego prymuska, car okazał jej niezwykle fawor. Uczynił ją damą dworu (frejliną) swojej młodej synowej, Marii Heskiej. To stanowisko otwierało przed polską generalówną perspektywę jedynej kariery, jaką mogła zrobić dziewczyna znajdująca się w jej sytuacji. Synowa cara miała bowiem obowiązek troszczenia się o korzystne zamążpójście swoich dwórek. A tym, które — jak Julia — nie miały posagu, zapewnić może nie olśniewające, ale całkiem przyzwoite wiano. Gdyby Julia nie znalazła się na carskim dworze, zostałaby zapewne starą panną. Jej szlachectwo i tytuł hrabianki były bardzo świeżutkie. Nie miała żadnego własnego majątku. Żadnych liczących się rodzinnych koneksji. Który z liczących się w świecie kawalerów mógłby poślubić się na tak lichutki paniński „kasek”?

Obie jej starsze siostry w pełni wykorzystały szansę, jaką dawała przynależność do carskiego dworu. Zofia Hauke wyszła za mąż za swego stryjecznego brata, Aleksandra Hauke, absolwenta Korpusu Kadetów i Instytutu Komunikacji w Petersburgu. Po ślubie młoda para osiedliła się w Warszawie. Dzięki protekcji carewicza Aleksander Hauke otrzymał bardzo wówczas wysokie i intratne stanowisko komendanta stołecznej straży ogniowej. Emilia Hauke została wydana za generała rosyjskiego i dowódcę gwardii cesarskiej, barona Karola Stackelberga. Dzięki temu i jej przyszłość została „zabezpieczona”. Tylko Julia jakoś nie trafiała na żadnego odpowiedniego konkurenta. Czy przez dwadzieścia pięć lat jej życia nikt nie prosił o rękę panienki? Czy też ona odrzucała starających się? Jeśli tak, to na co, a raczej — na kogo liczyła?

Wydaje się niemożliwe, aby od początku mierzyła tak niebotycznie wysoko i wierzyła, że naprawdę uda jej się osiągnąć ową *gwiazdkę z nieba*, jaką był książę Aleksander Heski.

Aleksander von Hesse-Darmstadt, syn wielkiego księcia Ludwika II i Wilhelminy Badeńskiej, przybył do Petersburga w 1840 roku wraz z siostrą Marią, najpierw narzeczoną, a następnie żoną rosyjskiego carewicza. Bez żadnej dodatkowej charakteryzacji Aleksandra można byłoby obsadzać w rolach wszystkich bajkowych królewiczów. Smukły, zgrabny, niezwykle przystojny

i elegancki. Car nazywał go żartobliwie *szarmanckim ulanem*. Był wprost stworzony do podboju niewieścich serc. No i podbijał je. Nieustannie i „na pęczki”.

Huczało od plotek o romansach urodziwego księcia z najpiękniejszymi i najbogatszymi pannami i paniami Petersburga: panią Szeremietiew, panią Orange, panią Makow, hrabianką Zofią Szuwałow. Carowa swatała go z księżniczką Ludwiką Mecklemburg-Schwerin. Car ze swoją bratanicą — Wielką Księżną Katarzyną.

Na wdzięki Aleksandra nie pozostała nieczuła także córka cara, Wielka Księżna Olga. To nieukrywane przez nią uczucie, może nie tyle podzielane, co podsycane przez księcia Heskiego, stało się powodem niepokoju carskiej pary. Car i carowa lubili wprawdzie czarującego Aleksandra, ale na pewno nie na tyle, by oddać mu rękę swej córki. Olga, jak znakomita większość monarszych dzieci, była bowiem jedynie elementem wielkich politycznych planów Rosji. Jej uczucia zajmowały w tych planach bardzo niewiele miejsca. Aby wybić jej z głowy nieodpowiednie z ojcowskiego i rosyjskiego punktu widzenia amory, car Mikołaj postarał się, aby młody książę zniknął na pewien czas z dworu i Petersburga. Wysłano go z wojenną wyprawą na Kaukaz. Zadbawszy jednak, aby Aleksander Heski nigdy nie znalazł się w prawdziwym niebezpieczeństwie i aby nie spadł mu włos z urodzivej głowy. Kiedy wrócił, pełen nie całkiem zasłużonej chwały i z nowymi (nie całkiem zasłużonymi) orderami na swym mundurze, Olga była już mężatką. Wydano ją za mąż za wielkiego księcia wirtemberskiego.

Aleksander nie bardzo cierpiał z tego powodu. Na pociechę podsunęto mu bowiem pannę niemal równą Oldze urodzeniem, a na dodatek o wiele od niej ładniejszą — Wielką Księżną Katarzynę. Car był całkiem pewien, że jest to wystarczająca rekompensata za przeżyty przez księcia zawód miłosny.

No i wydawało się, że istotnie była. Z wielką pompą ogłoszono zaręczyny przyszłej młodej pary. Biedna Olga gdzieś tam daleko, w Wirtembergii, wyplakiwała oczy bolejąc nad swoją nieszczęsną dolą. Katarzyna natomiast promieniała ze szczęścia. Jak się jednak okazało — trwało ono nader krótko. Wkrótce bowiem nastąpiło wydarzenie, które przechodziło wszelkie spodziewania i wyobrażenia.

Car, przechodząc przez sale swego pałacu, natknął się niespodziewanie na gruchającą parę. Obiektem zalotów księcia Aleksandra nie była jednak jego narzeczona, ani żadna z jego utytułowanych przyjaciółek. Mikołaj z najwyższym zdumieniem stwierdził, że Aleksander flirtuje — i to pod jego bokiem! — z dwórką synowej. Takie rzeczy nie były na dworze czymś niezwykłym i nowym. Ale w sytuacji, kiedy książę był już „po słowie” z księżną Katarzyną, na pewno było rzeczą niestosowną. Car udał się więc do Marii Heskiej z prośbą, by ukróciła nieobyczajne zachowanie zarówno brata oraz — tym bardziej — swojej frejliny.

Julia była ulubienicą przyszłej carowej. Ale nawet Maria nie widziała w tej

miłej, uroczej, zawsze uśmiechniętej, rozweselającej cały jej dwór dziewczynie kandydatki na swoją bratową. Nie chciała w niej widzieć także kochanki brata. Zbyt dużo i zbyt głębokich różnic dzieliło Aleksandra Heskiego, księcia od czterdziestu już pokoleń, od ubożuchnej polskiej sierotki, aby mógł ją poślubić. Z drugiej strony hrabianka Julia Hauke była zbyt prostolinijna i uczciwa, aby można ją było potraktować jak zabawkę.

Maria Heska poprosiła więc brata na rozmowę, aby wyjaśnić niezręczną sytuację. Po tej rozmowie sytuacja stała się jeszcze gorsza. Aleksander wyjaśnił szczerze, że ma zamiar zerwać zaręczyny z Katarzyną i poprosić o rękę Julii Hauke. A to dlatego, że się zakochał. Po raz pierwszy w życiu zakochał się naprawdę. I — jak sądzi — na całe życie.

Car poinformowany o nieoczekiwanym przebiegu rozmowy, wysłał księcia do Darmstadt licząc, że kilkumiesięczna rozłąka z Julią ostudzi jego nedorzeczne zapęły. Ale Aleksander powrócił z nieodmienionym sercem. Wciąż kochał Julię. Wciąż uważał, że jest najpiękniejsza na świecie. I jedyna, z którą chce dzielić życie.

Car, zirytowany w najwyższym stopniu, zdegradował księcia i zagroził wygnaniem go z dworu, Petersburga i Rosji. Aleksander nie ugiął się i zdania nie zmienił. Wyjechał z Rosji, ale razem z Julią Hauke. Do Darmstadt dotarli już jako małżeństwo. Ślub wzięli po drodze — 28 października 1851 roku.

Rodzina Aleksandra przygotowała się do chłodnego przyjęcia młodej pary. Kiedy jednak bliżej poznano kobietę, którą książę tak mocno pokochał, atmosfera trochę pocięła. Okazało się, że Julia potrafiła nie tylko zjednać sobie względy arystokraty uchodzącego za jednego z najprzystojniejszych, najbardziej uwodzicielskich i najbardziej utytułowanych mężczyzn Europy. Udało jej się dokonać jeszcze większego podboju — książęcych i nawet królewskich rodów Starego Kontynentu. Z czasem zdobyła uznanie arystokratycznego *crème de la crème*.

Nowy szwagier Julii, Wielki Książę Ludwik III von Hessen-Darmstadt, nadał jej tytuł hrabiny (Graffin) von Battenberg. Zaszczycił nie tyle jako zważywszy, że nazwisko należało do jednego z najznakomitszych i najstarszych rodów niemieckich. Z powodu braku męskich potomków Battenbergów zabrakło już w XIV wieku. Ludwik III Heski, przywracając nazwisko, tym samym dawał szansę odrestaurowania tej znakomitej dynastii.

I nie zawiódł się w swoich nadziejach. Julia, oprócz licznych i już wielokrotnie wymienianych zalet miała jeszcze i tę, która w rodach książęcych i królewskich była w najwyższej cenie. Rodziła synów. Zdrowych, pięknych i dzielnych.

Osobisty urok Zofii, jej cierpliwość i takt na pewno przyczyniły się do przełamania lodów wobec tej polskiej „trędowatej”. Ale jej dzieci okazały się

najskuteczniejszym *taranem* otwierającym ich matce drogę do wszystkich arystokratycznych oraz królewskich pałaców Europy. Dzieje każdego z pięciorga dzieci Julii i Aleksandra Battenbergów zasługują na całkiem oddzielne i obszerne opowiadania. Każde z nich przeżyło piękne i ciekawe życie. Każde z nich przysporzyło rodzicom radości i powodów do dumy.

Najstarsza córka, Maria, stała się niejako materialną pamiątką nocy poślubnej swoich rodziców. Przyszła bowiem na świat dokładnie w dziewięć miesięcy po ślubie Julii i Aleksandra. Cesarz Wilhelm uważał ją za pannę *zachwycającej urody*. Kiedy śliczna Maria miała lat dwadzieścia, zakochała się — z wzajemnością — w grafie Gustawie zu Erbach-Schönberg. Był to związek pod każdym względem udany.

W dwa lata po Marii urodził się pierworodny syn małżonków Battenberg — Ludwik Aleksander. To właśnie Ludwik, jako pierwszy w rodzinie, związał się poprzez małżeństwo z rodem monarszym i uczynił Julię babcią aż dwóch najprawdziwszych królowych. W roku 1884 ten przystojny trzydziestoletni admirał angielskiej floty królewskiej, późniejszy markiz Milford-Haven i pierwszy lord admiralicji, pojął za żonę wnuczkę i imienniczkę ówczesnej angielskiej królowej Wiktorii, dwudziestojednoletnią księżniczkę Vicki. Córka tej pary, czyli wnuczka Julii, Alicja, wyszła za mąż za greckiego króla Jerzego I. Ich syn, a prawnuk Julii, to książę Filip, mąż obecnie miłośnicwie panującej monarchini Wielkiej Brytanii, królowej Elżbiety II.

Druga córka, Ludwika poślubiła natomiast króla szwedzkiego Gustawa VI Adolfa.

Najbardziej jednak znany i najbardziej przez rodziców kochany był drugi syn Julii i Aleksandra Battenbergów, imiennik ojca. Zwano go pieszczotliwie Sandro.

Już samo miejsce, w którym Julia powiła Sandra predestynowało i przepowiadało jego niezwykłą i romantyczną życiową karierę. Aleksander-Józef przyszedł bowiem na świat w mieście naj słynniejszych kochanków — Weronie. Okazał się prawdziwym wybrańcem losu. Angielska królowa Wiktoria nazywała go czule *kochanym, dzielnym i heroicznym suwerenem Bułgarii*.

Dlaczego Bułgarii? Aby ten związek pomiędzy księciem heskim Aleksandrem-Józefem Battenbergiem, a tym bałkańskim krajem wyjaśnić, trzeba powiedzieć kilka słów o jego ówczesnej sytuacji.

W roku 1878 na mocy międzynarodowego traktatu zawartego w San Stefano utworzona została Wielka Bułgaria. Istotnie była wielka. Obejmowała terytorium większej części Macedonii i sięgała aż do Morza Egejskiego. Tyle, że ta nagle wielkość kraju, tak długo pozostającego w tureckiej niewoli i nagle od niej uwolnionego, okazała się bardzo krótkotrwała. Wkrótce Kongres Berliński pozbawił Bułgarię większości dopiero co przyznanych jej ziem. Ale niepodległość pozostała. „Okrojona”, ale wciąż wolna Bułgaria przybrała miano Księstwa. Było

więc Księstwo Bułgarskie, ale nie było w nim panującego księcia. W roku 1879 bułgarskie Zgromadzenie Narodowe zwróciło się do Aleksandra-Józefa Battenberga z propozycją przyjęcia tego wielce szczytnego tytułu. Aleksander miał wówczas zaledwie dwadzieścia dwa lata, ale był już doskonale znany w Europie ze swoich zupełnie wyjątkowych przymiotów ducha i ciała. Został więc pierwszym Księciem Bułgarskim od czasu upadku Cesarstwa Wschodniego.

Bułgarzy nigdy tej decyzji nie pożałowali. Aleksander odznaczył się wielką zręcznością w kierowaniu krajem. W 1885 roku udało mu się doprowadzić do zjednoczenia z Rumunią, a następnie — po krótkiej wojnie — pokonać Serbię, zagrażającą dopiero co zdobytej bułgarskiej suwerenności. Podczas wojennych potyczek książę Aleksander wykazał się — tak chwaloną przez królową Wiktorię — wyjątkową dzielnością i heroizmem.

Podczas jednej z kurtuazyjnych wizyt złożonych w londyńskim pałacu Buckingham Sandro poznał siedemnastoletnią wnuczkę królowej Wiktorii. Ona również nosiła imię wielkiej monarchini. „Mała Wiktorii” nie była specjalnie urodziwa, ale za to nieprzytomnie wprost w Sandrze zakochana. Trudno odgadnąć, czy książę Bułgarii odwzajemniał to płomienne uczucie. W każdym razie przyjmował awanse młodziczej księżniczki bardzo życzliwie. Na tyle życzliwie, że zaczęto mówić o ich małżeństwie. Mówiono na ten temat dość długo, bo aż kilka lat. Ale wciąż coś stawało na przeszkodzie, aby ślub mógł się odbyć. „Mała Wiktorii” pisywała do ukochanego pełne czułości i nieskończone długie listy. On był bardziej powściągliwy w wyrażaniu swych uczuć, choć się ich w swoich listach nie wypierał. Przeciwnie — w korespondencji z rodzicami dziewczyny zawsze podtrzymywał decyzję poślubienia ich córki. Tyle tylko, że nie był jej specjalnie wierny w okresie narzeczeńskim.

Podczas kiedy „mała Wiktorii” usychała z tęsknoty, Sandro znajdował pociechę w pięknych ramionach primadonny opery w Darmstadt, Joanny Loisinger. Nie wiadomo, jak zakończyłaby się historia tego trójkąta, gdyby nie interwencja i intrygi niemieckiego kanclerza Bismarcka.

Bismarck organicznie nienawidził Battenbergów. Znaczący wpływ na tę antypatię miało polskie pochodzenie Julii. W każdym razie „żelazny kanclerz” przy każdej okazji nie omieszczał jej i jej dzieciom tego wstrętnego dlań pochodzenie przypominać i wypominać. Dowiedziawszy się o matrymonialnych planach Sandra, zdołał przekonać cesarza Wilhelma II, że będzie to mariaż z najrozmaitszych względów niekorzystny dla Niemiec. Wilhelm II także nie lubił Polaków. Wbrew woli swej siostry, czyli „małej Wiktorii” i wbrew woli jej rodziców wydał dziewczynę za mąż za wybranego przez siebie kandydata.

Sandro nie oszalał jednak z rozpaczy. Być może był nawet w głębi serca wdzięczny swemu politycznemu wrogowi, że wybawił go z sercowych rozterek. W 1889 roku ożenił się z Joanną Loisinger. Jego ojciec wówczas już nie żył. Julia

zaś, pamiętająca własną historię miłosną, nie wzbraniała synowi poślubienia kobiety niższego wprawdzie stanu, ale za to naprawdę przez niego kochanej. Chciałoby się w tym miejscu powiedzieć, że Aleksander i Joanna żyli długo i szczęśliwie. Niestety — w ich przypadku trzeba zrezygnować z jednego z tych określeń. Byli istotnie bardzo szczęśliwi. Mieli dwoje uroczych dzieci. Tyle, że ich małżeństwo trwało zaledwie cztery lata. W 1893 roku Aleksander zmarł w Grazu. Pochowany zaś został tak, jak sobie tego życzył i zgodnie z wolą swoich byłych poddanych — w Bułgarii.

Jego śmierć była największą tragedią w życiu Julii. Przeżyła ukochanego Sandra tylko o dwa lata.

Wróćmy jednak do lat szczęśliwych.

Julia była świekrą jednej z (licznych) wnuczek królowej Wiktorii i niewiele brakowało, by także i druga wnuczka tej monarchini poślubiła jej syna. I choć do tego nie doszło, Julii najwyraźniej jednak pisane były bliskie związki z dworem angielskim. Trzeci z jej synów, Henryk-Maurycy ożenił się z księżniczką Beatrycze, najmłodszą córką królowej Wiktorii. Młodzi poznali się podczas wizyty, którą królowa Wiktorja składała swojej najstarszej córce, Alicji, żonie księcia Ludwika Heskiego. W czasie któregoś z rodzinnych spotkań Beatrycze spojrzała na Henryka Battenberga. I zrozumiała: *ten, albo żaden*. Ona sama nie wywarła na przystojnym księciu równie piorunującego wrażenia. Także i jej przyszły teść, Aleksander Battenberg-senior wyrażał się o księżniczce w dość oględnych słowach. *Keine schonheit* — zanotował w swoim dzienniku, przyznając jednak, że Beatrycze jest *dość ładna* i dodając z odcieniem dobrotliwej złośliwości: *dobrze odżywiona*.

Beatrycze na pewno była bardzo *dobrze odżywiona* i w ogóle wychuchana pod każdym względem. Jako najmłodsze dziecko królewskiej pary była od urodzenia oczkiem w głowie królowej Wiktorii. Starzejąca się monarchini nie rozstawała się nigdy ze swoją *pieszczoszką* i w ogóle nie wyobrażała sobie, aby Beatrycze kiedykolwiek przestała być dzieckiem.

Mijały lata. Beatrycze przestała być nie tylko dzieckiem, ale i młodą panną. Ale jej matka wciąż tego nie dostrzegała. Gdyby nie wizyta w Darmstadt i nagłe zauroczenie królowny najprawdopodobniej siałaby rutkę przez resztę swego życia.

Trudno zgadnąć, co urzekło Henryka Battenberga w tej nieco już podstarzałej, niezbyt urodziwej i na pewno nazbyt pulchnej księżniczce. W każdym razie po pewnym czasie zakochana Beatrycze mogła obwieścić swej matce i całemu światu, że nie tylko jest zakochana, ale zdobyła też wzajemność ukochanego. Królowa Wiktorja początkowo była zszokowana, że jej *dzieciątko* przestało nim być i ma zamiar opuścić matkę dla — co za brak rozsądku! — męża. Gdyby wybrankiem Beatrycze nie był Battenberg, być może jej opór byłby silniejszy. Do synów Julii Hauke miała jednak zupełnie szczególnie sentyment.

Wiedziała, jak bardzo szczęśliwa jest w związku z Ludwikiem jej wnuczka Vicki. Pamiętała, jak szalonym i płomiennym uczuciem jej druga wnuczka, „mała Wiktoria” darzyła urodziwego i czarującego Sandra.

Henryk był także przystojny i miał wiele uroku. Królowa uroniła więc kilka łez, ale wyraziła zgodę na oddanie *pieszczoszki* młodemu Battenbergowi. — *Rzadko się zdarza* — zanotowała potem w swoim sztambuchu — *aby przed ołtarzem klęczała para równie szczęśliwa*. I szczęśliwą pozostała aż do wybuchu I wojny światowej, kiedy to w bitwie pod Ypres zginął ich ukochany syn Maurycy.

Pociechą w smutku Henryka i Beatrycze była córka Wiktoria Eugenia, poślubiona w 1906 roku przez króla Hiszpanii Alfonsa XIII. Potomkiem tej pary królewskiej jest obecny monarcha tego kraju Juan Carlos.

Najmłodszy — czwarty syn Julii i Aleksandra Battenbergów — nazwany na cześć cesarza Austrii Franciszkiem-Józefem, także nie miał żadnych kłopotów z wyborem wysoko urodzonej i utytułowanej żony. Została nią księżniczka Anna Petrowicz-Niegosh von Montenegro, siostra królowej Włoch.

W przypadku Julii Hauke można więc mówić o najprawdziwszym happy-endzie. Ten *Kopciuszek* zdołał zdobyć dla siebie nie tylko dożgonne przywiązanie *królewicza*, ale — wraz z upływem czasu — pozycję należną jego prawowitej, a nie tylko morganatycznej żonie. Fakt, że najstarsze i najlepsze, a nawet królewskie rody europejskie nie miały żadnych oporów przed przyjmowaniem do własnego kręgu dzieci Battenbergów świadczy, że Julia została przez nie zaakceptowana i uznana za *swoją*.

Wymieniliśmy dwa główne atuty Julii, które umożliwiły i ułatwiły jej osiągnięcie, zdawałoby się nieosiągalnej dla niej pozycji w arystokratycznym świecie. Historycy dodają trzeci czynnik — czynniki polityczne.

Rzeczywiście — układały się dla Julii nader pomyślnie. Kiedy przyjechała do Darmstadt jako morganatyczna żona księcia Aleksandra Heskiego, nie bardzo było wiadomo, co z tym bardzo kłopotliwym *fantem* zrobić. Postarano się, aby choć na pewien czas *zeszła z oczu* swego szwagra, Wielkiego Księcia Ludwika i swej nowej familii. Czas na aklimatyzację w nowym dla niej świecie otrzymała z najbardziej nieoczekiwanej strony i od najbardziej nieoczekiwanej osoby — cesarza Franciszka Józefa.

Przyjął on „bezrobotnego”, bo wyrzuconego z armii carskiej generała Aleksandra Heskiego w szeregi własnego wojska. Książę raz i drugi odznaczył się na polu chwały zwracając na siebie życzliwą uwagę cesarza. W swojej politycznej przenikliwości Franciszek-Józef dojrzał też w młodym Battenbergu doskonałego kandydata na mediatora w rozmowach i układach między europejską „Trójcą”: Rzeszą Niemiecką, Rosją i Austrią. Battenberg wywiązywał się z tej funkcji świetnie. Tym zapewnił sobie wstęp na sale wiedeńskiego pałacu i miejsce przy cesarskim stole w sąsiedztwie samego miłościwie panującego Franciszka-Józefa.

Towarzyszająca mężowi Julia zasiadała natomiast przy boku cesarzowej, pięknej Sissi.

Początki okazały się dość trudne. Ale dyplomatyczny talent Julii okazał się nie mniejszy od dyplomatycznych umiejętności jej małżonka. Franciszek Józef, który był nieprzejednany wobec każdej próby pogwałcenia dworskich konwenansów i nie tolerował żadnych miłosnych fanaberii w szeregach wysoko urodzonych, uczynił w swoim życiu dwa wyjątki. Pierwszy dla swojej wieloletniej faworyty — aktorki wiedeńskiego teatru. Drugi dla Julii Hauke-Battenberg, z którą *rozmawiał łaskawie* i bez oporu przyjmował pod swoim dachem.

Wielkim wsparciem dla Julii byli też Aleksander II i jego żona, a jej szwagierka Maria. Kiedy w 1855 roku Aleksander wstąpił na tron skończyły się wszelkie afronty, jakich doznawali Battenbergowie od cara Mikołaja. Maria bardzo kochała swego brata, a z czasem jej sympatia do Julii zmieniła się w prawdziwie siostrzany afekt.

Może jednak najbardziej znacząca była sympatia królowej brytyjskiej, Wiktorii. Ona od początku nie przejawiała żadnej niechęci do polskiego „Kopciuszką”, a jej dzieci darzyła — o czym pisaliśmy — zupełnie wyjątkowym sentymentem.

Julia Hauke żyła siedemdziesiąt lat. Z tego tylko sześć spędziła w Polsce. Nie pamiętała ani rodziców, ani rodzinnego domu, ani miasta, w którym przyszła na świat. Nie ma żadnej wzmianki, by kiedykolwiek w dorosłym życiu odwiedziła mieszkającą w Polsce rodzinę, groby dziadków i rodziców. W jej żyłach płynęła krew francuska, niemiecka, a nawet (po babce) węgierska. Ale nie było w nich nawet jednej kropli polskiej krwi. Dlaczego więc była uważana (nadal jest uważana) i sama się uznawała za Polkę? Nawet więcej — jej urodzone z niemieckiego księcia i poza Polską dzieci także uważano za — przynajmniej — pół-Polaków.

Kiedy jej syn, Aleksander Battenberg, jako książę Bułgarii odwiedzał Lwów, mieszkający tam Polacy zgotowali mu gorącą owację, wspominając jego polskie korzenie. Piękny Sandro ani wtedy, ani nigdy ich się nie wypierał. Także sami Bułgarzy wznosząc okrzyki na jego cześć bardzo często wołali *Niech żyje Polska!*, aby zmanifestować sympatię dla kraju pochodzenia swego przywódcy.

Antypatię z tego samego powodu odczuwali do Battenbergów cesarz Niemiec, znany *polakożerca* Wilhelm II i jego kanclerz Otto Bismarck.

Wnuczka Julii, córka jej najstarszej córki Marii, Edda Erbach-Schönberg, wróciła do polskich *źródeł*. Wyszła za mąż za Wilhelma Stolberg-Wernigerode, właściciela wielkiego klucza majątków znajdującego się w okolicach Poznania. Jej mąż, podobnie jak niegdyś prapradziad Eddy, był naturalizowanym Polakiem. Edda pod jego wpływem powróciła do katolicyzmu i stała się gorącą polską patriotką. Ich syn, prawnuk Julii, oficer 15 pułku ułanów poznańskich, pułkowy

kolega Władysława Andersa, Stanisława Grzmota-Skotnickiego, Rudolfa Dreszera i Kazimierza Chłapowskiego brał udział w kampanii wrześniowej, odznaczając się na polu bitwy taką samą dzielnością jak jego praszczur i rodzeni oraz stryjeczni bracia prababki.

To przeświadczenie Julii o własnej polskości i przywiązanie do polskich korzeni było w największej mierze zasługą jej starszej siostry Zofii. To ona zadbała o wychowanie młodszego rodzeństwa w duchu *świętej miłości kochanej Ojczyzny*. W jej warszawskim salonie wisiały płótna przedstawiające Maurycego Hauke jako porucznika Legionów Dąbrowskiego, a także jako *Hektora Zamoyskiego*, bohatersko broniącego wałów tej twierdzy. Inny obraz upamiętniał śmierć piętnastoletniego brata Zofii i Julii, Józefa, poniesioną na polu chwały pod Ostrołęką. Zofia nigdy nie dopuszczała myśli, że jej ojciec mógłby być „poskromicielem” listopadowego zrywu 1830 roku.

Zofia i Julia utrzymywały ze sobą bliskie, choć rzadkie, osobiste kontakty. Wiemy natomiast, że Zofię odwiedził mąż Julii, Aleksander Battenberg. Przejeżdżając przez Warszawę wstąpił do domu szwagierki, przekazując jej pozdrowienia, listy i upominki od Julii. Siostry stale korespondowały ze sobą. Zofia informowała młodszą siostrę o wszystkich wydarzeniach, jakie miały miejsce w Polsce i w ich rodzinie. Zofia rewanżowała się wiadomościami o własnych dziejach, a także reagowała na nadchodzące z kraju prośby o jej interwencje.

A bywały one częste i bardzo potrzebne. Zwykle z przyczyny jej stryjecznego brata, Józefa Hauke-Bosaka. Jako działacz nielegalnych organizacji niepodległościowych, a potem dowódca i jeden z symboli Powstania Styczniowego nieustannie podlegał carskim represjom. Julia wielokrotnie upominała się o niego u cara Aleksandra i jego żony Marii. Za każdym razem jej wstawiennictwo ratowało skórę, wolność i życie „Bosaka”. Kiedy zginął, walcząc w brygadzie polskiej armii Wogezów, Giuseppe Garibaldi pożegnał go specjalnym rozkazem. Nie wiemy, czy Julia uczestniczyła w uroczystościach pogrzebowych swego stryjecznego brata. Jeśli nie, na pewno dotarły do niej słowa owego rozkazu mówiącego o *Polsce, ziemi wielkiego heroizmu i męczeństwa*. Czy ona, sierota po generale Hauke, siostra trzech powstańców listopadowych i kuzynka powstańców styczniowych, mogła tej opinii nie podzielać?

Julia spoczywa z dala od kraju, do którego przybył jej dziad, o który walczył jej ojciec i bracia, jej prawnuk i liczni kuzynowie i kuzynki. Nie było bowiem ani jednego patriotycznego zrywu narodowego, w którym zabrakłoby nazwiska Hauke.

Nazwiska upamiętnionego także w pięknej legendzie o pięknej i wielkiej miłości.

MIŁOŚĆ, KTÓREJ WYSTARCZYŁO NA CAŁE ŻYCIE

czyli

Zofia Chotek i arcyksiążę Franciszek Ferdynand

W historii monarchii to małżeństwo należało do wyjątków. Nawet — wyjątkowych wyjątków. Po pierwsze — austriacki cesarz Franciszek Józef ożenił się z wielkiej i odwzajemnionej miłości. Po drugie — jego miłość była jak najbardziej właściwa i „akuratna” dla panującego. Przyszła cesarzowa była bowiem nie tylko kochana i kochająca, piękna i czarująca, ale w dodatku pochodziła z jak najbardziej błękitnokrwistej rodziny. Ponadto była młoda, zdrowa, nie obciążona żadnymi genetycznymi wadami, które mogłyby przekazać potomstwu. Mogła więc z najwyższym z możliwych prawdopodobieństwem wydawać na świat synów i córki zapewniających dziedziczość habsburskiego tronu.

Historia związku Franciszka Józefa i ślicznej Elżbiety, zwanej „Sissi”, rozpoczęła się niby zmaterializowana bajka. Był i piękny książę, i piękna księżniczka, i miłość, i wspaniałe pałace, i wytworne bale. Wszystko, co można sobie wyobrazić jako ucieleśnienie raju na ziemi. Ale ten ziemski raj (podobnie zresztą jak biblijny) nie trwał długo. Franciszek Józef tylko przez krótki czas był wybrańcem fortuny. Potem — przez czas bardzo długi — był już tylko jej ofiarą.

Należał nie tylko do nielicznych panujących, którzy mieli szczęście znaleźć żonę „po sercu”, a nie „po racji stanu”. Był także władcą, który traktował swoje panowanie nie tylko jako *pomazanie Boże*, nie szczęśliwe (bądź nieszczęśliwe) zrządzenie losu, ale bardzo szczególny rodzaj bardzo odpowiedzialnej profesji. Franciszek Józef podchodził do swego „cesarzowania” z ogromną powagą. W małym stopniu korzystał z przywilejów, jakie dawało mu jego stanowisko i związana z nim władza, za to w wielkiej mierze oddawał się wynikającym z nich obowiązkom. A zważywszy na wielkość i liczbę krajów, którymi władał — obowiązków miał naprawdę dużo.

Cesarski stosunek do służby wobec narodu (narodów), jego bezprzykładna pracowitość i stawianie spraw państwowych na pierwszym miejscu stały się głównym powodem pierwszego nieszczęścia — rozpadu małżeństwa.

„Sissi”, w przeciwieństwie do cesarskiego małżonka, dość lekko traktowała swoje powinności. Być może była za młoda, a może nie miała żadnych ku władzy predyspozycji; w każdym razie szybko uprzykrzyła sobie cienie dworskiego życia. I starała się przy każdej okazji i w każdy możliwy (lub niemożliwy) sposób pozbyć kłępujących ją więzów. Wywoływało to niesnaski; początkowo pomiędzy młodą cesarzową i jej teściową. Potem także pomiędzy małżonkami. I choć formalnie stadło przetrwało tak, jak to sobie cesarska para ślubowała — *dopóki śmierć*

(„Sissi”) *go nie rozłączyła*, faktycznie jednak już po kilku latach Franciszek i Elżbieta żyli w separacji.

„Sissi” rzadko przebywała w Wiedniu. Wydaje się, że miała wielki żal do męża o przedkładanie spraw publicznych ponad prywatne, o nie uwzględnianie jej naturalnego prawa do zwyczajnych, a nie tylko oficjalnych radości i rozrywek. Nie chciała, a może po prostu nie potrafiła stać się dla swoich poddanych wzorcem kobiety, żony i matki. Chciała — jak byśmy dziś powiedzieli — *być sobą*. A *bycie sobą* oznaczało dla niej korzystanie z wszelkich uciech życia.

No i z nich korzystała. Zadbala jednak, aby mąż nie poczuł się opuszczony i zaniechany, przynajmniej w łóżku. Sama wybrała i podsunęła mu kochankę. Dokonała bardzo dobrego wyboru. Metresa cesarza Franciszka-Józefa była piękna i mądra. Przez kilkadziesiąt lat darzyła go prawdziwą miłością i wierną przyjaźnią. Dyskretna i taktowna nigdy nie wtrącała się do polityki, nie rywalizowała z żoną, nie szukała dla siebie zaszczytów i przywilejów, dawała za to cesarzowi oparcie we wszystkich (nielicznych) dobrych i (licznych) złych chwilach. Franciszek Józef był do niej ogromnie przywiązany, ale jedyną prawdziwą miłością jego życia pozostała niewierna „Sissi”. Nigdy nie przestał boleć nad utratą jej serca. Nigdy się też nie pogodził, że Austria nie ma takiej cesarzowej na jaką, jego zdaniem, zasługiwała.

Nie tylko zresztą niechęć żony do poddania się wymogom dworskiego ceremoniału i statecznego trybu życia były przyczyną cesarskich zgryzot. Wielu członków jego rodziny podchodziło równie niefrasobliwie do *świętych obowiązków*, które nakładało na nich ich pochodzenie. Na dworze Habsburskim raz po raz wybuchały skandale, przyprawiające Franciszka Józefa o prawdziwą rozpacz.

Ludwika Toskańska, następczyni tronu saskiego, była przez wiele lat heroiną wielu miłostek bulwersujących i cesarskiego kuzyna, i jego poddanych. A kiedy wreszcie zdecydowała się ustatkować, uczyniła to w sposób najgorszy z możliwych. Wyszła bowiem za mąż za muzyka. W dodatku — kiepskiego. O mężu księżniczki mówiono z przekąsem, ale bez wielkiej przesady — *trzeciorzędny wirtuoz*.

Arcyksiążę Karol Ferdynand dokonał może nie aż tak fatalnego matrymonialnego wyboru, ale też i nie odpowiadającego jego pozycji społecznej. Pojął za żonę córkę profesora politechniki wiedeńskiej. Rodzina Berty Czuber była w sferach wiedeńskiego mieszczaństwa sytuowana wysoko, ale do „progów” Hoffburgu i Habsburgów było jej bardzo, bardzo daleko.

Najgorszy mezalians popełnił jednak arcyksiążę Henryk. Ożenił się bowiem z córką najzwyczajniejszego poczmistrza.

Te miłosne szaleństwa najbliższych krewniaków cesarza nie pozostawały bez destrukcyjnego wpływu na światopogląd i zachowanie następcy austriackiego

tronu, księcia Rudolfa. A — jak się później okazało — także i innych przedstawicieli młodego pokolenia Habsburgów.

Wprawdzie Franciszkowi Józefowi udało się znaleźć dla jedyne go syna odpowiednią żonę, a dla swego kraju — odpowiednią przyszłą cesarzową. I — co więcej — skłonić Rudolfa do poślubienia księżniczki Stefanii.

Na początku wydawało się, że Rudolf zaakceptował swoją żonę. Nie było to zresztą trudne ponieważ Stefania miała miłe, spokojne usposobienie i — w przeciwieństwie do swojej teściowej — nie oczekiwała ani od męża, ani od życia zbyt wiele. Wkrótce jednak jej tolerancja została wystawiona na ciężkie próby. Rudolf, znudzony małżeństwem, zaczął szukać miłosnych przygód. A jego pozycie z żoną zaczęło przypominać pozycie rodziców. Stawało się coraz bardziej „białe” i „papierowe”. Rozsądna arcyksiężna Stefania postanowiła jednak cierpliwie przeczekać przelotne romanse męża i przymykać oczy na jego skoki w bok. Być może udałoby się jej przetrwać kryzys i uratować małżeństwo. Zwłaszcza, że niestały w uczuciach Rudolf traktował swoje flirty dość lekko i zmieniał partnerki, nie wiążąc się z żadną na dłużej, ani silniej. Tak było do momentu, kiedy na jego drodze pojawiła się młodzianka Maria Vecsera. To przypadkowe spotkanie Rudolfa i Marii spowodowało prawdziwą katastrofę Habsburgów i cesarstwa.

Kiedy patrzy się na portrety panny Vecsera lub czyta świadectwa, jakie wystawiano jej urodzie, trudno uwierzyć, że mogła wywrzeć (i wywarła!) aż taki wpływ na losy dynastii, a może i świata. Miała wdzięk i urok szesnastu lat, ale poza tym nie odznaczała się niczym szczególnym. Ani wielką urodą, ani wybitnym intelektem. Można by złośliwie porównać upadek monarchii Habsburgów do upadku Rzymu. Rzym pokonały gęsi. Habsburgów jedna mała, pulchna gąska.

Ale dla Rudolfa ta „gąska” była najpiękniejszą i najważniejszą kobietą jego życia. Ważniejszą od wpajanych mu zasad. Od tronu. A nawet — życia.

Kiedy cesarz Franciszek Józef kategorycznie zażądał od syna zerwania tego *oblędnego związku*, Rudolf posłuchał ojcowskiego polecenia i istotnie położył *oblędnemu związkowi* kres. Zimą 1889 roku w myśliwskim zameczku Mayerling zastrzelił najpierw śpiącą Marię, a następnie siebie.

Nikt, nawet cesarzowa Elżbieta, nie miał odwagi zakomunikować cesarzowi straszliwej wieści. Uproszono więc cesarską metresę, by towarzyszyła „Sissi” w jej najtragiczniejszej ze wszystkich życiowych misji. Franciszek Józef przyjął wiadomość o śmierci jedyne go syna i następcy tronu z właściwą sobie godnością i powagą.

Arcyksiążę Rudolf nie pozostawił po sobie syna. Nowe go następcy tronu należało więc szukać wśród innych najbliższych krewnych cesarza. Pierwszy w kolejności do tronu był brat Franciszka Józefa, arcyksiążę Karol Ludwik. Nie dożył jednak chwili swej koronacji. Zmarł za życia swego brata. W tej sytuacji pretendentami do austriackiego tronu stali się jego synowie — Franciszek

Ferdynand jako pierworodny, a w drugiej kolejności młodszy — Otto.

Cesarz Franciszek Józef nigdy nie przepadał za swoimi bratankami. Franciszek Ferdynand miał (i co gorsza — głośno je wypowiadał) zbyt liberalne poglądy. Poza tym dawał niejednokrotnie staremu cesarzowi do zrozumienia, że jego rządy na pewno nie byłyby kontynuacją tego, co czynił stryj. Przeciwnie — wprowadziłby i w polityce wewnętrznej i zewnętrznej radykalne zmiany, „przewietrzając” skostniały system. Cesarz nie mógł przychylnie tak jawnej i bezwzględnej krytyki swoich rządów, a doświadczenie podpowiadało mu, że reformatorskie „nowinki” Franciszka Ferdynanda źle się skończą i dla państwa, i dla władcy. Obaj panowie byli jednak zbyt sztywni w swoich poglądach i zbyt sobie niechętni, aby mogli osiągnąć kiedykolwiek i w czymkolwiek choćby maleńki kompromis.

Z Ottonem sprawa miała się jeszcze gorzej. Nie miał wprawdzie zamiaru wprowadzania jakichkolwiek zmian w systemie rządu, ale nie dlatego, że był zadowolony z jego dotychczasowego stanu. Po prostu w ogóle nie interesował się polityką. Miał natomiast „ciekawość” do kobiet, hulank, skandali i wydawania pieniędzy.

W chwili otrzymania oficjalnej nominacji na następcę tronu, Franciszek Ferdynand miał lat 33. Był kawalerem, ale w tamtych latach na pewno nie uchodził za starego kawalera. Przeciwnie — był w wieku uznawanym powszechnie za najbardziej optymalny do zawarcia małżeństwa. I wydawało się, że z tym akurat kłopotu nie będzie. Panien, które miały odpowiednie „kwalifikacje” do zostania przyszłą cesarżową nie brakowało zarówno w samym cesarstwie, jak i na zagranicznych królewskich dworach. Franciszek Ferdynand uchodził za bardzo łakomy matrymonialny kęs i zdawał sobie doskonale sprawę ze swej „ceny” na małżeńskim rynku.

Cesarz i jego bratanek-następca popadali w nieustanne konflikty. Mimo to Franciszek Józef nie spodziewał się, że najpoważniejszy wyniknie za sprawą małżeństwa Franciszka Ferdynanda. Pozornie bowiem pod tym jednym jedynym względem sprawa toczyła się jak najbardziej właściwym trybem. Młody arcyksiążę spędzał wiele czasu w dobrach swej ciotki, Izabeli, gdzie zabawiał swoim towarzystwem jej młodsiutkie córki. Panienci były świetnie urodzone, świetnie wychowane i jak najprzychylniejsze przyszłemu cesarzowi. Poza tym na tyle ładne i na tyle sympatyczne, że mogły się podobać nawet bardzo wybrednemu młodzieńcowi. Ciotka była rozanielona widząc, jak młodzież bawi się grając w modnego tenisa, tańcząc w salonie, spacerując, udając się na górskie wycieczki, wyprawia do teatrów lub na *koncerta*. Franciszek Józef także wyraźnie sprzyjał tego rodzaju kontaktom swego młodego imiennika. Małżeństwo z którąś z owych kuzynek byłoby jak najbardziej po jego myśli. Powszechnie przyjmowano za pewnik, że Franciszek Ferdynand poślubi którąś z córek ciotki Izabeli. Zagadką dla

wszystkich było — którą.

Pewnego dnia lokaj księżnej Izabeli przyniósł i oddał jej pozostawiony na korcie zegarek. Wygrawerowane na złotym cacku inicjały świadczyły, że zegarek był własnością arcyksięcia Franciszka Ferdynanda. Najwidoczniej następca tronu wyjął go i odłożył na czas tenisowej rozgrywki, a potem o nim zapomniał. Ponieważ młodzi panowie mieli zwyczaj umieszczania w kopertach swoich zegarków miniaturowych portrecików aktualnych dam serca, księżna z dreszczykiem miłego podniecenia uchyliła złote wieko. Spodziewała się zobaczyć twarz jednej ze swoich córek. Ciekawość ją paliła. Która zdołała zdobyć uczucia następcy tronu? Okazało się, że żadna z nich. Z fotografii spojrzała na zszokowaną księżną Izabelę hrabianka Zofia Chotek, jedna z panien jej fraucymeru.

To było jak grom z bezchmurnego nieba. Ani księżna, ani w ogóle nikt nie spodziewał się takiego obrotu sprawy. Ba — nikt nie zauważył, aby arcyksiężę i panna Chotek mieli się ku sobie. Nigdy nie widywano ich razem. Nigdy ani on, ani ona nie zdradzili się ze swoim — najprawdopodobniej trwającym już jakiś czas — uczuciem.

Zdumienie, rozczarowanie i zgorszenie księżnej Izabeli było jak najbardziej uzasadnione. Zofia Chotek pochodziła wprawdzie ze starej i dobrej czeskiej rodziny, ale była panną pozbawioną nie tylko wielkiego nazwiska, ale także i wystarczającego do korzystnego zamęścia posagu. Jej ojciec nosił arystokratyczny tytuł, ale ani on, ani jego przodkowie nigdy nie mieli ani wielkiego majątku, ani żadnego politycznego znaczenia. Pozycja panny do towarzystwa na książęcym dworze była dla Zofii szczytem możliwej dla niej kariery. Przyjmując ją do tej zaszczytnej, ale w końcu tylko służby, księżna dawała dziewczynie szansę awansu przez zamążpójście. Nie było jednak mowy o t a k i m zamążpójściu.

A już na pewno w przypadku Zofii. Nic bowiem nie wskazywało, aby była uśpioną Królową Śnieżką, czy Kopciuszkiem, które mogłyby olśnić królewicza z bajki czy jawy. Panna Chotek nie odznaczała się bowiem ani urodą, ani wdziękiem. Była bardzo wysoka, chuda, tyczkowata, pozbawiona choćby śladów sex-appealu. Poza tym dość dawno przekroczyła wiek, w którym „łapie się” męża. Nie była też sympatyczna. Wśród fraucymeru nie miała przyjaciółek; uchodziła za zarozumiałą, sztywną, zamkniętą w sobie i skłoną do złośliwości. Księżna często miała wątpliwości, czy kiedykolwiek i w ogóle uda się pannie Chotek wydać za mąż. Z czasem wydawało jej się to zadaniem nie tylko trudnym, ale wręcz niemożliwym. Nic więc dziwnego, że o mało nie dostała apopleksji widząc w kopercie zegarka arcyksięcia fotografię swojej najmniej atrakcyjnej, podstarzałej i w żaden sposób nie kojarzonej z jakimkolwiek, a tym bardziej t a k i m romanssem, dwórki.

Opinie na temat wyglądu hrabianki Zofii wydają się niezbyt sprawiedliwe.

Być może rzeczywiście nie była zgrabna, ale fotografie ukazują twarz o regularnych rysach i na pewno interesującą. I znamionującą silną osobowość. Być może dla Franciszka Ferdynanda, mężczyzny pozbawionego tego właśnie rysu charakteru, ta cecha panią okazała się bardziej pociągająca od jej niedoskonałej powierzchowności.

Ciotka jednak wcale nie analizowała powodów zainteresowania następcy tronu swoją dwórką. Sina z wściekłości wezwała go na rozmowę, podczas której młody arcyksiążę od razu przyznał: *Tak. Kocham pannę Zofię Chotek i mam zamiar się z nią ożenić.* Księżna wstała i kazała zaprzęgać konie. Potem wsiadła do powozu i pojechała wprost do cesarza.

Franciszek Józef dowiedziawszy się, co się święci, był nie tylko wzburzony, ale i śmiertelnie przerażony. Zdawało się, że nad jego głową i nad całym cesarstwem zawisła jakaś straszliwa klątwa. Miał nadzieję, że wraz z tragiczną śmiercią arcyksięcia Rudolfa wyczerpane zostały wszystkie zasoby nieszczęść wynikających z nieodpowiednich i nieodpowiedzialnych miłości, jakie miały miejsce w jego rodzinie. Jakże gorzko musiała brzmieć w uszach starego cesarza odwieczna dewiza Habsburgów, na której przez kilka stuleci opierali oni potęgę swej dynastii i cesarstwa: *Niech inne kraje prowadzą wojny. Ty, szczęśliwa Austrio, zawieraj małżeństwa.* Na owych rozsądnie skalkulowanych wyborach monarszych partnerek życiowych i życiowych partnerów, tworzeniu misternej sieci liczących się rodzinnych koligacji, *szczęśliwa Austria* przez wiele pokoleń cieszyła się społecznym spokojem i poczuciem politycznego i ekonomicznego bezpieczeństwa. Przedziwny kaprys losu sprawił, że to za panowania najwierniejszego wyznawcy i kontynuatora owej dewizy i tradycji, wszystko zaczęło się walić w gruzy.

Sędziwy monarcha nie mógł pojąć, jak to możliwe, aby wszystkie jego starania, wyrzeczenia, jego kilkudziesięcioletnia praca dla dobra kraju zostały zniweczone przez dwie kobiety: najpierw Marii Vetsery, podlotka o rozumie przepiórki, a następnie (i ostatecznie) przez kościstą i kostyczną starą pannę, którą przed Franciszkiem Ferdynandem nie zainteresował się żaden mężczyzna.

Rozmowa między cesarzem i następcą tronu miała charakter niezmiernie burzliwy. Franciszek Józef kategorycznie zakazywał małżeństwa z *jakąś Chotek*. Franciszek Ferdynand równie stanowczo twierdził, że z zamiaru poślubienia panny Zofii Chotek nigdy i za żadną cenę nie zrezygnuje. Cesarz próbował wszystkiego, używał wszelkich racjonalnych argumentów. Bez skutku. Zmęczony kłótnią Franciszek Ferdynand postanowił ją zakończyć. Postawił stryjowi ultimatum: albo uzyska zgodę na małżeństwo z hrabianką Chotek, albo zrzeknie się praw do tronu. Jak donosi „Tygodnik Ilustrowany” z 1912 roku w artykule zatytułowanym „Romantyczni Habsburgowie”: *głowa Habsburgów, cesarz austriacki udzielił swego zezwolenia na morganatyczne małżeństwo, jak gdyby znużony już walką bezowocną, ustępował powoli przed tym objawem żywiołowym, który nappełniał go*

przerażeniem w ostatnich latach sędziwego życia. Decyzja cesarza podyktowana była nie tylko, jak sugeruje dziennikarz „Tygodnika ...”, cesarskim starczym znużeniem. Franciszek Józef nie miał alternatywy. Gdyby młody arcyksiążę rzeczywiście spełnił swoją pogroźkę, jego miejsce musiałby zająć Otton Habsburg, zapijaczona i do cna zdemoralizowana kreatura, człowiek niezdolny do pełnienia żadnej, najmarniejszej nawet funkcji państwowej. A już na pewno — sprawowania władzy w cesarstwie.

Franciszek Józef pozwolił więc następcy tronu na poślubienie Zofii Chotek. Ale nie zezwolił na wprowadzenie jej do rodziny. Hellmut Audies, biograf rodu Habsburgów, w następujący sposób opisuje wydarzenia, które miały miejsce 28 czerwca 1900 roku: *Do Izby Tajnej Rady poproszono najwyższych dostojników państwowych. Tłok w sali obrad był przerażający; tak wielu radców nigdy jeszcze tam nie zgromadzono (...)* Wyraźnie rozgoryczony cesarz Franciszek Józef odczytał rotę przysięgi renuncjacyjnej. *W jego głosie dźwięczała dostrzegalna dla wszystkich groźba. Wyglądało na to, że przywołuje on przeciwko Franciszkowi Ferdynandowi wszystkie przekleństwa nieba i ziemi na wypadek, gdyby miał on kiedyś nie dotrzymać złożonej przysięgi. Następca tronu stał o krok przed murem stłoczonych świadków tej państwowej ceremonii, jak oskarżony w czasie ogłaszania wyroku. Powtarzał formułę przysięgi ze ściśniętym gardłem. Jeżeli w głosie cesarza dał się słyszeć gniew, to w głosie następcy tronu można było usłyszeć wściekłość (...)* *Panował nastrój, jak przy wypowiedaniu wojny. Cesarz i jego następca rozstali się po tym akcie jako wrogowie na resztę życia”.*

Przed 28 czerwca 1900 roku cesarz i Franciszek Ferdynand się nie lubili. Od tego dnia znienawidzili. Jest niewątpliwy powód tej wzajemnej wrogości. Dla cesarza jej źródłem był głęboki zawód, rozczarowanie, żal za zmarnowanie całego dorobku jego własnego życia i dorobku pokoleń przodków. Przeczucie, że oto następuje kres cesarstwa, jego świetności, jego znaczenia na europejskiej scenie.

Dla następcy tronu akt renuncjacji stanowił największe upokorzenie. Nie tylko dla niego. Przede wszystkim dla kobiety, którą kochał i dla której poświęcił tak wiele, a gotów był poświęcić wszystko. Cesarz zmusił go do złożenia przysięgi, że Zofia nigdy nie zostanie cesarzową. Nigdy nie będzie zapraszana na oficjalne dworskie ceremonie i uroczystości. Nie zostanie przyjęta do cesarskiej rodziny. A jej dzieci nie będą miały prawa dziedziczenia tronu. Inaczej mówiąc — ich status będzie odrobinę tylko wyższy od bastardów.

Przywoływany już historyk, Hellmut Audies nazwał uczucie, które połączyło arcyksięcia Franciszka Ferdynanda i hrabiankę Zofie Chotek *miłością, która wystarczyła na całe życie. To prawda. Przez całą, niestety niedługą resztę życia Franciszek Ferdynand odczuwał dwa równie silne uczucia: nienawiści do stryja i miłości do żony.*

Wszyscy wiedzieli, że aby zyskać jego przychyłność należy uczynić miły

gest w stosunku do Zofii. I przeciwnie — najmniejsze uchybienie Zofii wywoływało prawdziwą wściekłość jej męża. Nigdy i nikomu nie wybaczał wyrządzonej jej zniewagi.

A musiała ich znosić wiele. I to od dnia ślubu.

Zaślubiny następcy cesarskiego tronu zwykle stanowiły towarzyskie wydarzenie na skalę europejską. Na uroczystości pojawiali się nie tylko wszyscy austriaccy Habsburgowie, ale także przedstawiciele rodów z nimi spokrewnionych i skoligaconych choćby nawet siódmą wodą po kisielu. Panujący innych krajów przybywali osobiście, albo przysyłali reprezentantów, najczęściej własne dzieci. Wesele bywało w takim przypadku niezmiernie wystawne i budziło zrozumiałe zainteresowanie ludu czy nawet ludów.

Jakże inny był ślub arcyksięcia Franciszka Ferdynanda i czeskiej hrabianki Zofii Chotek. W najgorszych snach panna młoda nie mogła przewidywać aż tak smętnego scenariusza swoich zaślubin. Trudno bowiem wyobrazić sobie mniej uroczystą uroczystość. Zbojkotowali ją solidarnie wszyscy Habsburgowie. Cesarz nie tylko nie przybył, ale nawet nie raczył złożyć młodej parze najbardziej choćby zdawkowych życzeń. W kościele nie zjawili się nawet bracia pana młodego. Marsz weselny brzmiał dla Zofii niczym pogrzebowy.

Potem nie było ani odrobinę lepiej. Na cesarskim oraz zaprzyjaźnionych lub spowinowacanych z Habsburgami dworach: w Wiedniu, Pradze i Budapeszcie niemal każdego dnia celebrowano jakąś okazję, którą należało albo wypadało uhonorować obecnością Najjaśniejszej Osoby. Franciszek Józef z powodu podeszłego wieku, nękających go chorób oraz żałoby po stracie syna i żony, coraz rzadziej zaszczycił, otwierał, przecinał wstęgi, ścisnął dłonie, przemawiał, czyli udzielał się publicznie. Ta rola przypadała więc z urzędu i konieczności jego następcy. Naturalny byłby w tym miejscu dopisek: *i jego żonie*. Ale Zofię owym nieszczęsnym aktem renuncjacyjnym raz na zawsze wykluczono z udziału w oficjalnych uroczystościach dworskich. Dla dworu Zofia po prostu nie istniała.

Urodziła troje bardzo udanych, ładnych i inteligentnych dzieci. W tym — dwóch chłopców. Można by się spodziewać, że serce Franciszka Józefa, któremu jego własny syn nie dał męskich potomków, wreszcie zmięknie. Nie zmiękło. Cesarz nie wyraził najmniejszego zainteresowania narodzinami swoich stryjecznych wnuków i widział ich tylko jeden jedyny raz. Udzielił im krótkiej audiencji po tragicznej śmierci ich rodziców. Ani przedtem, ani później nie utrzymywał z nimi żadnych kontaktów. W najmniejszym stopniu nie ciekawiły go też ich dalsze losy.

Biografowie Habsburgów są zgodni, choć chyba nazbyt surowi w ocenie zarówno urody, jak i cech charakteru Zofii. Wszyscy twierdzą, że miała *więcej energii niż wdzięku*.

Trudno się wypowiadać na temat wdzięków księżnej Zofii Hohenberg,

z domu Chotek. Natomiast jeśli chodzi o charakter, to oprócz ogromnej energii miała ogromne ambicje. I te ambicje, nigdy niezaspokojone, a przeciwnie — nieustannie i boleśnie ranione, stały się zmorą i obsesją jej życia.

Franciszek Ferdynand miał o wiele mniej energii, i ambicji. Ale pod wpływem żony i jej nalegań starał się ze wszystkich sił, aby wynieść Zofię jeśli nie na same społeczne szczyty, to przynajmniej wyraźniej zaznaczyć jej obecność w rodzinie, na dworze i w cesarstwie.

Im bardziej cesarz posuwał się w latach, im bliższy wydawał się czas, w którym nastąpi zmiana na tronie, tym więcej możliwych ówczesnego świata starało się zjednać sobie sympatię następcy Franciszka Józefa. Powszechnie było wiadomo, że droga do serca Franciszka Ferdynanda prowadzi przez serce Zofii. Kto nie ujednał sobie ex-panny Chotek, ten nie miał co liczyć na względy wciąż jednakowo zakochanego w niej męża.

Rumuni jako pierwsi wyłamali się z bojkotu Zofii. Do Bukaresztu został zaproszony nie tylko następca tronu, ale — z całym należnym jego żonie szacunkiem — także Zofia. Podczas tej wizyty dokładano też szczególnych i widocznych starań, aby pod każdym względem ją uhonorować. Dzięki temu prostemu politycznemu manewrowi Rumuni zyskali we Franciszku Ferdynandzie bardzo oddanego i spolegliwego sojusznika i przyjaciela.

W sytuacji zorientował się również niemiecki cesarz Wilhelm. Wystosował serdeczny list do Franciszka Ferdynanda, a zawarte w tym liście pytanie: *Kiedy będę mógł trzasnąć obcasami przed Twoją żoną?* zapewniło mu przychyłność i lojalność austriackiego następcy tronu na wiele lat.

Jawną wrogość okazywał natomiast Franciszek Ferdynand królowi Anglii Jerzemu V, a to z jednego tylko względu — na uroczystość swej koronacji nie zaprosił Zofii, a jedynie następcę austriackiego tronu.

Mogłoby się wydawać, że nieładna, niemłoda i pozbawiona szczególnych zalet charakteru kobieta, przyczyniająca swemu mężowi nieustannych powodów do zgryzot i upokorzeń, nie zdoła na długo zawładnąć jego sercem. Zofii jednak się to udało, chociaż z psychologicznego punktu widzenia bardzo trudno wyjaśnić przyczynę aż tak silnego i aż tak długiego nią zauroczenia. Powtórzmy raz jeszcze za Hellmutem Audiesem: *Była to miłość, której wystarczyło na całe życie.*

A właściwie — na dłużej. Franciszek Ferdynand przewidując, że akt renuncjacji będzie po jego śmierci powodem rozłączenia go z Zofią, zrezygnował z należnego mu (a nienależnego jej) miejsca w krypcie kościoła Kapucynów, gdzie tradycyjnie składano doczesne szczątki austriackich cesarzy. Wybudował grobowiec w swoim rodzinnym zamku, wyrażając w testamencie wolę bycia pochowanym przy boku Zofii. Wypowiadając to życzenie na pewno nie przewidywał, że wypełni się już wkrótce.

Gdyby Franciszek Ferdynand i jego żona pogodzili się z aktem renuncjacji

i wolą cesarza, Zofia przeżyłaby nieszczęsny rok 1914, ponieważ nie byłoby jej w Sarajewie. Ale pragnienie pokazywania się przy boku męża podczas oficjalnych uroczystości i składanych przez niego zagranicznych wizyt było dla niej sprawą najważniejszą w życiu. Wyjazd do Sarajewa był obciążony ryzykiem zamachu. Franciszek Ferdynand doskonale zdawał sobie z tego sprawę. O niebezpieczeństwie wiedziała również Zofia.

Co przeważało podczas podejmowania decyzji, że — mimo wszystko — będzie mu w tej podróży towarzyszyła? Pragnienie wsparcia ukochanego człowieka w trudnym dla niego momencie? Czy jedynie próżność? Chęć pokazania światu, że jest i znaczy więcej niż chciałby tego cesarz Franciszek Józef?

Małżonkowie albo nie byli przesądni, albo świadomie rzucali wyzwanie Losowi. Wizyta w Sarajewie miała bowiem miejsce 28 czerwca, przypadała więc dokładnie w czternastą rocznicę aktu renuncjacji, tak bardzo bolesnego dla Ferdynanda i Zofii.

Tego dnia wszystko sprzysięgło się przeciwko nim. Długi i zawiły splot przypadków sprawił, że wybrali najgorszą z możliwych dróg przejazdu przez miasto. Nieszczęśliwy przypadek sprawił, że kule wystrzelone przez zamachowca były celne. A zadane przez nie rany — śmiertelne.

Charakterystyczne, że umierający Franciszek Ferdynand ani przez moment nie pomyślał ani o sobie, ani o konsekwencjach, jakie przyniesie światu zamach na jego życie. Ostatnie słowa wypowiadał do Zofii błagając ją: *Zosieńko, nie umieraj. Musisz żyć dla naszych dzieci.*

Nie wiadomo, czy Zofia chciałaby przeżyć swego męża. Bez niego byłaby przecież tylko morganatyczną wdową po następcy austriackiego tronu. Czyli — nikim. A tego bała się najbardziej.

Cesarz przyjął wiadomość o śmierci kolejnego następcy tronu ze spokojną rezygnacją. Zapewne wiedział już, że tym razem nastąpił prawdziwy i nieodwołalny koniec świata Habsburgów. Jego świata. Czy zdawał sobie sprawę, że będzie to także koniec pewnej epoki w dziejach świata? Że po pierwszej wojnie światowej, która wybuchnie, już nic i nigdy nie będzie takie samo.

Oprócz miłości.

